

TOM I. ZESZYT 1. STYCZEŃ 1901.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA:

WARSZAWA — KSIĄŻĘCA 7.

TREŚĆ.

№ 1. — STYCZEŃ 1901.

Ozdoby odbijano pod nadzorem artystycznym
STANISŁAWA KRZYSZTAŁOWICZA.

Klisze rysunków wytrawiono w Zakl. Warsz. Tow. Akc. Artystyczno-Wydawniczego pod kierunkiem F. W. AMSELA.

Papier wyrobiono dla Chimery w fabryce C. A. Moesa „Pilica"

Składali: WACŁAW KORAL i CEZARY DMOCHOWSKI.

Łamał ANTONI HURKIEWICZ. Odbijał na maszynie KAROL MALINOWSKI.

Pod zarządem JÓZEFA LENARTOWICZA.

Wielki mistrz czeski, jeden z najwyższych duchów świata, wskrzesiciel eposu w całej jego świetności i potędze, z przedhomerowską mytów głębią, poeta otchłannego marzenia i tęsknoty nieukojnej, twórca WYSZEHRADU, KRONIKI O ŚW. BRANDANIE, NEKLANA, JANA MARYI PLOJHARA, TRZECH LEGEND O KRUCYFIKSIE i nadewszystko, KRÓLA KOFETUY i NA SYNAJ, tych dwóch gralów złotych, tających w sobie najświętsze, anielskie, boskie pierwiastki istoty człowieczej,

Juliusz Zeyer

zmarł w Pradze dnia 28 stycznia, w 60 roku życia.

Nad grobem twoim, mistrzu i przyjacielu najdroższy, nie żal winienby mnie przejmować. Wierzę mocno, że „wszystkie ideały wielkiej, prawej sztuki nie są niczem innem, jedno przeczuciem owego intensywniejszego istnienia po śmierci, w którem nasza właściwa, najistotniejsza jaźń zdolną się staje do wyższego i rozciąglejszego pojmowania; w którem ideał jest rzeczywistością, a symbole prawdą wyraźną.“ Wierzę, że w istnienie to wstąpiłeś, że przeczucia twe urzeczywistniły sie, że tęsknota twa doszła do kresu, że ze snu życia ziemskiego do życia zbudziłeś się istotnego i wiekuistego. Wiem nadto, iż na ziemi — snadź dla niewielu, lecz dla jedynie godnych właśnie — nie zmilknie nigdy akord, którego pragnąłeś dla książki przyjaciela, a który pieśni twych zasadniczym jest tonem: dźwięk cichy a uroczysty, tęskny i żałosny, jako ów płynący z posągu Memnona w tajemniczej ziemi egipskiej. Żyjesz. Ale odszedłeś, a jak mówiłeś sam, „cienie tych, co odeszli,

Tak ciężko, ciężko padają na serca
Tym, którzy na śmierć czekają tu jeszcze.“

Ze smutkiem też kładę pożegnanie z tobą na pierwszej tej karcie — i, raz jeszcze twych słów używając, proszę cię, drogi a wolny już duchu, byś, jeżeli pamięć nasza trwa po za grobem, skłonił się niekiedy z jasności prawdy w pomrok nasz i wejrzał na tych, którzy tęsknią, jak ty tęskniłeś.

Miriam.

Jak często w swojej samotni głębokiej
Myślałem, czem jest istnienie człowieka,
Czem człowiek, dusza, materya, czem Bóg!
Jako każdego, te dawne zagadki
W wiry bezdennych ciągnęły mię myśli,
A gdy mię zawrót chwycił nad otchłanią,
Szukałem w twarzy twej, święta przyrodo,
Marzących owych uśmiechów, co koją.
Lecz ukojenie zawżdy krótkiem było,
I znowu, znowu szukałem daremnie,
Czego po dzisiaj nikt jeszcze nie znalazł;
A gdy duch własny nie dał odpowiedzi,
W czytaniu starych grążyłem się książek,
Aż wzrok się mącił. I stało się oto,
Żem nocy pewnej, burzliwej, jesiennej,
Gdy wicher jęczał, wył w pustem domostwie,
A miesiąc leciał, jako ptak, przez chmury, —
Nad dziwnem dziełem, znękany gorączką,



R. PAULUSSEN MOREAU.

Nad księgą, z magów złożoną tradycyi,
Usnął na chwilę, i dziwny sen miałem,
Pełny wszystkiego, com czytał, sam myślał.
Sen taki żywy, taki wyrazisty,
Że nigdy już go nie zapomnę w życiu.

Zdawało mi się, żem widział Mojżesza
Na górze Synaj, w oną noc ostatnią,
Czterdziestą z rzędu, jaką tam przeczuwał,
Nim zstąpił na dól, na puszczę, by wieścić
Ludowi swemu, co każe Pan Panów.
Wszystko. co Mojżesz myślał, czuł, wiedziałem
(Tak bywa we śnie), jakbym czuł z nim razem.
Z nim razem myślał, był nim, a wraz sobą.

Czuwał przed ogniem, płonącym wysoko
I strzelającym setnemi języki
W chmurę, co ciężko wisiała nad górą.
A tak niziutko, że skał dotykała.
W niej Jahwe oczom śmiertelnym był skryty.
A Mojżesz, milcząc, patrzał w kraj rozległy,
Co rozpościerał się w dole. Poświata
Biała miesiąca lała się widmowo,
I blada, kształtów pozbawiona puszcza
Taką nieziemską zdała się, upiorną,
Takiem czemś innem, niż zawsze bywała,
Że Mojżesz naraz uczuł lęku tchnienie,
A kłam, omylność, niepewność i zluda
Wszech ludzkich pojęć stanęły złowrogo
Przed jego duszą. Pytanie straszliwe,

Czy JEST istotnie, co być nam SIĘ ZDAJE,
Wstrzęsło nim nagle, i tak go przemogła
Ta nieokreślność rzeczy i poznania,
Że dusza jego z wyżyn świętych ekstaz,
Jako głaz ciężki, stoczyła się w otchłań,
Gdzie chmurne czyha, śmiertelne zwątpienie.

Gdy ta pod górą pobladła kraina
Teraz czemś była tak zupełnie innem,
Niż przedtem zawsze; gdy z postaci obu
Prawdą być przecież jedna tylko mogła,—
Czemu nie mogło złudą też być wnętrzną
To, co był dotąd zwykl brać za głos Boży?
Cóż — gdyby świat ten byl jednak pustynią,
Chaosem wrogich, ślepych w boju sił?
Cóż — gdyby snem to było gorączkowym,
Co mu się dotąd objawieniem zdało?
Zadrżał, że pustą jest może ta chmura,
W której — jak wierzył — Jahwe krył się wieczny!
Krew zastygała mu w żyłach, na głowie
Włosy jeżyły się lasem, a z oczu
Łza na myśl groźną wytrysła mu wielka,
Że omamieniem chorobliwem mózgu
Był może głos ów szepczący mu w duszy,
Co bądź jak powiew przewiewał ją cichy,
Bądź orlem skrzydłem unosił potężnie
W zawrotne sfery! Że złudą snadź nędzną
Jego miłości dla ludu był Bóg ów,
Który — jak mniemał — powołał go ongi
Z domu niewoli z Izraelem całym

Na dumną wolność, samoistną dolę?
Patrzał w mrok chmury, a z mroku niemota
Wiała nań tchnieniem straszliwem rozpaczy,
Aż wpółszalony krzyknął: „Ozwij-że się!
Przemów, o Panie!“
Cicho było wokół....
„Niemasz Cię?“ jęknął, „niemasz Cię lub śpisz?“

Głos wyszedł z chmury: „Nie zasypiam nigdy,
I biada światu, jeślibym zadrzemał,
Przed czasem swoim, choć na oka mgnienie!
Świat w tejże chwili zapadłby się w nicość.“

Jakiejż radości nieskończonej szałem
Drgnął Mojżesz cały, gdy głos ten usłyszał!
Więc złudą nędzną nie był jednak Jahwe!
Sklonił w proch czoło, potem spytał znowu:
„Przed czasem, mówisz? Wszakże jesteś wieczny?“
„Jak ty,“ rzekł Jahwe. „Podlegam przemianie.
Wszystko poddane jest jej — tylko nie On.“

Tu z podziwieniem wykrzyknął już Mojżesz:
„Nie jest-żeś Stwórcą i Bogiem jedynym?“

„Jestem,“ głos odparł, „stworzycielem światów,
Które bądź widzisz, bądź na wpół przeczuwasz,
A przecież niczem nie jestem, jak tchnieniem
Ust, które nie są, ani oddychają.
Gdy znów dech wciągną — minąłem, a ze mną
Wszystko, co było mnie i tobie wszystkiem.
Jam przejaw tylko jednej z jego myśli,

Jak człowieczeństwo — tylko myślą ziemi,
Jak człowiek — całej snem tylko ludzkości.
On tak jest we mnie, jak ja we wszechświecie,
I ty, i ja, i wszystko — w nim znów będzie.“

„On tedy światłem jest, duszą, rozumem?“
Rzekł cicho Mojżesz, którego myśl teraz
W głębiach myślenia tak się pogrążyła,
Jak w morzu muszla, a głos mu Jahwego
Znów odpowiedział: „Nie, nie jest rozumem,
Acz jego źródłem, powodem i sprawcą;
Nie jest też światłem, ni duszą, aczkolwiek
Onych obojga wieczną jest przyczyną.“

A Mojżesz na to: „Więc powiedz mi, błagam,
O, powiedz, wysłów święte jego imię,
By dusza moja tajń pochwycić mogła!“

„To niepodobna,“ brzmiała z chmur odpowiedź,
„Tak czyste, proste bezbrzeżnie to imię,
Że w ludzkie słowo wcisnąć go nie można.
Tylko odczuwa się prawdę najwyższą.“
Tu znów się Mojżesz zamyślił głęboko
Tak, że był niemy, i głuchy, i ślepy,
A w bezdniach tajni, w których się pogrążył,
Coś, jako rozbrzask, błyskało mu w dali,
Gdy, szmat po szmacie, wsze wyobrażenia
O kształtach ludzkich zdejmował z pojęcia
Onej pramyśli, która nic wspólnego

Nie może w sobie mieć ani z człowiekiem,
Ani z prażadną istotą stworzoną,
Oprócz zagadki wiecznie ciemnej bytu.
A gdy już wszystko odjął jej, co ludzkie,
Wszystko, co na niej wisiało, jak nędzny
Szych, którym bożka zdobi bałwochwalca,
Tu echo tego imienia czystego,
Które wysłowić nie da się po ludzku,
Jęło ozywać się gdzieś w jego wnętrzu,
To echo, co się do swego pradźwięku
Miało, jak ma się szary cień do światła,
A brzmiało groźnie, druzgocząco: „Nic!“

Ból rozpaczliwy wstrząsnął znów Mojżeszem
I z tych męczących przebudził go myśli.
Spojrzał dokoła. Ogień już dogasał,
Chmura rozwiała się. Kędyż był Jahwe?
Już znikł, a przecież pozostał obecnym!
Toć Mojżesz w sobie czuł go wciąż, a oto
Czyliż nie patrzał nań z dołu, z tej puszczy,
Gdzie rozświt ranny — czar świeży, młodzieńczy
Rozlewał wokół? Pustynia milcząca
Weselną twarzą spoglądała w niebo,
A duch w materyi był taki widoczny,
Że Mojżesz rzewną uczuł w piersi radość
I ze czcią wielbił oną duszę prostszą
A stokroć bliższą swojego praźródła,
Niż dusze ludzi błądzących śród grzechu.
I rzekł: „Jak wszędy obecnym jest Jahwe
I nigdzie razem, tak NIC ono żywe

Jest także WSZYSTKIEM, Bo TAK w niem jak NIE
Czas z góry zstąpić, kędy lud mnie czeka, [jest.
I rzec, co noc mi objawiła wielka.“ —

Lecz się zawahał. „Jak to wypowiedzieć,
Gdy jasno myśleć sam o tem nie zdołam,
Gdy z każdem słowem, w które chcę to wcisnąć,
Krok czynię w bok gdzieś, błędny i niepewny?
Oh! każde ucho, które mnie usłyszy,
Inne znaczenie da mglistym mym słowom,
I w szarym zmroku nieokreślnych pojęć
Sto nowych bożyszcz, tysiąc, niezliczoność,
Z winy języka powstanie mojego!
Nie, Jahwe z swojem półludzkiem obliczem,
Jak dziś w pojęciach braci moich żyje,
Jest najmożliwszym i jedynym Bogiem,
I tego tylko dzisiaj im obwieszczę.
Resztę pochowam na dnie serca swego.“

Wtem strzelił pierwszy, świetny promień słońca,
Jak złoty wykrzyk dnia narodzonego,
A Mojżesz zwolna zstępował w dolinę
Przed czekający swój lud Izraela,
Lecz wprzódy twarz swą osłonił zawojem,
By nikt nie spostrzegł sinej lic bladości,
I by na czole nikt mu czytać nie mógł,
Gdy wieścić będzie, kto Bogiem jedynym.

Juliusz Zeyer.

Los geniuszów.

Udowadniać biegunowo przeciwny stosunek popularności dzieł twórczych (w jakiejbądź dziedzinie: nauki czy sztuki) do ich głębokości, subtelności, powszechności przestrzennej, niezmienności czasowej, jednem słowem, do ich genialności, — rzecz prawie zbyteczna. Zastanowić może wszakże, iż prawda ta, stwierdzona niejednokrotnie i łatwa do sprawdzenia dla każdego umysłu nieuwodzącego się mniemanemi zapałami tłumów ku rzeczom istotnie wielkim, wychodzi na jaw, im bliżej dni naszych, tem częściej i tem brutalniej.

Że

. . . . . . , skoro mistrz słowa,
Taki jak Orfej... serce takie... taka głowa

I taka pieśń powstanie, to w jednej wieczerzy
Rozwarkoczonych kobiet, którym naród wierzy,
Zginie!

(C. NORWID)

że Homer,

. . . . iż rycerskie opiewał herbarze,
Słynniejszy od Hezioda, co sławi ołtarze;

(C. NORWID).

że, wogóle,

Gdy gromka sława przez ulice jedzie,
Natychmiast zapał wita ją niezmierny,
Ale gdy po niej przyjdzie myśl głęboka,
Napewno znajdzie puste wokół place, —

(J. ZEYER).

wszystko to znajduje proste nader wytłómaczenie w inercyi cielesnej mas i eleuteryzmie duchowym genialnych wyjątków; w skłonności większej tłumów do tego, co bliżej ziemi, i odrywaniu się od tejże ziemi nielicznych duchów, czujących, że trzeba,

Aby być narodowym, być nadnarodowym,
I aby być człowieczym, właśnie że ku temu
Być nadludzkim;

(C. NORWID).

w pytagorejskiej, jednem słowem, doktrynie o wiekuistej różności i nierówności dusz.

Ale my, ale nasz XIX wiek „postępu,“ czyżbyśmy taki postęp we wszystkich tych przyczynach zrobili, że o tyle bogatszemi w omawianym względzie chlubić się możemy rezultatami? Zdaje się, że tak. To, co ongi było mimowiednym, elementarnym objawem, podnieśliśmy do zasady. W ochlokratycznej równości

zaprzepaściliśmy wszelką hierarchię. Zrobiwszy ideałem człowieka — mierność (zwaną też przeciętnością czy normalnością), wzięliśmy ją za miarę, i wszystko, co pod strychulec jej zmieścić się nie chce i nie może, napiętnowaliśmy mianem szaleństwa, chorobliwości, zwyrodnienia, lub innemi, niegdyś poświętnemi, a dziś obelżywemi nazwami: mistycyzmu, symbolizmu i t. p. Myt, legendę wreszcie, które ongi, w braku świadomego uznania, otaczały bądź co bądź tych największych, i *eo ipso* najbardziej niedostępnych, atmosferą jakiejś trwogi świętej, będącej inną jeno formą entuzyazmu, zastąpiliśmy gazetą, jej anegdotami czy *interview*'ami, i znieważaniem lub poufałem klepaniem po ramieniu olbrzymów ducha. I tak nam dobrze na padołach i mieliznach, tacy z tego żywota padalców i małżów jesteśmy zadowoleni i dumni, że nie szukamy szczytów ani głębin; nie chcemy znać ich, jeśli same do nas nie przyjdą, a gdyby przyszły, pogodzilibyśmy się może z niemi, ale pod warunkiem *sine qua non,* aby nieco „ustąpiły“ ze swej wysokości czy bezdenności. Wymagamy kabotynizmu, żądamy kompromisów, raczymy przyjąć wielkość, jeśli się ona uzna za niewiększą od naszej mierności. Jeśli tego nie uczyni, potrafimy okrzyczeć bylejaką zgodniejszą zdolnostkę za takie słońce, że gwiazda prawdziwej wielkości zgasnąć musi w mniemanych jego blaskach.

Że zaś duchy genialne,

. . . . . wielkim i samotnym losem
Niesione tam, gdzie twórczość, więc blizko z chaosem,
(C. NORWID).

nie znają kuglarstw, nie wiedzą, co to kompromis, nie narzucają się tłumowi, pierzchają od banalnego lub brutalnego zgiełku wydarzeń, zbrodniczo nie dostrzegają naszej wielkości, nie schlebiają, nie żebrzą o poklask, i zapatrzone w inne światy, nie myślą przedewszystkiem, aby być „przystępnymi,“ — więc nigdy może nie było tylu, co w naszym wieku, „przeklętych,“ jak Verlaine ich nazywa, tylu zapomnianych olbrzymów, tylu niewymownych twórców, odrzuconych, nieuznanych i nieznanych prawie. I ze drżeniem pyta się dusza, czy nie przyjdzie czas, gdy ani jeden z prawdziwych ducha mocarzy szerszym warstwom znany nie będzie, gdy znak geniuszu równoznacznym się stanie z piętnem odrzucenia i zapomnienia? Bo „postęp“ w tym kierunku jest ciągły.

W pierwszej wieku połowie, jeszcze, bądź co bądź, jeden wielki duch przysłaniał drugiego. Tłum, jakby nie mogąc znieść zbyt wielkiej ilości słońc, wybierał jedno, o ile można bliżej ziemi krążące, i nie widział już innych. Tak Byron przyćmiewał Shelley'a, tak sława ich obu pogrzebała w zapomnieniu zupełnem bezdennego Williama Blake'a. Tak w błyskotliwej apoteozie Wiktora Hugo niewidzialną stała się gwiazda o ileż głębszego i subtelniejszego Alfreda de Vigny. Tak wyłączne ubóstwienie Mickiewicza odsunęło w cień czarodzieja Słowackiego i ducha-orła Krasińskiego.

Potem zaczyna się dziać coraz gorzej. Za uwieńczoną zdolnością Tennysona znikają wielkie postacie

Rossetti'ego, Browning'a, Swinburne'a; Heine grzebie pod fałdami swej chwały Grabbe'go, a Grillparzer — Hamerlinga; Tegner stawia zwycięzką stopę na karku Almquista; gadatliwość Pola głuszy bronzowe dźwięki poezyi C. Norwida; komiwojażerski Coppée zwycięża w oczach tłumu tytana Baudelaire'a, a hałaśliwy, płytki gbur Zola zasłania takich olbrzymów, jak hr. de Villiers de l'Isle Adam i Barbey d'Aurevilly.

Ostatnie dwadzieścia lat wieku są już widownią niemożebnych *promiscuités* w dziedzinie literatury, bluźnierczych wprost przeciwstawień, plugawiących uwielbień i bezczeszczących zapomnień.

To samo dzieje się, zresztą, w innych sztukach. Któż z wielbicieli Détaille'ów, Bonnat'ów i Colin'ów wie cośkolwiek o Gustawie Moreau? W apoteozach Kossaków jest-że czas myśleć o Wyspiańskich? Falguière'y królują, podczas gdy na Rodin'ów i Vigelandów szyderstwa się sypią i obelgi. Któż nie zna Massenet'a i Mascagni'ego? Któż zna Smetanę lub Cezara Franck'a?

I któż ma znać, któż ma pojmować i odczuwać? — Twórczość prawdziwa, głęboka, będąca nie kopią życia, lecz sięgnięciem w jego istotę i przez to niejako dalszym życia ciągiem i dopełnieniem, jeżeli wzruszyć ma potężnie, wymaga pewnej znacznej siły uczucia i ducha od swych czytelników, widzów czy słuchaczy, a przeto dostępna jest jedynie dla ludzi, zdolnych do nawpół również twórczego spólnictwa duchowego. Zdolność ta kryje się snadź

na kształt złota w kwarcu ukrytego, w każdym człowieku, ale dla wydobycia jej na wierzch długiej potrzeba pracy, długiej dyscypliny, długiej kultury.

Wiek nasz choruje właśnie na brak tej ostatniej. Rewolucya francuska, stawiając zasadę równości i znosząc różnice klas, zniosła zarazem wysoką kulturę duchową stanów uprzywilejowanych, a nie dała jej stanom wyzwolonym, schłopiła — że użyję wyrażenia Trentowskiego — szlachtę, a nie uszlachciła ludu. Skazując pierwszą na brutalną, cielesną walkę o byt, odebrała jej możność, chęć, a z czasem i zdolność odczuwania głębokich, subtelnych rzeczy duchowych; pozbawiając drugi prostoty, ciszy, elementarności, pierwotnego człowieczeństwa, które pozwalało mu odczuwać, a czasem i wydawać wprost z siebie „wielkie imperatywy“ Nietzsche'go, dała mu za to poziome jeno pragnienie wygodniejszego żywota, płaskie zazdrości, i niechęć do wszystkich niepojętych mu uskrzydleń duszy. Stopniowy, coraz szerszy zalew demokracyi prowadził dalej to dzieło — i stworzył wreszcie, ze wszystkich klas i stanów jeden tłum, złożony zarówno z hrabiów i mieszczan, z plutokratów i rzemieślników, niekulturalny, niewrażliwy, niezdolny do odczucia rzeczy głębokich i przeto z pychą odrzucający je, żywiący nienawiść do wszelkich polotów, przeciwstawiający zuchwale materyalną powierzchnię zdarzeń, którą naiwnie zwie życiem, ich istocie, które wzgardliwie mianuje marzeniem, wrogi tedy każdemu pięknu w wielkim stylu, każdej istotnie twórczej poezyi. Nigdy snadź jeszcze nie

było takiego, jak dzisiaj, rozłamu między życiem i marzeniem, nigdy snadź jeszcze taka otchłań nie ziała między masami ludzkiemi, a nielicznymi stosunkowo, niezłomnymi przechowawcami „siły fatalnej, która zjadaczów chleba w aniołów przerabia.“ Nie wszyscy, wielcy nawet twórcy, widok tej otchłani znieść mogą; niektórzy, uniesieni bądź ambicyą, pragnieniem sławy, bądź złudzeniem, że ustąpiwszy nieco, zniżywszy trochę lot, łacniej oddziaływać będą na otoczenie, zbliżają się do tłumu — i wtedy mają cześć, i uwielbienia, i pamięć pośmiertną. Ale że przeniewierstwo celom najwyższym bezkarnem być nie może, więc jednocześnie obniżają siebie samych — i mogą być odtąd bożyszczami, ale bogami już być przestali *). Karą ich doczesną jest mus obcowania z „lokajstwem w zbrojach,“ które „na oblicze włożywszy hełmy“ poufale do równości z nimi się przyznaje. — Nieliczni tylko umieją wytrwać w zupełnej samotności, wyrzec się wszystkiego, za czem ciało krzyczy, i żyć jeno ze swemi tęsknotami i pragnieniami najwyższemi. W tych skra bóstwa

*) ...des Gedanke... dass freilich der vorzügliche Mensch das Göttliche, was in ihm ist, auch ausser sich verbreiten möchte. Dann aber trifft er auf die rohe Welt, und um auf sie zu wirken, muss er sich ihr gleichstellen; hierdurch aber vergiebt er jenen hohen Vorzügen gar sehr, und am Ende begiebt er sich ihrer gänzlich; das Himmlische, Ewige wird in den Körper irdischer Absichten eingesenkt und zu vergänglichen Schicksalen mit fortgerissen.

Goethe — Aus meinem Leben, XIV B.

niegasnącem połyska światłem, w tych duch ostatecznie wyzwala się z efemeryj, podnosi, oczyszcza i do zawrotnych rozszerza bezgranicz. Ale jednocześnie ziemska na nich pada klątwa: mogą rzucać dyamenty i perły najszczersze, nikt się po nie nie schyli, nikt ich nawet nie spostrzeże.

To objaśnia los wszystkich zapoznanych i zapomnianych, których wymieniłem powyżej. To tłómaczy również, czemu taki otchłanny twórca, taki niewymowny poeta, taki ostateczny artysta, taki bogacz barw, taki mag nastrojów, taki mistrz bez zarzutu, jak Juliusz Zeyer, jest nawet u siebie w kraju o całą nieskończoność za mało ceniony, a po za granicami Czech zupełnie nieznany. Jest poetą marzenia — tego świat nie lubi; nie schodzi na rynki — tego świat nie przebacza; jest samotnikiem — za to świat go nie zna.

Z. Przesmycki.

Moja pieśń wieczorna.



On był i myśmy byli przed początkiem —
niech imię Jego będzie pochwalone!
Razem z gwiazdami byliśmy i słońcem,
zanim się gwiazdy i słońce
jęły rozbijać w swych kołach,
zanim się stało to, co cię pożera.

O duszo, spragniona miłości,
o duszo, spragniona spokoju!

On był i ty w Nim byłaś przed początkiem,
nim jeszcze miłość i spokój
stały się ogniem trawiącym,
zanim się stały zabójczą tęsknicą
i tem kamiennem, ślepem przerażeniem.

Dzień mój przygasa —
za wielkim, niebotycznym przygasa mi szczytem,
krwawą za sobą zostawiając zorzę,
która się czepia ogniami
tych oto smreczyn i ścian poszarpanych,
zatartych śladów moich stóp.
Dzień mój przygasa, ten złoty,
ten lazurowy, ten słoneczny dzień;
w błogosławieństwie swych drogich promieni
wiążący klątwę dla człeka,
dla zbłąkanego pielgrzyma.
Niech gaśnie! niech ginie!
Niech upragniony nadejdzie już wieczór
ze swoją ciszą wieczystą,
która ci mgłami szepce miesięcznemi,
że zanim miłość i spokój
stały się ogniem trawiącym,
za nim się stały zabójczą tęsknicą
i tem kamiennem, ślepem przerażeniem,
On był i myśmy byli przed początkiem...



Błogosławiona niech będzie ta chwila,
kiedy się rodzi wieczorny hymn duszy!

kiedy od cichych pól,
od rżysk i rzecznych pobrzeży,
od przecznic i od ugorów,
od wypaczonych chat
i od tych stodół zwietrzałych
chłopięca płacze piosenka:
A grajże mi, piszczałeczko,
a grajże mi, graj!
Ulinilem cię z wierzbiny,
gdzie ten potok srebrno-siny,
gdzie ten szumny gaj!
Pani pana tam zabiła —
zieleni się, hej! mogiła,
zieleni się, hej!
A ciernisie krzewię głogu
kwiat swój sypie po rozłogu,
a szept idzie z kniej!...
A dusza słucha i słucha...
A dzień jej przygasa,
a ona śladem tęsknicy
płynie rozlewną falą księżycową,
rosami płynie, lśniącemi na łąkach,
i wierzchołkami ukojonych drzew,
i grzbietem białych gór,
ku onym dniom zapomnianym,
gdy miłość i spokój
nie były ogniem trawiącym
ani kamiennem, ślepem przerażeniem.
Przestwór się przed nią rozszerza
i przepełniony wiekuistą nocą,
topi w swych głębiach wszystko, co ją zmogło
urągowiskiem i grzechem,
i wypełnioną pokutą,
wstydu i hańby pociemniałą twarzą,

i podeptaniem świętych, bożych praw,
i krwawą zemsty pochodnią,
i bólu, bólu strasznego
tak pożądanem, a tak żrącem widmem.



Błogosławiona niech będzie ta chwila,
kiedy się rodzi wieczorny hymn duszy!...
Na senne kwiaty wystąpiła rosa,
na łąk płaszczyzny, na ciemny łan zboża,
a ona siadła u brzegu jeziora
i rozmodlona patrzy w jego głębie —
i oparami wznosi się nad wielką,
nad uciszoną, rozmodloną wodą —
i słucha, i patrzy, i szepce
swoje wieczyste pacierze.
Z zapadłych wiosek płyną rozhowory,
w bagniskach dzikie obzywa się ptactwo,
a gdzieś w pustkowiu, a gdzieś na rozstaju
w samotnej chacie pobłyskuje światło,
a tam! zdaleka cicha idzie Śmierć.
Od zórz zachodnich, w ziół zasypiających
rozkosznej woni, piosnka się kołysze,
nad niemowlęcia kolebką wysnuta:
O tej radości, o tem weselu,
o tem cudownem, ukrytem zielu
z za siódmej góry, z za siódmej rzeki,
które na smutek słodkie ma leki.
O tej godzinie, co szczęście niesie,
pieśń się kołysze po krzach, po lesie,

*po falach żyta pieśń się kołysze
w tę uroczystą wieczorną ciszę —
a w ślad za pieśnią cicha kroczy Śmierć.
Wyszła z dziedziny, gdzie miłość i spokój
nie są-ci ogniem trawiącym,
ani zabojczą tęsknicą,
ani kamiennem, ślepem przerażeniem,
i w świat podąża, ku onym rozstajom,
k'temu pustkowiu, ku chacie samotnej,
k'temu słabemu, czerwonemu światłu...
Ścieżyną zdąża i traktem szerokim,
po drodze zerwie jakiś kłos zielony
albo też listek topoli
i w zamyśleniu rzuci je pod nogi.
Lekkiemi stopy przygnie jakąś trawkę,
lub owad zdepce na miedzy,
albo swą długą, białą, przezroczystą
zanurzy rękę w staw
i jego srebrną powierzchnię
powlecze rdzą opałową.
Czasem w tym swoim pochodzie
siądzie na chwilę pod krzyżem pochyłym,
na opuszczonej mogiłce,
i głowę ukrywszy w dłonie,
głębokim jękiem zapłacze,
rozlewającym się na okrąg świata,
i potem wstaje i traktem rozległym
albo miedzami idzie znów śród zbóż
k'temu pustkowiu, gdzie w chacie samotnej
czerwone, słabe pobłyskuje światło.
A za nią snuje się smuga
sinych oparów i mgieł,
na których ciężkiem, dalekiem obrzeżu
zachodnia krwawi się zorza.*



Czemu nie gaśniesz, ty zorzo?...
On był i myśmy byli przed początkiem,
zanim się stało to, co nas pożera!
Czemu nie gaśniesz?!
Och! jak się w twoich płomieniach
palą te grona jarzębin!
jak się rozżarza ten żwir —
ten szary piasek na drodze pątniczej!
Wybaw człowieka, o Panie,
od żagwi gniewu Twojego!
Dusza ci śpiewa psalm, jak niegdyś, niegdyś —
śród koralowych jarzębin,
przy rozszumiałych, wielkich polach zbóż,
przy tajemniczych pogwarach tych lip,
rozkołysanych Twym świętym oddechem...
Pokorna, cicha, nieskalana dusza
stoi u wrótni kościółka
i psalm ci śpiewa tak wieczny,
jak wieczną ona i Ty!
Na roztęczone mgławice kadzideł
kładą się dźwięki organów,
majestatyczne, cudotwórcze dźwięki,
i podpływają ku cichej, pokornej,
ku nieskalanej, ku skupionej duszy,
klęczącej w progu świątyni.

Grona jarzębin rumienią się w słońcu,
prastare lipy szumią hymn pierwotny,
przenikający głębinę jestestwa,
łan się kołysze, rozłożysty, złoty,
w oknach świergocą jaskółki,
nad poszeptami pacierzy
nieprzeliczonych pątników
białe wzlatują gołębie,
i w rozmodleniu milczącem,
na skrzydłach psalmów, tak wiecznych
jak wieczną ona i Ty,
wznosi się dusza ku Tobie!



Bo gdzież jest większy pan i król i władzca?
Gdzież moc ci równa i równa potęga?
Sam z Siebie-ś powstał, majestat Twój płonie
na tym z wieczności zbudowanym tronie.
Z Siebie stworzyłeś ten przestwór bez końca
i z Siebie-ś w niego rzucił żar na słońca.
Istnienie-ś swoje zamknął w prochu ziemi
i wichr piersiami oddycha Twojemi.
Duszę człowieka wywiodłeś ze Siebie

wraz z duszą globów, świecących na niebie.
Tyś, Boże, ziarnem i kłosem i listkiem:
Wszystko jest z Ciebie i Ty jesteś Wszystkiem!
I przez Cię wszystko, nieśmiertelny Panie,
ma nieśmiertelne w Tobie królowanie.
Gdzież moc ci równa? gdzież równa potęga?
Gdzież jest ten płomień, co skry twej dosięga?
Gromem przemawiasz z łyskającej tuczy,
Głos Twój morzami i wulkanem huczy,
trzęsieniem ziemi ogłasza Twe wieści,
lub słodko szumi, szemrze i szeleści.
Straszliwym bywasz w Swym monarszym gniewie:
rozkwitłe pola zatapiasz w ulewie,
żagwią pożarów godzisz nam w zagrody,
bijesz dobytek i zatruwasz wody.
Lecz kto opiece Twej odda się szczerze,
tego Twa łaska od złego ustrzeże;
bo czyjaż dobroć Twych bezmiarów sięga?
Gdzież moc Ci równa i równa potęga?...

Błogosławiona niech będzie ta chwila,
kiedy się rodzi wieczorny hymn duszy,
tej nieskalanej, pokornej i prostej!

On był i myśmy byli przed początkiem, —
chwalmy i wielbmy Jego święte imię!



Czemu nie gaśniesz, ty zorzo,
nad oceanem tych ciężkich oparów,
co pochłonęły me słońce?
Księżyc się dźwignął po nad węża gór,
osrebrza brzegi obłoków,
lśni się na rysach śnieżystych;
od wschodu pełza cicha noc,
stoki swym wielkim przytłacza spokojem,
a ty się palisz!
Ztamtąd — od nizin dalekich,
usypiających poza stu wodami,
poza tysiącem dróg,
jakieś się echo przyczołguje w duszę —
Cicho!
To płacz tej dawnej, chłopięcej piosenki:
A graj-że mi, piszczałeczko,
a graj-że mi, graj!
Ulinіłem cię z wierzbiny,
gdzie ten ruczaj srebrno-siny,
gdzie ten szumny gaj!
Ach!..
Przeorałem łan o świcie —
od pola do pola,
kąkol wyrósł w mojem życie,
dola-ż moja, dola!
A grajże mi, piszczałeczko,
a graj-że mi, graj!...
a graj-że mi, graj!...
Czemu się żagwisz?...
Niech raz już wszystko zagaśnie!
Jarzębina się rumieni,
szepcą lipy stare,
suchy piasek się podnosi — — —
Czemu nie milkniesz, ty zorzo?

Dla czego krzykiem ognistym,
wystrzelającym z tych przepastnych szczelin,
z pośród tych strasznych dwóch piekielnych ścian,
tak mnie oślepiasz i tak mnie ogłuszasz,
że dojść nie mogę do kresu?
Dzień moj już przygasł,
a zorza jego się krwawi,
jakby się krwawić miała w nieskończoność!...
Wszystko pożera swemi płomieniami —
duszę mi pali i świat cały pali!
Z olbrzymich snopów ognia,
jakby młóconych niewidzialnym cepem,
sypią się ziarna skier
w okrąg na niebo i ziemię!
Księżyc się zajął
i w mgnieniu oka wyrósłszy
w ogromną kulę ognistą,
zaczyna rwać się w kawały
i płomiennemi wali się bryłami
na cielska płonących gór,
na skrawy popiół tych smreków spalonych.
Płoną jeziora,
sto wód się pali
i tysiąc dróg!
Z rozszalałego wnętrza ziemi
ogniem buchają wulkany,
gwiazd miliony tną błyskawicami
spieniony potok płomieni
i z hukiem
giną w czeluściach czerwonych.
Boże!
Czemu mnie karzesz?
W tych rozżarzonych stanąłeś przestworach,
cały spłomienion, większy, niż przestwory,

z krzyżem ogromnym, płomienistym w dłoni,
i rozżagwiony rzucasz na mnie świat...
Karz mnie!
Bom-ci ja człowiek, który wyszedł z grzechu
i prześladowan był przez grzech — do końca!
Moja to wina!
Bo oto moja nieprawość,
mnoga, jak iskry tych ogni,
przeszła granice, Panie, Twych zamiarów!
Ojca-m się wyparł,
a kiedy zamknął powieki,
krzyża-m na jego grobie nie postawił,
bom go nie prosił o garść tego błota,
o nędzny żywot ten!
Moja to wina, moja wielka wina!
Matkę-m wypędził z domu, by nie jadła
strawy, porwanej, większym, niż ja, tchórzom —
a wypędziłem ją w czas, gdy nad ziemią
przebiegał tuman nawalnic,
aby jej w drodze, w bezludnem pustkowiu,
oczy wyżarły błyskawice,
a dąb, walący się od gromu,
aby ją przygniótł swą kłodą na wieczność!
Moja to wina, moja wielka wina!
Oślepłą siostrę spotkawszy żebrzącą
u wrót wspaniałej katedry,
nie czułem tyle odwagi,
aby się dotknąć jej ręki wyschniętej
i na jej krwawe wskazując orbity,
głupim powiedzieć lwom i pustym lwicom:
Idźcie! mnie łaski waszej nie potrzeba —
to siostra moja! przy niej mi pozostać!
Moja to wina, moja wielka wina!
Psa, który zaszedł mi drogę,

i z głodu zęby wyszczerzył,
i miłosierne wlepił we mnie ślepie,
kopnąłem nogą,
aż ze skowytem padł pod moim płotem!
Robaka-m zdeptał —
tysiące owadów
miażdżyłem stopą, wlokąc się przydrożem,
ażeby duszę znudzoną
orzeźwić wschodem lub zachodem słońca.
A pnąc się w górę, ku rzeźbionym grotom,
ku tajemniczym snom stalaktytowym,
albo ku wirchom, zkąd pycha
wygraża światu pięściami z granitu,
kazałem ścinać pachołkom
gałęzie smreków młodziutkich,
gdyż iglicami drażniły mi skronie...
Zabiłem brata,
bo mi się worał w miedzę
i naręcz owsa mi wyżął
dla swego konia —
moja to wina, moja wielka wina!
Chęć mi raz przyszła obłędna,
ażeby kopać dla siebie mogiłę,
bo mi się życie stało cmentarzyskiem,
i w tę mogiłę wtrąciłem bliźniego,
tak, że oszalał między umarłymi!
Moja to wina!
Uwiodłem żonę przyjaciela —
moja to wina!
Pod próg sąsiada kazałem podrzucić
dziecko, zrodzone z mego rozbestwienia.
A raz, to grzech mi tak zaciemnił oczy,
żem po omacku szedł w przepastną głębię
strasznego lasu

i, jadowite wyszukawszy ziele,
świat niem stłumiłem w poczęciu!
Moja to wina, moja wielka wina!
Nie karz mnie, Boże, według moich zbrodni!
W tej gniewu Twego straszliwej godzinie
świat niech się kaja, lecz niechaj nie ginie!
Wielka jest moc Twa i wielka potęga,
lecz czyjaż dobroć Twej dobroci sięga?
Panie!
Rozpalonemi namiętnością dłońmi
umiałem skazić niewinną wstydliwość,
nim się w słoneczne rozwinęła kwiecie.
Podstępnie owoc zerwałem dziewiczy,
słowem, któremu dała moc obłuda,
wielbiąc zbawienie z miłości,
a sobie-m szeptał, jak złodziej, co w każdym
widzi złodzieja: rwij, nim przyjdzie inny!
Za grosz kupionej rozpuście
dałem się wlec po kałużach,
albo gdy przesyt wypił ze mnie krew,
jak widmo-m stawał u bram lupanaru,
i źrenicami, zmienionemi w szkło,
przez które ognia przezierał ostatek,
zazdrośnie-m śledził takich, jak ja — trupów,
by ich rozkoszą zwątloną
podżegać w myśli mą rozkosz przymarłą.
A nieraz podłość tak mi żarła duszę,
że chcąc wypełnić jej pustkę,
mało-m nie szeptał błądzącym przechodniom:
Nie temi drzwiami! tamte wam poradzę!
Moja to wina, moja wielka wina!
Związan ślubami,
które mi jarzmem się stały,
a sił nie mając, otwarcie

zrzucić ze siebie te błazeńskie dzwonki
arcykapłana domowych ołtarzy
i iść, gdzie w słońcu południa,
śród woniejących ogrodów
krwawo się złoci zakazane drzewo,
dawałem w duszy przystęp takim szeptom:
Niechaj-że szatan się zjawi,
i niech uwikła w sieć swojej pokusy
tę, co mi ongi była mocą szczęścia,
a dziś mnie dusi swą cnotą!
Wówczas jej krzyknę: podłaś! i już czysty
w nędznem sumieniu, pójdę spełnić zdradę!
Moja to wina! moja wielka wina!
Oto jest miłość! oto jest to źródło,
z którego bije szlachetność!
Moja to wina, moja wielka wina!
Panie!
Wszystkie ja grzechy wziąłem na swe barki,
bom-ci ja człowiek, bom urodzon z bolu,
bo żal, i rozpacz, i przestrach,
i wyczerpanie, i siła,
są przyczynami mojego istnienia...
Karz mnie! Karz mnie!
W tym rozżagwionym przestworze
masz krzyż z płomieni, większy, niż ten przestwór,
więc bezlitością swych płomiennych rąk
wyciągnij członki moje do ogromu
Twojego krzyża, na którymś zawisnął
Ty sam, o Panie! ongi przed początkiem,
kiedyś się zmuszal, by spokój i miłość
przemienić w ogień trawiący
i w skamieniałe, ślepe przerażenie! —
kiedyś ze swego spokoju
i swej miłości

wydzielał słońca i gwiazdy,
by rozbijały się w swoich elipsach,
aby się stało to, co nas pożera.
Karz mnie, człowieka, co krąży po świecie
z brzemieniem winy na ugiętym grzbiecie.
Wagę masz w ręku i miecz sprawiedliwy,
z którego lecą skry na ludzkie niwy,
a pomsty Twojej płomienna potęga
od pokolenia w pokolenie sięga.
Krew nam pożera i wysusza kości
wieczysta wszechmoc Twej zapalczywości.
Żadna się przed nią groza nie ostała —
niechaj Ci za to będzie cześć i chwała
na wieki wieków... Amen, Amen, Amen.
Panie!
Kłamałem!
Zawiść i zazdrość tuliły się do mnie
zżółkłemi łony i, nagością swoją
opanowawszy mą duszę,
kazały zezem patrzeć mi na sławę
i na bogactwo rodzonego brata.
Kradłem —
w kościele Twoim rozbiłem skarbonę!
Moja to wina, moja wielka wina!
A raz, w czarownem, wielkiem, ludnem mieście,
spiesząc ku Śmierci, która czeka na mnie,
chciwie wstrzymałem krok przed stosem złota:
i błyskawicą, która idzie z Ciebie,
— moja to wina, moja wielka wina! —
myśl mi przebiegła haniebna:
tak! wymordować czcicieli Molocha
i potem — zająć ich miejsce!
Panie!
Fałszywym byłem prorokiem

i nie umiałem powstrzymać bluźnierstwa
przeciwko Tobie, tak, jak dzisiaj bluźnię!
Krzywdy-m ja bratu nie przebaczył,
choć sam krzywdziłem jak — oszust!
Pogardę niosłem tłumowi,
jego zczerniałym, spracowanym dłoniom,
jego łachmanom, przesyconym potem!
Ornat na siebie kładłem i koronę
i wziąwszy jabłko do ręki i berło
kazałem klękać przed swoim rozkazem,
jakby nie było Twego majestatu!
Moja to wina, moja wielka wina!
Okręty słałem na spienione morze,
a w bitwach, w mojem wszczynanych imieniu,
tysiące kładły się we krwi swej własnej,
a wszak Ty jeden masz prawo
na życie człeka wydawać wyroki!...
Moja to wina, moja wielka wina!
Karz mnie!
Bom-ci ja człowiek, skazany na karę.
Bo dzień mój przygasa,
a zorza jego się krwawi
i świat się mój pali!
Bo dawno już przeszedł czas
— moja to wina, moja wielka wina! —
gdzie miłość i spokój
nie były ogniem trawiącym,
ani zabójczą tęsknicą,
ani kamiennem, ślepem przerażeniem — — —



A graj-że mi, graj!...
Jarzębiny się rumienią — — —
Suchy piasek się podnosi — — —
A graj-że mi, graj — — —

On był i myśmy byli przed początkiem,
zanim się stało to, co nas pożera...

Błogosławiona niech będzie ta chwila,
kiedy się rodzi wieczorny hymn duszy!
kiedy na wieki — na wieki —
gaśnie jej dzień — — —



Jan Kasprowicz.

Z cyklu, „GINĄCEMU ŚWIATU“ (Dies irae Salome, Święty Boże. *Życie*, 1899).

„AD LEONES!“

To nie był wcale, ani mało obiecujący talent, ani mało dotrzymać mogąca organizacya, ów rudobrody rzeźbiarz, który o godzinie zamknięcia prac chadzał prawie co wieczór do *Café-Greco* z wielką swoją charcicą kirgizkiego pochodzenia. Sam wybór zwierzęcia, które jednało wdzięk i siłę w czytelnie naznaczonych muskułach swoich, dawać już mógł uważnemu postrzegaczowi domniemania korzystnego o umysłowej godności osoby, która to a nie inne upodobała sobie stworzenie.

Jeżeli albowiem generał *Jomini* twierdzi, iż koń, nie zaś kawalerzysta, *„dobrą jazdę czyni“*... tedy, z daleko więcej psychologicznych względów, utrzymywać byłoby właściwem, że dobranie sobie tego lub owego psa rodzaju głośno o dobierającego poczuciach i umyśle znamionują. — Jużci rzeźnik zupełnie innego psa ma na myśli, jak łowiec, albo szlachetna Dama...

Śliczny to był ów rudobrodego rzeźbiarza pies, zwolna przed nim idący z paszczą otwartą i w niej rozesłanym na białych kłach amarantowym językiem, do świeżego liścia purpurowego jakiego kwiatu podobnym. Szedł zwolna, z rodzajem wspaniałomyślnej grzeczności nikogo nie potrącając, lecz gdy mu poczynali umyślnie wadzić uliczni chłopcy, oglądał się raz na pana swego

i w temże samem oka mgnieniu, jak tknięta sprężyna doskonała, z miejsca przeskakiwał całą ciżbę i szedł dalej powoli, gdy za nim chlonący od strachu swawolnicy z bruku się podnosili, jasno na razie nie pojmując, co się stało?... Podobnież i w kawiarni, kilka stołów szkłem zastawionych przeskakiwał, nic nie potrąciwszy, a w też same naturalne i powolne wracając ruchy, żadnego poklasku nie oczekiwal, jakby mniemając, iż każdy z siedzących tam gości potrafiłby toż samo zrobić.

To też cenną była *u wszystkich* śliczna charcica! Gdy mówi się *u wszystkich*, znaczy, u pewnej grupy i u dwóch chórów (greckich), u chóru dopowiadającego swoje słowa i u gestykulującego.

Grupa rudobrodego rzeźbiarza stanowiła zarazem jeden z czterech kątów bilardu, a składała się pogłównie: z Redaktora *Gazety-beletrystyczno-politycznej*, z pięknego śpiewaka, który dawał lekcye cudzoziemcom, z utalentowanego malarza i z młodzieńca-*turysty*, wysłanego przez rodziców, jak sam się wyrażał, *„dla ukształcenia się w zapatrywaniu na rzeczy."* Ten zaś był z *nieodstępnym* (w tym sensie) guwernerem, iż się zwykle obydwaj szukali po mieście, wszędzie o siebie wzajem zapytując i dopiero się w *Café-Greco* spotykali wieczorem.

Wiedzieć to wszystko i szczegóły bardziej osobiste można było prawie mimowolnie. Skutkiem albowiem pewnego rodzaju przezroczystości moralnego powietrza społecznego i skutkiem postaciowania się charakterów (dwóch rzeczy, północnym miastom i ludziom mało znanych), zdarzało się nawet osobie obcej, która aby raz do kawiarni zaszła, rozeznawać nietylko kto? w jakiej gałęzi prac i zachodów? bierze udział, ale nawet i czem w obecności się zaprząta?

Figura taka, jak redaktor, znaną być wprawdzie mogła samym skutkiem swojego publicznego atrybutu,

dopomagało jednak do rozeznania osoby ruchliwe jej spojrzenie, chętne wyrażanie i udzielanie się łatwym i grzecznym gestem, mniej chętne słowem, tudzież płowy parasol, coś do kardynalskiego podobny — i nareszcie, skoro już zaczął mówić, poznawało się po stylu człowieka pióra. Jeżeli kto uwagę kiedy zwrócił na rodzaj świdrów szklanych, obracanych przez ukryty mechanizm i do złudzenia naśladujących bieg źródlanej wody; jeżeli widział takowe szkiełka obracane w paszczach lwów gipsowych, obstawionych kwiatami i zielonością; i jeżeli wspomniał, jak liść żaden żadnego kwiatu nieczuje tam zbliżenia kropli wody ani jej chłodu i życia; tedy, ma on zupełne wyobrażenie o redaktora stylu i jego elokwencyi. Czem zaś jest on zajętym w obecności?... Jużci że stosunkiem jakimś wyjątkowym, bo i staranniej niż zazwyczaj ubrany i o nie regularnych godzinach do kawiarni na ulotne chwilki wstępuje.

Śpiewak także, z płaszczykiem swym na ręku lub na jednym ramieniu, z pobrzmiewającą coś wargą pod zbyt układnym wąsem, i ze zwitkiem nut w ręku, nic nieczytelnego w swojej postaci nie przedstawiał.

Mniej wyraźnym typem był guwerner (poszukiwany przez młodzieńca jemu poruczonego), w mówieniu szybki, ale nie w wymawianiu, seplunił nieco i parskał śliną ilekroć w zapale się poczuwal. Byłby zaś o wiele przystępniejszym i jaśniejszym, gdyby nie przymiotnik „*scientyficzny*“, nazbyt często przezeń używany. Niepłocho jednakże bierał się do pióra, ktoś albowiem, nienajdyskretniejszy, lecz bystrowzroki, rok temu u niego przyjmowany, gdy z rozsypanego na arkuszu białym tytuniu wił sobie cygaretko, wyczytał był dwa pierwsze słowa tytułu i rękopisu: „*Rzut-oka...*“ a jeszcze i wczora tamże i w podobnejże okoliczności niewięcej zdarzyło się mu wyczytać. Wiedziano jednakże, iż pracuje nad „*Rzutem*

oka", ale co u człowieka zewsząd *scientyficznego* dziwniej się przedstawiało, to, że gdy nietrafnie pchnięta przezeń bilardowa kula wykolejała się z widoków jego, natychmiast całą wagę ciała swego przechylając w stronę kierunku życzonego, gestem nogi, pięty i wzrokiem dopomagał, aby inaczej gonił ciężar... co jest przecie równie bezskuteczne, jak *nie-scientyficzne*, będąc przeciw prawom grawitacyi.

O rudobrodym w czarnych aksamitach rzeźbiarzu, który na teraz nieruchomie, jak stary wenecki portret, siaduje i udziału nie bierze w bilardowych zachodach i zapasach, wie się, iż ten dosyć ma całodziennego ruchu w ciągu wielkiej pracy swojej i z wielkim podjętej zapałem, aby jeszcze wieczorem rozrywkowych trudów poszukiwał. Zaś, ażeby mieć naprzód pojęcie o uskuteczniamen jakiego artysty dziele, nie potrzeba na to (w przezacnym Rzymie) być do poufnego temuż artyście koła zbliżonym. *Plac Hiszpański* jest właśnie o niewiele kroków od *Café-Greco* — szerokie schody, we dwa skrzydła rozwierające się i podrywające na *monte pincio*, jak gdyby z bruku ogromny jakiś, bajeczny ptak chciał wzlecieć i oczekuje tylko, aż się na piórach jego ludzie ugrupują... Plac ten i te schody stanowią *forum* modelów, to odpoczywających, to oczekujących na zajęcie; wystarcza zbliżyć się do tych grup skulpturalnych, malowniczych i dowcipnych, ażeby o każdego artysty doraźnem zatrudnieniu wszystko usłyszeć. Tam się też wiedziało bardzo dobrze, że kolosalną grupę przedsięwziął rzeźbiarz, że dzieło to ma odbrzmiewać wewnętrznym ludzkości tragedyom, że Eurypidesowego nastroju jest kompozycyą, przedstawiającą dwie postacie Chrześcian rzuconych lwom za czasu Domicyana, a szczegóły te tak już w pogadankach upowszechnionemi spotykałeś, iż, bywało, zażyły kolega nie po imieniu na rzeźbiarza wołał, lecz „*ad leo-*

nes!"... Przyjmował to i skulptor w sposób właściwy, podrywając nieco jedne skrzydło swojego szerokiego kapelusza i ramieniem prawem dodatkując znaczący gest, jakby rzeźbiarskiej gliny garść dorzucał, tak, że zatrzymywała się charcica, pozierając mu bystro w oczy, aby zgadnąć, co życzy? Pewnym rodzajem *symbolu* magicznego stawało się dzieło artysty, zaledwo mające wstąpić na świat, zaledwo rodzące się... Dziennik czytając w kawiarni, donoszący o tragicznem jakiem zajściu w polityce, obracano się nieraz ku rzeźbiarzowi, mówiąc ze stosownym przyciskiem: *„ad leones!"* — na co on z konspiratorską dwuznacznością przez zmrużanie lewego oka odpowiadał. I jednakowoż, mimo pozornej takiego to obyczaju krotochwili, piękne jest (a północnym chłodnym nieznane stronom), ile się i jak się uprzedzająco przyczynia dobra wola publiczności do uzupełnienia i wprowadzenia w życie dzieła sztuki. Lubo szczęśliwym ten tylko artysta, który trzeźwo wysłuchiwać, zrozumieć i przyjąć umiał tyle gościnne dla pracy swojej powitanie!

Że, od mnóstwa lat przyjętym jest obyczajem posługiwać się ustalonym kawiarni Greckiej adresem i tam odbierać listy swoje, przeto ówdzie o rannej zaszedłszy godzinie, nieco zadziwiony byłem, widząc już rzeźbiarza i redaktora. Minąć ich nawet chciałem, domniemywając, iż są wyjątkowym zaprzątnięci interesem, gdy wysłana po mnie charcica zmusiła mię, ażebym do pana jej i przyjaciela jego zbliżył się. Zbliżony zaś, skoro odebrałem ustne zaproszenie, abym na dzień i godzinę naznaczoną znalazł się w pracowni mistrza, dla jej nawiedzenia, rzekłem: „Nie jestem tak bardzo profanem, ażebym „mniemał, iż pokazać nam zechcecie dzieło już ukoń„czone!... lecz myślę, iż dojść mogło do jednego „z peryodów interesujących, kiedy artysta ogół myśli „uwidomił i ustatecznił — lubo, nie bez przyczyny, utrzy-

„mują biegli, że sztukmistrz do końca zachować winien „możność zupełnego swej kompozycyi odmienienia, i że „taka, właśnie i dla tego, ruch, obrót i życie miewa..."

Redaktor z wielką szybkością treść tę popierać i rozwijać zaczął, a lubo notując coś ołówkiem, jednak bacznie się w rozmowie utrzymywał; potem, dla grzeczności, zapytał na raz z rzeźbiarzem, czy nie zechciałbym z mej strony im powiedzieć, nad czem pracuję?...

„Nie zbyt wielki (rzekłem) mój udział w rzeczach „sztuki nie pozwala mi, ażebym mógł czem bardzo popisy-„wać się. Za szczerość jednakże szczerością zamieniając, „wyznam, iż niemało w tych czasach bywam zajęty „wykonaniem dwóch głów... Skoro się mówi *dwóch „głów*, znaczy zarazem i tego, co się im dla ich zupełności „i ruchu należy, lubo cel i główny interes kompozycyi „we dwóch tylko głowach zawiera się. Zadaniem albowiem „jest: ażeby jedna podnosiła oczy ku niebu, druga zaś „podnosiła oczy patrząc czy to na plafon sufitu, czy też „na hak, gdzie okrągły świecznik umieszcza się. Tej „i tamtej oczy zwrócone są w górę — — — nie taję, „iż mię praca ta dość umęczyła nieraz!"

Rzeźbiarz podparł całe czoło silną swą ręką, tak, iż charcica, u nóg leżąca pierwej, podniosła się i poczęła wejrzeń swego pana poszukiwać — Redaktor robił ołówkiem kreski na marmurze stołu — — ja, uprzejmie pożegnawszy obu, wyszedłem, zaledwo na jedną chwilkę we drzwiach wstrzymany przez młodego turystę, który o guwernera swego zapytywał. Niebardzo wiele jednak uczyniwszy kroków, spotkałem na schodach hiszpańskich guwernera i oświecony zostałem, że zaproszenie do pracowni rzeźbiarza bynajmniej mnie jako fawor wyłączny nie spotkało — że wszyscy znajomi i znani tak samo oczekiwanymi będą; idzie albowiem o ustatecznienie nieodmienne moralnego sensu grupy i atrybutów figurom

właściwych. Nadto, że redaktor swojemi wpływami tej pięknej dopiął rzeczy, iż bogaty korespondent wielkiego amerykańskiego dziennika skłania się ku zamówieniu u rzeźbiarza grupy wiadomej, chcąc ją zakupić i do Ameryki przesłać, jeżeli tak kompozycya jak egzekucya odpowiedzą życzeniom kupującego i jego wyobraźni.

Dzień nawiedzenia rzeźbiarskiej pracowni skoro w swej nadszedł pełni, znalazłem się wśród znanych osób i wśród zajmującego widoku. Od czterech kątów wielkiej sali wprawdzie nieład i nieporuszany kurz dawały ogółowi ramy fantastyczne — lecz kurz, na doskonałe gipsy upadły, podnosi tylko i bardziej uczytelnia harmonię umiejętnej plastyki. Nieład zaś, który sam oku się tłómaczy, nietyle nieporządkiem ile raczej dramą zwać się godzi.

W pośrodku światła miejscowego i pracowni stała i ciążyła wielka masa wilgotnej gliny rzeźbiarskiej, stanowiąca zaczętą grupę, którą z resztki mokrych płócien właśnie artysta odkrywał... Towarzyszyły tej robocie nieskąpo zaliczane naprzód: *bravo! bravo!*... ilekroć odjęta szmata dawała oglądać to ramię trafnie w glinie naznaczone, to biodra, to główne fałdy szat. Męzka postać obiecywała bardzo piękny tors, dziewicza, dramatyczny obrót figury — obie postacie egzaltowały znaki krzyża na sposób *pro Christo* nakreślonego; lew, który zapewne miał się osłupiony słaniać u nóg tych figur, zaledwo był bryłą, podobną do jakiego sprzętu, co tem więcej nadawało pozoru wykończenia częściom grupy dalej posuniętym.

„*Ad leones! ad leones!*“ wołał młody turysta.

A poskoczywszy do najciemniejszego kąta pracowni u drzwi samych, z po za wielkiej figury Dyonizyackiej wyprowadził małego chłopca z serwetą na ramieniu i z koszem wina, co wraz użytem gdy zostało, zwiększyło przyklaski. Sam rzeźbiarz nabrał tonu, nieco, jak należało

było, wyzywającego świat do walki... Guwerner, pomiędzy biusty na ziemi stojącemi wskazując mu najbliższy, rzecze: „Oto, zda mi się, Domicyan!..." „Pan się nie mylisz," rzeźbiarz na to, i kopnięciem nogi odbił nos Cezarowi, aż charcica, która leżała była pierwej jak gryf odlany z bronzu, podniosła się, powąchała odłamy gipsu rozbitego i powróciła ułożyć się w też same monumentalne formy i spokojność. Piękny śpiewak, zarzuciwszy udatnie płaszczyk, począł swoim wybitnym barytonem nucić z razu, a potem na całe tchnienie śpiewać którąś pieśń heroiczną, obfitemi okraszając ją:

„— — *taramta tata rata...*"

Ku czemu młody turysta i malarz niemniej bohatersko wtórowali jeszcze:

„*ramta tarata tata!...*"

Nastąpiło po tych uniesieniach psychologiczno-konieczne uciszenie, zaledwo oderwaną wzmianką malarza przetrącone, który rzekł: — „I mnie, w tych czasach „zdarzyło się coś zrobić, z czego mogę być zadowolonym, „ale będę się musiał u oczytanych ludzi zapytać, co to jest? „co to z tego będzie??... bo to może być *Kleopatra*... „a może *Wniebowzięcie*."

Uciszenie, skoro do swojej pełni doszło, i gdy wszyscy się spokojnie na siedzeniach swoich znaleźli, Redaktor w sposób następujący, do rzeźbiarza pierwszorzędnie, lecz zarazem i do gości przemówił:

„Tu nikt z nas myśli innej nie ma, albo, zastanowiwszy „się nieco, nie będzie miał innej, tylko, ażeby dzieło ge„nialnego naszego przyjaciela i Mistrza przyszłość zapew„nioną sobie znalazło. Czyli, że końcem końców wydatki „i nakłady są nietylko niemałe, lecz będą się z postępem „zwiększały..."

Tu wszyscy, na rozmaity sposób głową wzruszywszy potwierdzalnie, słuchali dalszego ciągu.

„Otóż, trafiającym się fortunnie Mecenasem w tej „sprawie byćby mógł lub nieledwie że jest bogaty kore-„spondent wielkiego amerykańskiego monitora. — Osoba ta „jaką wyznaje religię (a których w Stanach Zjednoczonych „jest kilkadziesiąt), tego gdy nie wiemy, byłoby roztropnie, „może nawet byłoby i estetycznie odjąć *krzyże* z rąk „figur? — Na cóż koniecznie ten znak martwy, którego „uczucie w całości rzeczy i tak jest rozlanem? a dla któ-„rego obecności nabywca (dajmy na to *Mojżeszowego „wyznania)* nie będzie mógł w parku swoim przed domem „grupy postawić, i od kupna się cofnie...“

Rzeźbiarz uwagę zrobił, iż te krzyże załamują stosownie bieg głównych linij, lecz, bukszpanowem szerokiem dłutem bawiąc się, wejrzał na wszystkich pilnie, jakby ogólnego uczucia poszukiwal, a że stałem najbliżej, do mnie z pytającym gestem się obrócił.

„Co do mnie,“ rzekłem, „myślę o tem, iż *ujęcie rę-„ką krzyża* jest ze znanych dotąd najtrudniejszem choreo-„graficznem i plastycznem zadaniem — PALEC DOTYKA „SYMBOLU — to nie może być ani zręczne i wykwintne, „ani niezgrabne — ani grożące, ani bez znaczenia — ani „łatwe, ani przesadne — ani proste, ani przemyślne... ani „piękne, ani niepiękne!... Nic trudniejszego nie znam! — „I artysta, który to zrobi, potrafi wszelką kompozycyę „zrobić...“

Tak rzekłem, mało baczny, iż ta uwaga moja otrzymała właśnie niezamierzany przeze mnie skutek, albowiem na raz Redaktor i malarz zawołali: — „To więc jedna wielka trudność mniej!...“ gdy rzeźbiarz, półgłosem toż samo powtórzywszy, wbiegł na schodki wyrównywające grupie a przy niej utwierdzone, i dwoma zacięciami bukszpanowego narzędzia odjął krzyż z ujęcia figury męzkiej — po czem nad ręką żeńskiej figury zatrzymał cios, ku czemu zawołał guwerner: „Jeżeli dla załamania linii należy

„*coś wetknąć* w ręce kobiety, to tu prawie scientyficznie go-
„dziłoby się nadmienić, iż do Semitów, a przez onych do
„Chrześcian, przyszedł był obyczaj jeszcze Chaldejski i Egip-
„ski, który zalecał dawanie w rękę *klucza* osobom ważne
„rzeczy uczytelniającym, lub zwiastującym (czego zasię ślady
„są i w Ewangeliach [klucze św. Piotra] i w Apokalipsie).“

Rzeźbiarz, rękę na czas tej mowy zatrzymaną opuścił z narzędziem na krzyż drugi i kilkoma biegłemi ruchy naznaczył ogólne kształty klucza. Działo się to jakoś magicznie, przez ogólny nakłon pojęć i uczuć, a zupełny brak rozumowanej protestacyi.

Jednakowoż, gdy rzeźbiarz z ostatniego zstępował schodka, zawoła nagle, do Redaktora zbliżając się:

„Ależ to tym sposobem i z tychże względów cała
„scena Chrześciańska musiałaby odmienić się!!??...“

Redaktor, biorąc ku sobie jakby na świadki guwernera, z uśmiechem i niecierpliwością rzecze:

„Czy ta grupa jest dziełem historycznem?... czy za
„Domicyana nie zaś za Nerona ta scena dzieje się? czy
„to są portrety męczennika X i męczennicy X?... jużci że
„nie! — toć nie idzie o osobistości, lecz o dramę.“

Ku czemu guwerner doda:

„Jeden scientyficzniejszy *rzut oka* zdolny jest wszystko
„wytłómaczyć — to mogą być wcale nie Chrześcianie
„rzuceni lwom — to może przedstawiać właśnie że walkę,
„właśnie że poświęcenie, właśnie że zasługę! Właśnie że
„to wszystko, czego artysta tak wdzięcznie w tej pracy
„poszukiwał, co uprawia, i na co publiczność oczekuje.“

Zapluty nieco mówca otarł usta, gdy rzeźbiarz ścisnął ręce obu. Atoli śpiewak, młody turysta, i malarz, zwyczaj mając unikania wszelkich dyskusyj (jako rzeczy próżno głowę kłopoczących), cofnęli się z pracowni cicho i grzecznie.

Charcica, która wychodzących ze zwykłym jej i miejscu odprowadzała ceremoniałem, dała się nagle słyszeć w ko-

rytarzu srebrnym dźwiękiem szczekania... Rzeźbiarz rzucił znak Redaktorowi i nam, że odczytuje z głosu psa, o co idzie? A wtem otworzyły się drzwi i wszedł jegomość miernego wzrostu, w niskim kapeluszu szarym i w szarym ubiorze bardzo świeżym, w białej arcystarannej chustce i kamizelce, z pod której gruby złoty łańcuch rzucał na brzuch kluczyki i pieczątki z drogich kamieni. Był to Amerykanin, korespondent wielkiego *monitora* Stanów Zjednoczonych.

Pozdrowił Redaktora po koleżeńsku, zamienił z rzeźbiarzem ukłony i, komplementu gest względem nas wypełniwszy, prosto do grupy się zbliżył. Chwilkę patrzył szarem i głębokiem okiem, odgarniając na tył głowy kapelusz z czoła i obejmując i gładząc rudawą brodę, która, przy ogolonych wąsach tem bujniejszą się wydawała.

„Życzę mieć szczegółowe wytłomaczenie figur“ — rzekł do Redaktora i rzeźbiarza, który na raz pół krokiem się w tył cofnął, ażeby pierwszego głosu nie zabierać.

„Jest to... jako się nadmieniło było...“ rzekł Redaktor, „jest to patetyczna scena z tragedyi życia człowieczego... „mężczyzna wyobraża tę energię czynu, która pracę po- „czyna... kobieta swój udział w niej zaleca...“

„I ona,“ Amerykanin przerwie, „zdaje się, że klucz „trzyma w ręku, gdy niżej widzę“ (i tu wskazał bryłę gliny na lwa przeznaczoną) „widzę *kufer*... ta więc kobieta „wyobraża Oszczędność?... Mężczyzny energia zapowiada „być bardzo piękną i stosowną! — — Mnie się wydaje, że „przy kufrze należałoby dać widzieć narzędzia rolnicze „i rękodzielne... Tak, jak jest, bryła niższa więcej wygląda „na jakie śpiące zwierzę, niż na szkatułę!...“

Rzeźbiarz, zbliżywszy się do grupy, naznaczył kształt sierpa i dwa boki kufra, gdy amerykanin, raz jeszcze obszedłszy dokoła całość rzeczy, zawoła:

„Jaśniej okazanej i piękniejszej myśli dawno nie „napotkałem... Grupa wyobraża KAPITALIZACYĘ „w sposób i wyrozumowany i przystępny... Na dzień „obecny, stosownie do stopnia, do którego posuniętą jest „praca, mniemam, że będzie wystarczającem, gdy kolega „Redaktor zechce na mojej karcie nakreślić...“ tu, oddał swą kartę Redaktorowi, zabierającemu się skrzętnie do pisania, i dalej mówił co następuje:

„*Izaak, Edgar Midlebank-junior*, u dostojnego „Rzeźbiarza ⁂ zamawia grupę przedstawiającą „KAPITALIZACYĘ, a która ma być z marmuru „białego, bez plamy i skazy, wykonaną — i nie „o wiele przechodzić ceną swoją 15,000 dolarów.“

„Czy tak jest godziwem?“ zapytał Amerykanin, ku czemu rzeźbiarz swoją kartę Redaktorowi nasunął, a ten skreślił:

„Rzeźbiarz ⁂ podejmuje się wykonać grupę „(KAPITALIZACYĘ) z marmuru białego, o ile „można bez plamy i skazy — nie przechodzącą „o wiele ceną swoją 75,000 lirów, i na rozkaz do- „stojnego Izaaka, Edgara Midlebank (junior) etc. etc.“

Po czem, Amerykanin, pisma oba przez szkiełko uważywszy, życzył położyć daty pominięte, a gdy się to spełniło, zamienił karty mówiąc:

„Jest wszystko, jak należy!... bardzo winszuję Panu „takiego pięknego talentu —“ (tu, dodał uścisk ręki) —„ i ta- „kiej pięknej suki!... Cóż za prześliczne zwierzę! cóż „za rasa!... Z pewnością można rzec, że takiej suki, „takiegoż rodzaju niema drugiej w całem mieście!...“ a to gdy mówił, skłonił się i począł mieć się ku drzwiom.

Co rychlej zatem rzeźbiarz ręką jedną wprawnie porzucił płótna mokre na „*Kapitalizacyę*“, drugą zaś kapelusz uchwyciwszy śpieszył za Redaktorem i guwernerem, komplimentującymi tymczasem odchodzącego gościa, któ-

rego czekał skromny powóz, by niebawem gdzieindziej go unieść.

Serce miałem obrzmiałe i ciężkie, ducha czułem poniżonego... powiew jakiś, czy jęk, Hiobowym nastrojem szemrał mi w ucho:

„Tak to więc wszystko, na tym, słusznie przeklętym „świecie, wszystko, co się poczyna z dziewiczego na„tchnienia myśli, musi tu być sprzedanem za 6 dolarów!... „*(TRZYDZIEŚCI SREBRNIKÓW)*...”

I jakkolwiek obiecywałem sobie nic wcale nie powiedzieć — nic nie dodać, nic nie powtórzyć, jednakowoż, przenieść na sobie nie mogąc całego ciężaru moralnego, rzekłem do Redaktora:

„Jak to jednak daleko od Wyznawców, i *dla wyznania* „lwom rzuconych, do *Kapitalizacyi*!...“

On zaś, giętkie okulary poprawiając, począł coś parasola ostrzem kreślić na bruku i, nie podnosząc oczu, odrzekł:

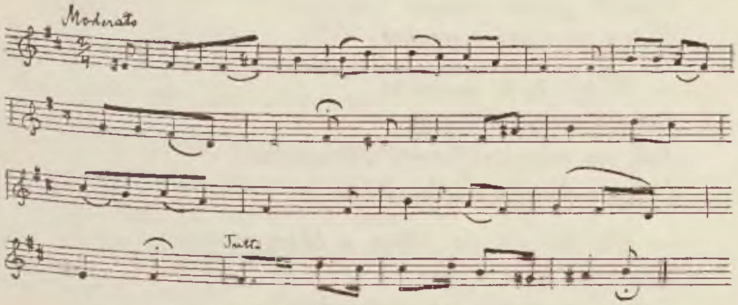
„Redakcya nie jest *telefonem*. My podobnież przecie „czynimy co dzień, z każdą nieledwie myślą i z każdem „uczuciem... *REDAKCYA JEST REDUKCYĄ*...“

„*To, tak jak sumienie jest sumieniem*,“ odpowiedziałem.



Cypryan Norwid.

Z poezyi ludowej duńsko-norweskiej.



*TOR Z HAVSGAARD. *)*

Był Tor z Havsgaard:
Jechał zieloną smugą;
Zgubił swój złoty młot.
Szukał go chwilę długą.

TOR HAMOWAŁ RUMAKA WĘDZIDŁEM.

Był Tor z Havsgaard.
Do brata rzekł w te słowa:
— Ruszaj mi do Nörrefjaeld,
Wyświeć, kto młot mój chowa. —

Był Loki Przebiegły:
Do bark przyprawił pierze,

---

*) *TOR AF HAVSGAARD. Grundtvig, Danmarks gamle Folkeviser, Kjöbenhavn 1890. nr. 1.*

Przeleciał przez słony nurt
Na Nörrefiaeldu wybrzeże.

Śród podwórców zamkowych
Skrzydła z ramion poskładał
I szedł, gdzie siedział Tossegreve,
Który doń tak zagadał:

— Witaj Loki maleńki,
Przybywający w gości:
Jak się miewa Huen z Havsgaard
I wszystkie jego włości? —

— Dobrze się ma Huen z Havsgaard
I dobrze włości jego,
Lecz Tor postradał złoty młot,
Przybywam tu po niego. —

— Za złoto, ni czesne słowo,
Tor młota nie dostanie:
Pięćdziesiąt sążni w ziemi
Głębokie ma schowanie.

Tor młota nie odzyszcze,
Niech straci tę nadzieję,
Chyba że z wianem całem
Odda mi dziewkę Freję. —

Był Loki Przebiegły,
Do bark przyprawił pierze,
Przeleciał przez słony nurt
Na przeciwne wybrzeże.

Śród podwórców zamkowych
Skrzydła z ramion poskładał,
Szedł prosto na pokoje,
Do brata tak powiadał:

— Oznajmia Tossegreve,
Że wróci tobie stratę,
Gdy mu dasz dziewkę Freję,
A z nią wiano bogate. —

Słyszała dziewka Freja,
Złość okrutna ją zdjęła:
Z pod każdego paznogcia
Krew na ziemię trysnęła.

Wykrzyknie dumna dziewka,
Porwawszy się ze stołka:
— Nie, nie wezmę za męża
Potwornego pachołka! —

— Słuchajno, siostro moja,
Krewka jesteś bez miary:
Jeżeli znajdę radę,
Jakie złożysz mi dary?

Weźmiemy brata Tora,
Włos szorstki mu przygładzim,
Jak hożą pannę młodą
Do Nörrefjaeld zaprowadzim. —

Był Tor z Havsgaard:
Brał suknie panny młodej;
Loki poszedł za drużbę
Na te weselne gody.

W strojne zamku dziedzińce
Pannę młodą wiódł potem,
Na weselne zabawy
Hojnie sypano złotem.

Prowadził pannę młodą,
Na ławie siedzieć prosił;

Wyszedł do niej Tossegreve,
Bogate dary znosił.

Potem zjadła krzyż wołu,
Dziczych udźców trzydzieście;
Stem chlebów je przegryzła
I pić zachciała wreszcie.

Krzyż wołu i trzydzieście
Dziczych udźców pożarła;
Tuzin beczek oliwy
Wlała na to do garła.

Podszedł ku niej pan młody
I frasownie powiada:
— Co za oblubienica,
Zanadto mię objada. —

Ozwał się mały Loki,
A mówiąc śmiał się skrycie:
— Osiem dni jeść jej nie daj,
Spokornieje jak dziécię. —

Usłyszał Tossegreve,
Rozśmiały mu się lice:
— Nieść tu zaraz złoty młot,
Przed mą oblubienicę. —

Ośm olbrzymów go niosło
Za rękojeść kowaną;
Pannie młodej, to wiedzcie,
Kładli go na kolano.

Hej, byłaż panna młoda:
Za rękojeść młot chwyci;
Szczerą prawdę powiadam,
Śmignie nim nakształt wici

Jednym ciosem zabiła
Potwór duży i brzydki;
Chroniły się ucieczką
Potworków niedobitki.

Był Tor z Havsgaard:
Sprawił im gody młotem;
Pięćdziesiąt pięć olbrzymów
Leżało wkrąg pokotem.

Śmiał się Loki żartownis,
Powiadając te słowa:
— Wrócić możem do domu,
Panna młoda już wdowa. —

TOR HAMOWAŁ RUMAKA WĘDZIDŁEM.



KLĄTWA ELFICY *).

Wyjechał pan Oluf o świcie z domu
I jechał dzień cały do słońca skłonu.

TAK LEKKO PO GAJU ZAWODZĄ TAN.

I wjechał pan Oluf pomiędzy skały,
Tam Elfy i karły w tańcu pląsały.

Tańczyła z karłami rzesza Elfowa,
Pląsała tam sama Elfów królowa.

*) ELVESKUD. *Grundtvig, D. g. F. 47.*

Wystąpiła panna z tanecznic grona,
Olufa za szyję wzięła rękoma.

— O panie Olufie, nie taj przede mną,
Powiedz mi, gdzie jedziesz w noc taką ciemną? —

— Ku wyspie ja jadę, w nadmorskie strony,
Na rozmowę jadę do narzeczonej. —

A panna ku niemu ściągnęła ramię:
— Wprzód potańcuj ze mną, Olufie panie! —

— Tańcować nie będę, ni się ośmielę,
Jutro mam odprawiać swoje wesele. —

— Ej, panie Olufie, kochaj mnie, proszę,
Ja tobie bogate dary przyniosę.

Siwego dam konia, co pędzi lotem,
W godzinę do Rzymu tam i z powrotem.

Nikt nie miał równego przedtem i potem,
Do tego siodełko okute złotem.

Ja tobie wyszukam tak mocnej zbroi,
Że najtęższym ciosom mieczów dostoi.

Ja ci w podarunku miecz taki złożę,
Jakiemu równego niema na dworze.

Z takiego metalu są u mnie sprzęty,
Jak twego łańcucha jarzące skręty.

Złotem brukowane most i dziedzieńce,
Świecą jak manele na twojej ręce. —

— Zachowaj ty swoje złoto czerwone,
A ja witać jadę swą przyszłą żonę. —

— Skoro tedy zemną nie chcesz iść w tany,
Bodajbyś niemocą był opętany!

Co wolisz: czy umrzeć dzisiaj wieczorem,
Czy lat siedem leżeć słabym i chorym? —

— Wolę trupem leżeć dzisiejszej doby,
Niż zim siedem dźwigać ciężar choroby. —

Schylił się pan Oluf, schylił na siodle,
Obok ognia Elfów przejeżdżał wpodle!

Trzasnęła go w piersi między ramiona,
Tak silnie, że runął na ziemię z konia.

Trzasnęła go w piersi z tak wielką siłą,
Że mu jądro serca w głos zadzwoniło.

— Jedź, panie Olufie, jechać ci pora,
Wiedz, że nie dożyjesz jutro wieczora. —

Pomogła mu sama na koń czerwony:
— Jedź, panie Olufie, do narzeczonej! —

Pan Oluf się dźwignął, zatoczył konia,
Odważnie do domu wracał przez błonia.

A kiedy dojeżdżał w bramę zamkową,
Obaczył mateczkę z siwiutką głową.

— Witaj-że mi, synku, dziecko kochane,
Co ci to pobladło liczko rumiane?

Czemu ci zbielały rumiane lica,
I czemu na siodle taka krwawica? —

— Koń mi się poszpotnął na leśnej drodze
I o pień olchowy zranił się srodze. —

— Zwodzisz mnie, Olufie, synku kochany,
Ty widziałeś kobiet Elfowych tany. —

— Tak, nie bez przyczyny mam lica blade:
Widziałem tańczącą Elfie gromadę...

Moja matko droga, uściel mi łoże,
Prowadź, droga siostro, niech się położę.

Ojcze, weź konika, proszę-ż ja ciebie,
Bracie, śpiesz po księdza, niech mię pogrzebie.

Ja głowę na białe poduszki schylę
I tak będę leżał po skonu chwilę. —

— Wszakże śmierć daleko; pociesz się, dziecię!
Niejeden choruje, nie kona przecie. —

— Co się ma dokonać, niech się dokona,
Ja już żony lubej nie ujrzę doma. —

— Spójrz, panie Olufie, tu-m jest nad wodą:
Komuż pozostawisz tę pannę młodą? —

— Konika siwego ojcu zostawię,
By na dwór królewski nosił go żwawie.

Kolasę zabierze matka rodzona,
Która mię nosiła u swego łona.

Siostrzyczce dam wszystko złoto czerwone,
Najmłodszemu bratu dam narzeczonę.

Wstańcie, bracia moi, konie siodłajcie
I do panny młodej w lot pojeżdżajcie.

Posłyszcie-ż mnie wszyscy, możni szwagrowie,
Dbajcie wy o lubej mej pani zdrowie. —

Pan Oluf odwrócił głowę ku ścienie,
O północy wydał ostatnie tchnienie.

A nazajutrz rano, tym grodzkim szlakiem,
Jechała Krystyna z drużek orszakiem.

Gdy wjeżdżali w miasto, w główną ulicę,
Zajękły dzwonami wszystkie dzwonnice.

Rzekła panna młoda, jadący drogą,
A serce jej biło ogromną trwogą:

— Czemu dzwony dzwonią od każdej wieży?
Czy śmiertelnie chory człowiek gdzie leży? —

— Panuje obyczaj w tym naszym kraju,
Że tak narzeczone swoje witają.

Panuje obyczaj z tej strony wody,
Że we dzwony biją dla panny młodej. —

A kiedy wjechali w dworca podwórze,
Paliło się światło w oknach na górze,

— O pomóż mi, Chryste, w nieszczęsną porę!
Widzę, na dniu białym tam światło gore.

O dopomoż, Chryste, mnie nieszczęśliwej,
Lękam się, pan Oluf może nieżywy! —

Kiedy pannę młodą wiedli do sieni,
Zapłakały płaczki łzami rzewnemi.

Kiedy panna młoda szła do świetlice,
Serce miała ciężkie, choć w różach lice.

I sadzali pannę młodą na krześle,
Wchodzili rycerze, dary jej nieśli.

Prosiły niewiasty sieść na kobiercu,
Ona tak mówiła, ze smutkiem w sercu:

— Widzę tutaj kwiaty i ślubne stroje,
Gdzież ten, co mi wiarę ślubował swoję? —

Rzekła Olufowa matka rodzona:
— Wyjechał na pole ujeżdżać konia.

Zabrał z sobą charty i swe sokolę,
Pan Oluf wyjechał na łowy w pole. —

— Bardziej-że sokoły, bardziej psy lubi,
Niźli narzeczoną, którą zaślubi?

I woli-ż on jechać z pachołkiem w pole,
Niźli ze swą lubą siedzieć przy stole? —

A kiedy zagasły wieczorne zorze,
Poszła panna młoda kłaść się na łoże.

I pozapalano weselne świéce,
Wiedli pannę młodą aż do łożnice.

Wiedli pannę młodą na pościel białą,
Wtem pacholę małe do niej wbieżało.

— Panienko, ja prawdę tobie odkryję:
Pan Oluf na marach, pan mój nie żyje.

Już do trumny pana mego złożono,
Ty młodszego brata masz zostać żoną. —

— Jeszcze dzisiaj wolę zejść z tego świata,
Niż Olufowego zaślubić brata.

Niech się o tem dowie młody i stary:
Za panem Olufem pójdę na mary. —

— Na cóż taić? — rzekła matka jedyna —
W górnej sali leży trup mego syna. —

Ona wszystkie płaczki do się zebrała
I szła się napatrzeć martwego ciała.

Przystanęła w progu i poszła dalej,
Tam, gdzie stały mary na środku sali.

Podbiegła Krystyna młoda do truny,
Podniosła leżące na niej całuny.

I uniosła w górę krwawej okrywy,
Tam leżał pan Oluf i był nieżywy.

Włożyła mu ręce na pierś skostniałą,
Aż jej serce z bólu zadygotało.

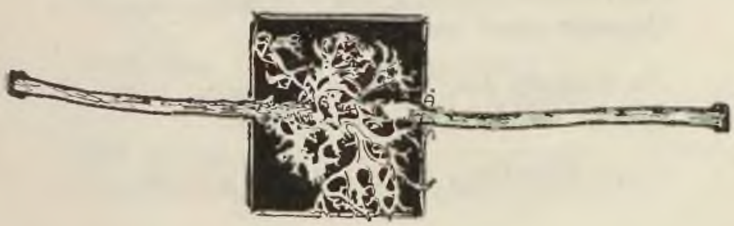
I pocałowała w ust rąbek siny,
Rozpękło jej serce tejże godziny.

Stał się wielki smutek, gdy poszły wieści,
Że tam panna młoda zmarła z boleści.

A z domu Olufa, nazajutrz rano,
Trzy trupy za bramę wyprowadzano:

Jedno panna młoda, drugie pan młody,
Trzecie stara matka, — nieszczęsne gody!

— TAK LEKKO PO GAJU ZAWODZĄ TAN. —



PAN BÖSMER W KRAINIE ELFÓW *).

Pan Bösmer za wodą mieszkał we dworze,
Chował w swoim domu dwie córki hoże.

— A LIPA SIĘ ZIELENI. —

Dwie córki i pięci synów miał młodych,
Śród nich był pan Bösmer, pierwszy z urody.

Elfica mieszkała w głębinie fal,
Długich lat piętnaście trawił ją żal.

Knuła lat piętnaście i wiosnę całą,
By pana Bösmera znęcić się dało.

Późno, o zachodzie, gdy padła rosa,
Włożyła płaszcz modry jak te niebiosa.

Elfica płaszcz modry na barki wzięła
I szła do komnatki pana Bösmera.

Pukała, błagając takiemi słowy:
— Wpuść, panie Bösmerze, wpuść do alkowy! —

— Nikogo-m nie prosił do swej komory,
Nikogo nie puszczę śród nocnej pory. —

Palce miała zwinne chytra istota,
Umiała odmykać furty i wrota.

Palce miała drobne, gibkie i śmigłe,
Odsunęła niemi zamki i rygle.

Na krawędzi łoża siadła u głowy,
Igrając, muskała włos jego płowy.

---

*) HR. BÖSMER I ELVEHJEM. D. g. F. 45.

Igrając, muskała włos jego złoty
I tak doń szeptala głosem pieszczoty:

— Przyrzecz mi, Bösmerze, świętemi słowy
Przybyć do mnie jutro na most elfowy. —

Pan Bösmer się ocknął w samej północy
I mówił, siląc się w sennej niemocy:

— Była-ż tutaj panna cudnego lica,
A taka wysmukła, jak z wosku świéca?

Była-ż tutaj panna twarzy nieznanej,
Czło miała srebrzyste i włos rozwiany?

A ja-ż jej przysięgłem świętemi słowy,
Przybyć do niej rano na most elfowy?... —

— Śpij, panie Bösmerze, snom nie daj wiary;
Elfica ci stroi obłędne mary. —

— Mym snom, jak Bóg każe, tak niech się dzieje:
Ja dotrzymać muszę, gdy rozedniéje. —

Nazajutrz raniutko, o samej zorzy,
Pan Bösmer podróżny strój na się włoży.

Brał krótką koszulę z wełny błękitnej,
Zaczem na wierzch kaftan brał aksamitny.

Więc buty kozłowe wciągał na nogi,
Do podkówek złote wiązał ostrogi.

I wołał pan Bösmer swojej czeladzi:
— Niech giermek siwego konia prowadzi,

Niech mi koń w tej chwili będzie gotowy,
Muszę zaraz jechać na most elfowy. —

Pan Bösmer do boku przypasał bronie,
Mać stara napróżno łamała dłonie.

Pan Bösmer opuszczał dworskie dziedzieńce,
Płakała mateczka, łamała ręce.

A zaledwo wjechał na most elfowy,
Koń mu się o własne potknął podkowy.

Potknął się o własne gwoździe złociste,
Pan Bösmer spadł z siodła w fale pieniste.

Siodło poszło z wodą, rumak utonął,
Pan Bösmer Elficy upadł na łono.

— Witaj mi, Bösmerze, w elfiej krainie!
Już na cię miód czeka sycony w winie. —

— Zachowaj ty swoje wina i miody;
Na taką niedolę zszedłem ja, młody! —

— Powiedz-no prawdziwie, Bösmerze panie:
Gdzie to się rodziłeś, gdzie twe mieszkanie?

Gdzie to się rodziłeś, gdzie żywiesz doma,
I gdzie to przebywa twa narzeczona? —

— W Danii dom rodzinny, mieszkanie moje,
W Danii mi skrojono rycerskie stroje.

W Danii równie stoi dom mojej miłej,
Której będę wierny aż do mogiły. —

Elfica krzyknęła do swoich sług:
— Przynieście tu winem pełny róg!

Przynieście mi tutaj puhar rogowy,
Wrzućcie do puharu kłosek elfowy! —

Wstąpiła służebna na próg komnaty,
Świecił jej się w ręku puhar bogaty.

— Pij, panie Bösmerze, piję twe zdrowie:
Potem, gdzie chcesz żywnie, pojedziesz sobie. —

Zaledwie że usta umoczył w winie,
Świat mu się odmienił w tejże godzinie.

Zapomniał rodzica, rodzonej maci,
I sióstr swych zapomniał, i starszej braci.

— Powiedz-no prawdziwie, Bösmerze panie:
Gdzie to się rodziłeś, gdzie twe mieszkanie?

Gdzie to się rodziłeś, gdzie żywiesz doma,
I gdzie to przebywa twa narzeczona? —

— W krainie elfowej rodzeństwo moje,
Z krainy elfowej te dworskie stroje;

Tu moje mieszkanie, tyś moja miła,
Już nas nie rozłączy, chyba mogiła. —

Elfica pozbyła długiej tęsknicy,
Powiodła Bösmera do swej łożnicy.

Ojciec, matka jego, łzy wylewali,
Bracia i siostrzyczki za nim płakali.

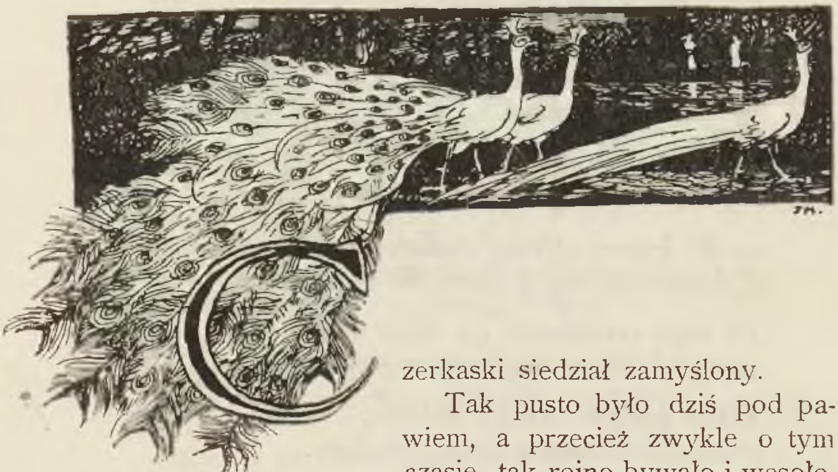
Lecz bardziej kochanka płakała może:
Poszła smutne życie kończyć w klasztorze.

— A LIPA SIĘ ZIELENI. —

(Dok. nastąp.) PRZEŁOŻYŁ Edward Porębowicz.

Synowie ziemi.

I. MALARYA.



Czerkaski siedział zamyślony.

Tak pusto było dziś pod pawiem, a przecież zwykle o tym czasie, tak rojno bywało i wesoło.

Właśnie dziś, gdy szukał towarzystwa, gdy po tylotygodniowej samotności zapragnął ujrzeć te twarze, takie mu obce i takie znajome, gdy chciał posłyszeć dźwięk cudzej mowy, gwaru, muzyki...

Wlepił bezmyślnie oczy w drzwi. Na drzwiach wisiał rysunek: paw z podniesioną nogą, pyszny, zuchwały, z roztoczonym ogonem...

„Les paons nonchalants, les paons blancs ont fui...“

Tak, to symbol dla niej. Ona była tym pawiem, strojnym w przepych i bogactwo: pyszna, próżna, zimna — och, jaka zimna...

A przecież niedawno, zaledwie przed dwoma miesiącami siedział tu z nią razem. Z nią razem? He, he — tak, razem, ale ona nie była przy nim. Że też był tak ślepy! niczego nie widział!

„Les paons nonchalants, les paons blancs ont fui...“

No tak! tak Pan Bóg chciał.

Spojrzał na zegarek.

Tak, to dziś premiera jego dramatu... Co nie jest dramatem? Nawet szczęście mydlarza może być dramatem. Bo czyż to nie jest straszny dramat, czuć się szczęśliwym? Ma żonę, kocha ją, ona go kocha — he, he... a tu naraz noga się pośliznęła— komu? no, oczywiście mydlarzowi. Był podpiły, poszedł razem z drugimi, nie wie nawet, jak się to stało... I nagle szczęśliwa para małżeńska znajduje się u lekarza chorób skórnych... Panie doktorze, mówi biedny mydlarz, jestem ostatnim łotrem — ale się stało. O to jedno proszę i błagam pana, nie niszcz naszego szczęścia małżeńskiego, nie wyjaśniaj pan mej żonie natury naszej choroby... Wchodzi ona, ta cnotliwa małżonka, nieświadoma ni grzechu ni złego... Doktór bada. Po długiej, długiej chwili: Łaskawa pani, wniosłaś pani w dom straszne nieszczęście! Ona płacze. Doktór: nie chcę niszczyć waszego szczęśliwego pożycia. Utwierdzę pani męża w mniemaniu, że on temu winien, ale pod jednym warunkiem, że pani nadal nie będziesz go zdradzała...

Ot! i szczęście mydlarza stało się dramatem.

A cóż dopiero szczęście takiego człowieka jak ja! He, he, he.

Zaśmiał się na głos.

Tak, tak, moje szczęście!

Les paons nonchalants...

Och! ten głupi, uporczywy refren!

Moje szczęście, moje szczęście — czyż to było szczęście? Nie! tylko jedna, długa męka, jeden ból, i cierpienie, i gniew...

Machnął ręką i znowu spojrzał na zegarek.

W tej chwili drzwi się otworzyły.

— Co widzę, Janek! Więc wreszcie wyszedłeś z twej nory? Szukaliśmy cię wszyscy, ale, dość niegrzecznie, nikogo do mieszkania nie wpuszczałeś. Mówiono, żeś wyjechał.

Czerkaski podał Szarskiemu rękę.

— Czasami człowiek potrzebuje być sam. Trzeba się nauczyć, być sam — a to trudna rzecz.

— A pewno, że trudna... Jabym nie umiał być sam...

Szarski spojrzał na niego mętnym wzrokiem.

— I cóż — pytał Czerkaski — pijesz jak dawniej?

— Cóż robić? Jeżeli kto pije, to ma do tego tysiąc i jeden powodów, a ja mam tysiąc i siedm.

— Jesteś nieszczęśliwy — co? — Czerkaski zaśmiał się krótko.

— Nieszczęśliwy? Hm... Ale czemuż nie poszedłeś na swoją premierę?

— Po co? By pokłonić się publiczności za tę wielką łaskę, że mnie raczy oklaskiwać? Oni mnie się powinni pokłonić, że ja im tę łaskę robię i rzucam ochłap mego serca przed ich nogi.

Czerkaski znowu rozśmiał się pogardliwie.

— Zresztą dramat nic nie wart. Dość już tej głupiej fabuły, tych zawiedzionych miłości, złamanego życia, oszukanych małżonków, krachów bankowych...

— Więc co?

— Co?—Czerkaski się zamyślił...— Co? przedstawić serce, mózg człowieka na scenie, powyciągać te robaki z serca, z mózgu, upostaciować je, postawić na nogi, zro-

bić z nich żyjących ludzi, którzy się nawzajem zagryzają, szarpią, krwawią, rzucają się na wspólną ofiarę... jeden szepce do ucha podstępne myśli, drugi broni ofiary, a rozum stoi na głowie, albo łazi na czworakach. A co? rozum stoi zawsze na głowie — co? Zrobić taki wściekły karnawał serca ludzkiego, zrobić rzecz, która się dzieje w jednem sercu, a każde inne musi drgnąć, bo i w niem to samo się dzieje — i w trzeciem to samo, i w dziesiątem...

Szarski patrzał zdziwiony.

— Więc takie alegorye!

— O nie! Powiązać to wszystko tak, że to żyje, pozostaje we wzajemnym stosunku, szarpie to biedne serce człowiecze, pcha je w przepaść, podrzuca jak piłkę w górę, znowu strąca w otchłań, aż, aż...

— Aż?

— Aż się skończy męka ludzka i rozpocznie się wsteczna metamorfoza.

— Wsteczna?

— Przez żołądek robaków, jak Szekspir mówi.

Nastała długa pauza.

Z przyległych pokoi dochodził gwar i śmiech gości i stukot bilardowych kijów o kule kościane.

— Dziwnie się zmieniłeś — przerwał Szarski milczenie, które mu widocznie było niemiłe, bo stawał się niespokojnym.

— Ja się zmieniłem? Nie, nauczyłem się tylko być sam.

— A dziś?

— Dziś było mi tęskno za ludźmi.

— Słuchaj, Janek, byliśmy przyjaciółmi, a dziś jestem taki onieśmielony...

Czerski spojrzał na niego smutno i przyjaźnie.

— Och, nie, nie! Ja cię kocham, jak cię kochałem. Tylko wielkie nieszczęścia zmieniają ludzi, tak samo, jak wielkie szczęście...

— Więc czujesz się nieszczęśliwym?

— Nie, to nie! Tylko mi wstyd dawniejszego życia... — zamyślił się. — Trzeba być hardym i splunąć na to głupie mamidło, które szczęściem nazywają. Wiesz, co Nietzsche powiedział?

— Co?

— „Czyż żyłem kiedy dla mego szczęścia? Dla mego tworu żyłem...“ Artysta, który nie umie sobie tego powiedzieć z tą samą dumą, nie jest artystą...

— A miłość?

— Piasek, którym nam życie oczy zasypuje. He, he, — miłość, miłość, miłość... Les paons nonchalants... To dobre dla Kuby i dla Maćka, ale nie dla tego, który tworzy...

Drzwi się otworzyły, do pokoju weszło z hałasem kilku młodych ludzi. Byli podnieceni, widocznie pod wpływem silnego wzruszenia.

— Jezus Marya, Czerkaski!

Czerkaski rozśmiał się nagle wesoło.

— No, wróciłem z dalekiej podróży. Nie cieszycie się?

— Ale drogi, kochany chłopie! A tam w teatrze tryumf, tryumf! Jak Kraków Krakowem, nie było jeszcze takiej premiery.

— To znaczy, że dramat nic nie wart!

— W górę, w górę! — krzyknęło kilku. Wszyscy rzucili się ku Czerkaskiemu.

— Ale dajcież mi spokój! Chryste Panie, bo mnie udusicie! — Zadzwonił. — Pięć flaszek szampana! Właśnie tyle wart mój dramat. Hej, Stasinek, zagraj-no „Słońce i pogoda“, dawno już nie słyszałem.

Stasinek siadł przy fortepianie i zagrał gwałtowny tusz; potem zaczął z olbrzymim ferworem wybębniać góralską piosnkę.

I zaczęto chórem śpiewać, że mury się trzęsły:

„Będziemy se fiołeczki smykać,
„Będziemy se ku sobie pomykać...“

Przed paru miesiącami siedziała tam naprzeciwko ona — ona, rozpromieniona, wesoła... Czerkaski drgnął.

— Hej do dyabła! Kiedyż będzie ten szampan?

— To dobre, to bardzo dobre — Winiarski przysiadł się do Czerkaskiego — tylko czemuś to dramatem nazwał?

— Jakto?

— Kobieta, która z rąk do rąk przechodzi, nie może stać się dramatem dla człowieka.

Czerkaski zaśmiał się.

— Och, ty słodka, gołębia duszo...

— Hej, Janek, twoje zdrowie! — powstał jeden z malarzy. — Jać tam gadać nie umiem, ale jako najstarszy wnoszę ex officio i ex amore — przepraszam panów, może jaki błąd zrobiłem, ale to już tak dawno, jak odmieniałem officium, — a więc ex officio wnoszę zdrowie tego, tego... no, jakby to powiedzieć... — potarł ręką łysinę... — Dajcie mi tylko chwilkę czasu...

— Zmartwychwstańca — podszepnął ktoś.

— Nie! Tego, tego...

— Proszę, żadnych dywagacyj! — mruknął Stasinek.

— Cicho! Siwcze! Patrzcie tylko, jaki on siwy! Zresztą od czasu, jak Mallarmé napisał swe Divagations, stały się dywagacye formą literacką...

— Do rzeczy, do rzeczy! — krzyknął ktoś z kąta.

— Tak więc, panowie, wnoszę zdrowie tego, który jest coś wart. Fertig! Schluss!

— Hola, ho! — ryknął Stasinek, który już samą atmosferą się upijał.

Zapanował dziwnie podniecony nastrój — gwar, hałas śmiechy, dyskusye...

— Właściwie nie spodziewałem się, żeby ta niesforna banda naszych artystów była tak dobrze wychowana — szepnął Stasinek jakiemuś młodzieńcowi do ucha. — Ani słowa aluzyi do tego szczęścia, które Czerkaskiego spotkało.

— Głupiś — odburknął młody poeta.

— Tylko widzisz — mówił Winiarski tajemniczo do Czerkaskiego — Grecy mieli zadziwiającą rzecz: chór! chór! Nasza głupia demokratyczna sztuka zatraciła chór — trzeba go odnowa wprowadzić...

— I po cóż ma ci się ten chór plątać po scenie? Francuzi mają ten nowoczesny chór, takiego rezonera, który wszędzie się wkręci, wchodzi na scenę i wychodzi, nie wiadomo po co i na co?

— A! nie tak! Powiązać go z akcyą — tak, że zrośnie się z nią, weźmie w niej udział... Maeterlinck ma to czasami — ale u niego to niespojone, wychodzi na wierzch, rzuca się w oczy, i ustawicznie ma się to wrażenie, że pokazuje palcami: teraz czekajcie, bo stanie się nieszczęście!

— Walca, Stasinek, walca!

Stasinek siadł przy fortepianie i niepewnemi palcami błądził po klawiszach z wielką, a pijacką mocą.

Rozległ się nagle wesoły, gwarny śmiech.

Jeden z malarzy udawał, w takt walca, żonglera, który podrzuca kule do góry. Robił to z taką zręcznością, że w istocie zdawało się, iż kule podlatują, spadają; ręce malarza podrzucały się do góry, krzyżowały w podrzucie, cały korpus jego podrywał się, to znowu przysiadał, oczy biegły z natężoną uwagą za iluzorycznemi kulami, wychodziły na wierzch, zdawały się chwytać je w powietrzu, wchłaniać je w siebie i znowu je w górę podrzucać.

Czerkaski śmiał się jak dziecko. Zapomniał o wszystkiem. Śledził tylko z natężoną uwagą ruchy, podrygi, podskoki malarza...

— Jak to dobrze, że tu przyszedłem — szeptał do Szarskiego. — To mózg rozpręża.

— Graj, Stasinek, graj!

Stasinek upadał ze zmęczenia, ale na grzmiący rozkaz jął znowu szukać klawiszy.

Jeden z najmłodszych począł przetwarzać dźwięki na linie... Rozwiesił rolkę papieru na ścianie, przymocował gwoździkami i rozpoczął się walc malarski. Stasinek grał i grał.

Czerkaski zniknął na chwilę: na stole pojawiło się świeżych pięć flaszek.

Na papierze kłębiły się z zadziwiającą szybkością linie, plamy, w kołach, spiralach, parabolach; w kilka minut zakołysało się morze, za kilka sekund wygramolił się potworny Neptun, kilka ciał kobiecych, w sfalowanych liniach, wynurzyło się z morza, potworne, ohydne Nimfy tłoczyły się ku Neptunowi...

— Dość, Stasinek!

Malarz stanął, obejrzał się dookoła i rzekł:

— C'est pour épater...

— Le cul de l'humanité! — krzyknął Szarski.

— Publiczność! — wrzasnął Czerkaski, mocno podochocony — cul de l'humanité! ha, ha, ha...

— Właściwie, moi panowie — Stasinek kiwał swą białą głową na wszystkie strony — niechaj mnie kto objaśni, co to znaczy publiczność? kto to jest publiczność?...

Ryk śmiechu.

Nagle powstał Czerkaski.

— Panowie, proszę o głos!

— Mistrz ma głos!

— Pytanie Stasinka, nie było tak głupie, jak się zdaje. Długo, długo sam nad tem myślałem, aż wreszcie znalazłem odpowiedź w romansie pana Markiza de Sade — wiecie, że lubię straszyć publiczność panem de Sade, tak, jak ongi Baudelaire wystraszał poczciwych burżujów za drzwi, gdy nie mógł znieść ich widoku, tem jedynem pytaniem: Czy jadłeś pan już kiedy móżdżek małego dziecka? Otóż tak samo ja, aby odstraszyć porządnych ludzi od tego tu przybytku, w którym możemy być sami, opowiadam im, że się tu odprawiają czarne msze...

— Ha, ha, ha...

— Pozwólcie, panowie — dywagacye są formą literacką, jak słusznie ktoś przede mną zauważył. — Cierpi wprawdzie na tem sam mistrz, to znaczy ja, bo uchodzę za satanistę, łotra, herszta, ale mnie to robi równą przyjemność, jak Baudelaire'owi. Trochę blagi w tem, trochę kpin, trochę pogardy, a wszystko razem: pour épater le cul de l'humanité!

— Do rzeczy, do rzeczy!

— Zaraz! Od siedmiu lat studyuję sekty satanistyczne i na tym punkcie jestem kompetentny...

— Proszę nie nudzić!

— Zaraz! Otóż przekonałem się, że nie pojedyncze jednostki są satanistyczne, ale to *gros, die compacte Majorität.* Nietzsche bardzo się myli, jeżeli mu się zdaje, że odmienił i przenicował wszystkie wartości. Ta publiczność, ten przez nas pogardzany motłoch dawno już tego dokonał. — I teraz moi panowie przystępuję do jądra rzeczy.

Odchrząknął, wypił szklankę szampana i mówił dalej.

— Jest jeden pan, który się nazywa Borel. Napisał marną książkę: Le Lycanthrope „Madame Putiphar," książka wydana 1818 r. w Paryżu w ósemce. Tam stoi napisane: Każdy porządny człowiek powinien mieć przynajmniej jeden tom Sade'a w kieszeni. A ponieważ jestem gentle-

man i bibliofil, więc mam przy sobie te dwa małe pierwsze tomiki: Justine ou les malheurs de la vertu, en Hollande, chez les libraires associés 1791. Rzecz bardzo rzadka.

Ucichło nagle, wszyscy, zaciekawieni, słuchali z natężoną uwagą.

Czerkaski znowu odchrząknął, obejrzał się dookoła, wyciągnął z paletota małą książeczkę.

— Chcecie się dowiedzieć, czem jest publiczność? Zaraz, zaraz...

Począł wertować.

— Mam! Strona 28. Madame Delmonse mówi do Justyny: Nikt nie żąda od nas cnoty, tylko maski cnoty. Jestem nierządnicą, jak Messalina, a wszyscy wierzą, albo zdają się wierzyć, żem czysta, jak Lukrecya. Jestem gorszą ateistką od Vaniniego, a wierzą, z uśmiechem wierzą, że jestem pobożna jak św. Teresa. Jestem fałszywa jak Tyberyusz, a z zezowatem spojrzeniem na bliźniego twierdzą, że jestem szczera jak Sokrates. I pewną rzeczą jest, że jestem trzeźwą jak Dyogenes, pomimo że Apicyusz nie dorównałby mi w rozpuście. Oddałam się występkowi, ohydzie, zbrodni, ale spytaj się mych bliźnich, a powiedzą: Delmonse jest aniołem!“

W gwarnym i rozbawionym przed chwilą, „nonszalanckim paonie“ stało się naraz dziwnie pochmurno i posępnie.

Każdy z tych „artistes maudits,“ tych nędzarzy, co torowali drogi przyszłości, tego nawozu, z którego miało jakieś sprytne ziarno wyciągnąć najkosztowniejsze zasoby do życia, z jego pomocą wybujać i przynieść obfity plon, każdy z nich czuł nad sobą tego strasznego upiora, co ich dławił, powalał o ziemię, tratował, niszczył, — a ich kosztem się żywił, krwią ich serca się odnawiał, myślą ich myślał...

— Publiczność, drogi Stasinku, to Madame Delmonse, a rajfurka pani Delmonse, to prasa!... Nie Nietzsche, ale madame Delmonse wywróciła na ręby wszystkie wartości. Zagładza was, a po śmierci stawia pomniki. Odżywia się kosztem waszego życia, a pogardza wami. Rzuca wam jałmużnę pięciu centów od wiersza, a zyskuje na tem miliony... Ale głupstwo! Panowie piję zdrowie pani Delmonse. Na pohybel Nietzschemu! Ha, ha, ha...

Rozśmiano się nieszczerze, krzyknięto nieszczerze:

— Vive Madame Delmonse! Na pohybel Nietzschemu!

Ale to nieszczerze...

Upiór wpijał w gardło swe szpony, dusił, dławił, ssał krew: a za to chleb ci daję! Pięć centów od kwadratowego centymetra, pięć centów od wiersza, pięć centów za funt gliny!

— Hej, Stasinek! zagraj „Słońce i pogoda."

— Właściwie należy ci się to za godną i do prawdy najwięcej zbliżoną definicyę publiczności.

Biedny Stasinek siadł znowu przy fortepianie.

— No tak, tak, co to to prawda — mruknął młody rzeźbiarz. — Kurzawę zabili — zabili! — huknął pięścią o stół.

— Podkowińskiego zabili! A teraz go żałują — mruczał Winiarski. — Niech czekają, nim takiego drugiego dostaną.

— Jednak, psia krew, jak satanizm kwitnie! — krzyknął młody pan w bardzo wytwornem ubraniu. — I to nas, nas, nazywają wyrzutkami, potworami, satanistami — hu, hu! Za to, że parę flaszek szampana wypijemy. Madame Delmonse liczy nasze kieliszki!

— „Słońce i pogoda," „Słońce i pogoda!"

— „Będziemy se fiołeczki smykać..."

Stasinek dobywał reszty sił, a jego siwa główka kiwała się na wszystkie strony...

Na rysunku nonszalanckiego paona, zawieszonym na drzwiach, rozparł się młody człowiek, i patrzał ze spokojnym, cichym uśmiechem, i kiwał głową z głęboką rezygnacyą.

Szarski podszedł taczając się ku niemu.

— Janusz, Janusz — zafantowali mi fortepian!

— Mam jeszcze jeden na składzie, jutro ci go przyślę.

— Janusz, kochasz mnie?

— Kocham.

— Pożycz mi, Janusz, 30 reńskich. Możesz?

— Mogę!

— Ale, Janusz, ty nie możesz — ja wiem, że ty nie możesz...

— Mogę, bo tak, czy tak, wszystko dyabli wezmą.

— Co?

— *Muero, porque no muero.*

— He?

— Umieram, bowiem nie umieram.

— Jakto?

— No, przecież tak młody liryk przetłómaczył to, co Krasiński przed nim przełożył: I tem umieram, że umrzeć nie mogę...

— Janusz, co klepiesz?

— Konam, a skonać nie mogę. To znaczy, że od kwartału bankrutuję.

— To co innego! Janusz, kochasz mnie?

— Kocham! Masz trzydzieści reńskich.

— „Słońce i pogoda...“

— Chryste Panie, mogą człowieka ogłuszyć! — szeptał delikatny Winiarski. Jego suchotnicza twarz była trupio-blada.

— Robaczki! robaczki! Sataniści, sadyści, słuchajcie! — Szarski krzyczał na cały głos.

Uciszyło się.

— Hrabia Ziuziu kupił sobie fonograf za dwa tysiące reńskich, pan Domaszyński automobil, nasz wielki mecenas, który co tydzień pisze obrachunki naszych grzechów, spoczywa w objęciach zacnej, szlachetnej pani Delmonse — a my, my, nędzarze, nawóz — ha, ha, ha...

— Ha, ha, ha!

— Czegóż się śmiejecie? Norwid, Berwiński, Sowiński, Kurzawa, Podkowiński — tysiąc innych: dobre towarzystwo... Otóż oni, ta potężna pani Delmonse ma tysiące i miliony na swoje orgie; ja mam od Janusza trzydzieści reńskich na niewinną zabawę! Kelner, hej, kelner! Pięć dorożek... Zaraz, w tej chwili — orient-expresem!

— Orient-expresem! ha, ha, ha!

— Panowie, na Wolę! na Wolę!

— Dobrze, na Wolę!

Czerkaski siedział, wtulony w kąt kanapy, w głębokiem zamyśleniu. Wytrzeźwiał nagle.

Wszyscy hurmem gromadzili się ku drzwiom, chwytano za paletoty, dorożki zajechały...

Czerkaski wymknął się niepostrzeżenie.



Szedł przez planty do domu.

W dali słyszał turkot dorożek. Na Wolę — na Wolę!

Czemu nie pojechał z nimi?

Ogarnął go głęboki smutek i uczucie niezmiernego osamotnienia. Czuł się osieroconym — wygnanym przez los ojczyma z chałupy w świat — w świat! I noc! A tu wiatr gwiżdże, świszcze w pożółkłych, wpół zgniłych rżyskach, i deszcz siecze go po twarzy, biedne łachmany zmoczone do nitki, deszcz ścieka mu po członkach, wsiąka w każdą szczelinę jego ciała — po drodze straszą nagie wierzby — idzie przez pola i ugory, oset szarpie mu ręce, noga lgnie w miękkiej gliniastej ziemi, raz po raz zapadnie się w rów, to znowu potknie się o miedzę — ale idzie, idzie — dokąd?

Obejrzał się zdziwiony.

Przecież to wiosna, wiosna!

Drzewa pękały i wypuszczały listki, miękkie kwietniowe powietrze muskalo mu twarz gdyby edredonowym puchem, coś nieskończenie cichego zaległo nad tą pyszną aleją kasztanów — jakiś ton beznadziejnej tęsknoty, coś tak zamkniętego w sobie, że nic nie zdołałoby rozerwać tego skupienia, coś, co tylko szeptem wypowiedzieć by

można, nie! nawet nie szeptem — tylko tą tajemną, ukrytą, wewnętrzną mową: muzyką.

Siadł na ławce, głęboko zadumany.

— Wiosna, wiosna! — szeptał cicho.

I jako widna i szeroka rozpostarła się przed jego oczyma ziemia ojczysta.

Hej! rozkwitły już pola rzepiku delikatnem, woniejącem kwieciem, zieleni się już rozkosznym kobiercem ozimina, umaiły się wierzby zielonym liściem, łąki popstrzyły się żółtym jaskrem, tulą się do trawy skromne anemony...

Zdjęła go tęsknota za domem rodzinnym — chciałby teraz tam być, chodzić, patrzeć, chłonąć to wszystko w siebie...

— Po co? — szepnął nagle.

Wszędzie ból, ból, cierpienie i ta straszna dola, przykucnięta na rozstajnych drogach.

Ale nie mógł się oderwać od tej wizyi ziemi ojczystej.

Kiedy w ciemnych nocach straszą srebrne topole po drogach, gdyby widma w białe płachty przyodziane —

Kiedy z nad Gopła powstają wodne opary i srebrną mgłą rozścielą się na łąkach, a z chałup torfiarzy płynie, poprzez to morze mgieł, biedne, chore światło —

Kiedy mgła wznosi się i roztapia w mżącym dżdżu — o, to już za wiele, — to tylko rozpływanie się czegoś, co było zgęszczone, to tajanie jakiejś zadumy; od dna duszy odrywa się jakiś mglisty szmat, skrapla się w długie, perliste łzy i spada znowu na dno duszy: jedna perła łez za drugą, coraz smutniej, coraz boleśniej... o Boże!

A cały świat staje się straszną, bolesną tęsknotą, w każdej łzie się odbija i spada z nią razem w jakieś przepastne głębie...

To płacz bez jęku — płacze się, a żaden muskuł twarzy nie zdradza płaczu. Płacze się długiemi sznurami szklistych pereł w swoje własne serce.

I jako widna i szeroka przeciągała cała ziemia ojczysta przed jego oczyma ze swoim wielkim majestatem smutku, bólu i tęsknoty:

Kiedy nadejdą noce księżycowe — kiedy nagie rżyska świecą się, gdyby olbrzymia podkowa gęstym, srebrnym gwoździem nabita, kiedy zalega taka straszna cisza, iż się zdaje, że świat cały na chwilę przestał kołować w swych błędnych kręgach, że zatonął w jakiejś strasznej, rozpacznej zadumie, kiedy...

Zerwał się nagle.

Wszystko naokoło niego stało się strasznem, i groźnem, i przeraźliwem.

I głos mu zamarł, jakby go coś ogłuszyło; czuł coś ponad sobą, co krzyczało za wyzwoleniem, a wyzwolić się nie mogło, coś, co czatowało na jego drodze, gotowe do skoku, a poza sobą słyszał ciche powłóczyste kroki — tuż, tuż poza plecami — już go chwyta, już wpija się szponami w pierś, już wgryza się jadowitem żądłem w gardło...

Strach, strach!

Szedł szybko do domu.

Ochłonął nagle.

Ziemia rodzinna!

Tak, z niej, z jej błot, bagnisk, torfowisk wyssał ten jad, który mu każde uczucie przegryza i wszystko na ból przemienia.

Zaśmiał się cicho i znowu przystanął.

Tak! tędy wracał z nią do domu z nonszalanckiego Paona.

Zastanowił się.

Czy kochał ją kiedy? Kochał ją rzeczywiście? Byłaż to tylko próżność, że ma za żonę piękną i podziwianą panią?

Zastanowił się głęboko i sięgnął duszą aż do pierwszego spotkania.

Po cóż się łudzić, po cóż się okłamywać?

Od pierwszej chwili, próżność, próżność!

Próżność ich połączyła, związała, skuła, potem dzieci silniej jeszcze węzły zadzierzgnęły — no, tak!

On był sławny, ona owiana egzotycznym urokiem — tak! i ten zamglony, tajemniczy głos, poza którym żadnej tajemnicy nie było, bo dusza jej płytka, próżna i miałka...

Les paons nonchalants...

Duszo, moja duszo, czemuś mnie oszukała?

Nie kochał jej, ale chciał, by ona go kochała. A ona go nie kochała i kochać nie mogła, bo dusza jej za płytka i za miałka.

I tak parę lat szarpaniny, ustawicznej męczarni. Parę lat wysiłków, by nawzajem nowe tortury dla siebie wyszukiwać, by się coraz wyrafinowaniej szpilkować, kłuć... ach! w tem byli niezrównani!

I jak lekko się rozstali!

Widział ją przed sobą, jak wrogim i hardym wzrokiem patrzyła na niego:

— Teraz wiem, żeś pan mnie nigdy nie kochał. Uwalniam pana z tego ciężkiego jarzma małżeństwa.

A on zimny i spokojny:

— Nie graj pani komedyi. Zdawało mi się, żeś pani dumna, ale sumienie pani tchórzliwe jak u pierwszej lepszej szwaczki. Popełniłaś pani cudzołóstwo — all right — nie sprzedała pani mnie jednemu swej skóry na rynku krakowskim — ale uniewinniać się przed sobą: wstyd!

— Brutal!

— Czemu? A może i jestem brutalny. To jedno tylko za złe pani biorę: taka dumna pani dała się wziąć na lep głupim, ordynarnym pochlebstwom — smarkacza!

Trzasnęła drzwiami.

Tak się rozstali.

Dobrze się stało. Tylko dzieci, dzieci, te biedne sieroty!

— Cóż to? poczniesz się rozkwilać? czy nie będziesz umiał wychować dwojga dzieci? Chcesz się koniecznie odziewać togą nieszczęścia, kiedy to nieszczęście jest twojem szczęściem?

Och, jaka ta dusza kłamliwa i zła!

Była dlań męczarnią i bólem — wyzwolił się wreszcie, a teraz miałby ochotę udawać nieszczęśliwego, zdradzonego Cicisbeo!

Och, nie, nie! Nie pozwolę się ani okłamywać, ani podchodzić.

Jestem wyzwolony!

Co cierpiało? Głupi, samczy instynkt, że opuściła go dla — smarkacza. Jego, Czerkaskiego dla — smarkacza. Ha! cóż robić? La femme de trente ans.

I dla czegoż ta nienawiść ku niej?

Bo mi duszę zbrukała, krzyknęło w nim coś gwałtownie. Bo dusza moja się upadlała, gdym patrzał spokojnie, jak się starała przypodobać każdemu nowemu mężczyźnie, który wszedł w mój dom, jak starała się go ująć i przykuć do swojego rydwanu. Bom malał, gdym jej ulegał, gdym pozwalał na jej kaprysy i zachcianki, gdym kreślił całe ustępy w moich pismach, które się jej — jej nie podobały, by nie wywoływać scen, bom wszedł w błoto i śmiecie...

Hu!

Przyszedł do domu, położył się na sofie i powłóczył leniwie oczyma po ścianach.

Na ścianach były porozwieszane sztychy, podług obrazów Goyi, odtwarzające sceny z sabatów czarownic.

Tam, piekielna, szatańska procesya, skłębiony chaos ludzi obojga płci, wszystkich stanów, każdego wieku.

Kobiety nawpół nagie, z rozwianym włosem, w dzikich podskokach, w epileptycznych kontorsyach, z nieludzko powykręcanemi członkami, z twarzami powykrzywianemi w dzikich rżeniach śmiechu, jęku, krzyku: bestya w człowieku uwolniła się z pęt, piekielna chuć sprzęgła się z pragnieniem krwi, rozpusta i obłęd podniecają się do najstraszniejszej ekstazy w deliryach bólu...

Tam znowu, wielki pan ziemi, ojciec nędzarzy, zrozpaczonych, szukających, ojciec tych, co grzeszą, co wątpią, co się buntują, siedzi w wielkim majestacie na olbrzymim bloku skały straszny, potworny. A u stóp jego, w skupieniu grozy i strachu, przykucnęła gromada ludzi, jego olbrzymia parafia, która ślepo jego rozkazom jest poddana.

Siedzi dumny i wspaniały, bo on jest rzeczywistym władcą ziemi. On opanował mózg człowieka i państwo myśli, które wciąż odnowa wywracają prawa i niszczą stare tablice, — on wzbudza ciekawość, by rozgmatwywać ciemne zagadki i rzeczy, w które ludziom wnikać nie wolno, — on tłómaczy ukryte runy nocy, on daje odwagę, by niszczyć szczęście tysięcy ludzi, aby tylko wytworzyć coś nowego na gruzach, — on wywołuje zbrodniczą chuć, która we wściekłem pragnieniu, by nowe wskrzesić bytu warunki, ziemię rozkopuje, najodleglejsze dale zbliża do siebie, niebo na ziemię ściąga, a państwa ziemi przetrząsa gdyby kostki w skórzanym kubku.

Ścigany, tępiony, wyrasta z własnych popiołów coraz potężniejszy, a wiecznie zwyciężany, pozostaje zawsze zwycięzcą.

A imię jego jest ból i cierpienie. A bólem i cierpieniem jest życie.

A imię jego jest zło, bo wszelki ból tworzy zło, albo korzenie jego tkwią w pierwiastku zła.

I widział go, jak świat cały okrążał, jak obejmował go swojemi szponami, jak zatruwał swym jadem każdą myśl człowieka, wciskał się do pałaców i do nędznych chat, do kościoła i do sal prawodawców, jak niszczył i rozprzęgał wszystkie stosunki, siał nienawiść między ludźmi, wzbudzał gniew i zemstę.

Bo imię jego jest wieczna zmiana, wieczne niszczenie i wieczne odrodzenie.

„Od powietrza, głodu, ognia i wojny,
I od szatana, co w dom przychodzi
I dusze zwodzi,
Zachowaj nas, Panie!“

Czerkaski drgnął. Tak! przyjął go w dom, całem ciepłem sercem, otwartemi rękoma, a potem, potem — he, he: dom jego splamiony cudzołóstwem.

Wstał ze wstrętem i chodził po pokoju.

Myśli leniwo, ciężko przesuwały się w jego głowie, gdyby ołowiane, porozstrzępiane szmaty chmur po burzy.

Przystawał, siadał, to znowu bezmyślnie bawił się rozmaitemi przedmiotami, aż wreszcie oczy jego spoczęły na marmurowej grupie, którą mu przyjaciel, rzeźbiarz, podarował.

Siedzący mężczyzna, a na jego kolanach kochanka. Oplotła jego szyję rękoma, on ją przygarnął całą siłą do swych piersi — świat zanikł, nic nie istnieje prócz nich obojga, stracili poczucie czasu — błądzą w wieczności, są światem sami dla siebie.

Posmutniał.

Miłość! miłość! Ta jego ustawiczna tęsknota, ustawiczne pragnienie. Czemuż nie był nigdy kochany — czemuż nie mógł być kochanym?

A może twórca nie może być kochanym przez kobietę? Czyż nie jest on właściwie li tylko metafizyczną istotą, a zewnętrzny człowiek, ten który pragnie, który

czuje, błądzi i szuka szczęścia, tylko czemś przypadkowem, akcydensem?

I myślą przeżywał całe to biedne życie twórcy: jeden olbrzymi łańcuch nieszczęścia, zawodów, nędzy. Zdawało się, jak gdyby szatan-natura wysilała się, by niczego mu nie oszczędzić, jakby sama się przesadzała w pomysłach nowych katuszy i tortur, coraz to straszniejszych cierpień i mąk. Bo jedyne źródło tworzenia to ból.

Na Wolę! na Wolę! Nędzarze, którzy się przez chwilę chcą oszołomić, by jutro tem silniej i boleśniej odczuwać cały brudny ciężar życia.

Rodzą się nędzarzami. Przyjdą na świat, bieda i niedostatek spoglądają w ich zdziwione oczy — potem straszna walka z życiem, na strychach i poddaszach, w głodzie, błocie, upokorzeniu... Ale idą na przebój. A szatan-los, nieodstępny towarzysz, co chwila nogę podstawia — padają, podnoszą się znowu, znowu się potykają... idą po twardej ścieżce, a szatański ognik błędny wabi ich na najgłębsze bagna — bo tak chciało ich przeznaczenie, że ze swej krwi, ze swego bólu, z błota i bagna życia, mają wskrzeszać cudotwórcze kwiaty, z brudu snuć złote przędziwo, a śmiecie życia pokrywać bogatym kobiercem piękna.

Na Wolę! na Wolę!

Jutro, kochany Szarski, nie zostanie ci z twoich trzydziestu reńskich ani centa, ale dziś stłumisz na parę godzin ból swego serca. I jutro znowu głód i cztery nagie ściany, ale to dobrze, dobrze, bo tak chciało twoje przeznaczenie, byś dzisiaj niszczył wszystkie warunki życia, byś sam pod sobą dołki kopał, byś się wysilał na to, aby wszystkie mosty za sobą popalić...

Czemu?

Byś mógł tworzyć — ha, ha, ha...

I ta garstka nędzarzy, która odwala kamienie od pieczary kryjącej skarby Sezama; co szarpie i rozrywa swe serca, w pogoni za tajnią i głębią myśli i uczuć ludzkich; ci biedni nędzarze, co swoich braci w Chrystusie uczą czuć i myśleć — ha, ha, ha... nowe drogi torują, drą się przez gąszcze i zarośla, łamią gałęzie i tępią ciemne bory, by wreszcie ukazać to słońce, które przecież ma wzejść ponad ludzkością...

Świtało.

Z ciemnej pomroki wyłaniały się Sukiennice i szlachetne linie kościoła Maryackiego. Jakaś dziwna czystość, odświętna białość Zielonych Świątek zaległa uroczystym, rozmodlonym czarem na Rynku.

Stał przy oknie i patrzał długo na tę jasnofioletową, pełną tajemnego uroku, mszę poranną świtu.

Obiegł myślą całe miasto. Smutny a wyniosły Wawel, taki w sobie skupiony, hardy i ponury, jak człowiek w którym się całe życie załamało. Wkulony w siebie, cichy i do ziemi przykucnięty kościół św. Krzyża. Taki cichy, a taki wmyślony w swoje błogie szczęście — ten cudowny kościół, ta „Victoria regia“ kościołów, co w cichej nocy rozkwita i zdumiona patrzy, jak się liście rozrastają, rozchylają, a z ich łona wystrzela nagle mistyczny kielich kwiatu. I kościół św. Katarzyny, rozpostarty na ziemi, gdyby dąb, strasznym huraganem wraz z korzeniami z ziemi wyrwany. I kościół Bożego Ciała, jak jedna, twarda, nieubłagana brama raju, przed którą, zda się, stoi Anioł z mieczem płomiennym. Obiegł duszą dookoła to białe miasto, tę skarbnicę wspaniałej, królewskiej przeszłości. Teraz się tu rozpanoszyli kramarze i profesorzy, i ukryta, tchórzliwa rozpusta, i głupia hipokryzya — a wokół płynęła Wisła, leniwo, powoli — bo ma czas, ma czas! — płynęła i ziała zarazą malaryi na to wspaniałe miasto.

Wszędzie malarya! Malarya we krwi i tkankach wynędzniałego żebractwa i żydowstwa, malarya w mózgu i nerwach tych niezdolnych do życia neurasteników, którzy się kiedyś chmarą całą do niego cisnęli, malarya w sercach obłudnego, rozpustnego mieszczaństwa, o małej a niechlujnej duszy.

Zdawało mu się, że całe miasto zarażone było tą szatańską malaryą.

Widział ją w białkach oczu profesora, co z całym spokojem rozwijał tezę, kto ciągnie świnię na targ, powróz czy człowiek? Widział ją na pargaminowej skórze księdza, który był współtowarzyszem i współwinowajcą jakiegoś hrabiego, oskarżonego o nieczystą zbrodnię—malarya niszczyła całe pokolenie wykolejonych i wydziedziczonych, którzy, by żyć, dawali się używać w pokątnej prasie do najwstrętniejszych brudów.

Zaśmiał się smutnie.

Malarya! malarya! I jemu jad choroby poprzegryzał duszę, ręce opadły, a serce boli, boli... Wszystko w tym wielkim relikwiarzu psuł i niszczył ten jad — najszlachetniejsze zapędy, najgorętsze porywy i uniesienia.

A wokół płynęła stara Wisła „srebrną wstęgą“ — płynęła leniwie i powoli i ziała zarazą na miasto.

Jakiś straszny smutek wypełniał po brzegi jego duszę.

Szatan okrążał to miasto.

Przyjaciel przyjacielowi podstawiał nogę, zdradzał jego tajemnice, grzebał mu w duszy nieczystą ręką. Żony oddawały się rozpuście w pokojach studentów i dziennikarzy: fałsz, przedajność, obłuda, i najstraszniejsza ze wszystkich zbrodni, głupota, rozbiły tu swe świątynie.

Pamiętał, jak przed kilku laty powrócił do ojczyzny. Z takiem gorącem sercem, z taką bezbrzeżną miłością, że w każdym uliczniku widział przyjaciela, bratał się z każdym dorożkarzem...

Dziwna wszakże! u progu relikwiarza powitał go błazen!

Przystępuje do niego jakiś młody człowiek, patrzy na niego sztywnym, osłupiałym wzrokiem.

— Pan jesteś naszą chlubą — czyż nie tak?

— Nic o tem nie wiem.

— Przesadna skromność, właściwa tylko geniuszom.

— Nie klep pan głupstw — ot! podaj mi pan rękę i siadaj.

— Panie, nie jestem wart być cielakiem, z którego skóry zrobione buty pańskie, a cóż dopiero podać Mu rękę.

— No to siądź pan — wypijemy kieliszek wódki!

Siedzą chwilę w głębokiem milczeniu.

— I cóż, stary Zygmunt nie zakołysał się na pańskie przywitanie?

— He? Czekaj pan z rok, będzie się kołysał z radości, gdy mnie żegnać będzie.

I cóż pozostało po nim?

Śmieszna karykatura jego stylu, kilka wypaczonych myśli, kilka jego zwrotów, para „schlagwortów“ żywcem wyrwanych z jego książek, wykoszlawionych do śmieszności, a słowa jego, z takim trudem dobierane, stały się obłędnem paplaniem pijanego maniaka.

Zawstydził się. Był niesprawiedliwym. Bo obok niego stało kilku, których kochał i uwielbiał. Z głęboką miłością spoczęła jego myśl na tych kilku odludkach, tych mocnych, co, nieznani, z pogardą dla tłumu, z ubóstwiającym fetyszyzmem dla sztuki szli nowemi drogami.

I Szarski, i Winiarski, i Złotkiewicz, i Broczyński, i jeszcze kilku...

Nie! był niesprawiedliwy.

Z głęboką wdzięcznością myślał o tych godzinach i nocach, które razem z nimi spędził — o tej serdecznej, prawie dziecięcej wesołości, jaką raz po raz się odżywiali,

o tej radości, którą czuli, gdy chodziło o to, by przyjść koledze z pomocą.

Fałszywy obrachunek, fałszywy!

I przeżywał nieledwie każdy dzień, który z nimi spędził, dzień po dniu w ich pracowniach, w ich mieszkaniach, dzień po dniu, w których gromadzili się w jego salonie, dzień po dniu w tym ongi tak wesołym paonie...

A jednak rozpierała mu duszę tęsknota, by uciec ztąd, schować się tak, by go żaden list i żadna gazeta nie doszły. Albo nie!

Tam, ach, tam! Gdzie srebrzą się nagie rżyska w nocach księżycowych, gdzie pod jesień zalega taka cisza, iż zdaje się, że świat przestał kołować w swoich błędnych kręgach, że szatan sam spoczął i przestał okrążać ziemię, przestał podszeptywać ludziom zbrodnie, by żona z lekkiem sercem opuszczała męża, by...

Drgnął. Znów ją ujrzał przed sobą, wiotką, gibką i taką pyszną...

A ruchy jej, te ruchy kobiety, która czuje, że jest piękną, że wszyscy muszą na nią patrzeć i ją podziwiać...

„A krew moja taka młoda i taka wiosenna, jakby młode słońce złoto swoje w mych żyłach rozpyliło...“

Słyszał jej głos przymglony, głos kobiety, która wabi, nęci, kobiety spragnionej nowej zabawki, nowych niewolników.

— Hm, pięknie to powiedziałaś. Śniegi stopniały, lody roztajały. Budzisz się ze snu zimowego. Mocna-ś, co? Silna i spragniona? Na kogo sieci zarzucisz? Aleś młoda i piękna... he, he — trzeba się od ludzi odciąć; człowiek, który ma piękną żonę nie powinien mieć przyjaciół — nie powinien! — krzyknął nagle z wściekłością i trzasnął drzwiami.

Za sobą słyszał jej przeciągły, szyderczy śmiech.

O, tak, tak! Był wtedy śmieszny, czuł się wtedy upokorzonym.

Inaczej powinien był to zrobić — tak, jak ów hrabia.

Zaciął zęby.

Tak! jak on hrabia, co spotyka swą żonę na gorącym uczynku — patrzy przez chwilę na skamieniałą z przerażenia parę — uśmiecha się... jak się uśmiecha? He! Sam trochę zawstydzony, trochę upokorzony? o, nie! wcale nie! W tym śmiechu tkwiła tylko jedna straszliwa pogarda: ecce foemina!

Tak! a na kochanka nie zwraca najmniejszej uwagi. To już szczyt pogardy, to pogarda, spotęgowana do wysokości podniebnych, to Himalaya pogardy. Jabym podskoczył, chwycił hrabiego obu rękoma za szyję i zadusiłbym na śmierć... nie zniósłbym tej obelgi... ale ten pan wytrzeszczył tylko ślepie i patrzał przerażony...

A hrabia mówi delikatnym, uśmiechniętym, jak aksamit w słońcu południa uśmiechniętym głosem: Pomyśl tylko moja duszko, jakaś ty nieostrożna! Drzwi nie zamknąć! Któż widział? taka popędliwość krwi! I pomyśl, gdyby tu był kto inny zaszedł! Co za skandal!

I uśmiechniętym, jak aksamit w południowem słońcu uśmiechniętym krokiem wyszedł z sypialni...

Tak! to piękne! W dwa tygodnie potem znaleziono hrabiego w głębokim parowie z roztrzaskaną czaszką. Spadł z Montblanc'u, a był zaciekłym turystą.

Hej! dusze mieszczańskie, was na to nie stać!

Hrabia kochał żonę. Ona mówiła, że go kocha. On jej wierzył. Hrabia spokojnie patrzał na stosunek swej żony do młodego porucznika.

Patrzał spokojnie. Bo albo kobieta kocha, a wtedy żaden mężczyzna dla niej nie istnieje, albo miłość jej słabnie, a taka miłość nic nie warta, albo też najszczersza miłość kobiety znaczy to, że nie kocha: all right.

Jak się wobec tego zachować?

Cóż z błaznem zrobić? Nic! Błazen, ten quelqu'un, bo wobec mnie każdy jest takiem qualcheduno, nie uwodzi nigdy kobiety. Niema zresztą mężczyzny, któryby był zdolny uwieść kobietę — to nonsens, to infernalna orgia głupoty: mężczyzna nigdy nie robi pierwszego kroku — to słynne „perskie oczko“ robi zawsze kobieta. A więc, co zrobić z uwiedzionym biednym samcem, który z całej tej sprawy wynosi uczucie ohydnego wstydu i upokorzenia? Nic, zupełnie nic! Mówi się co najwyżej: wynoś się pan, pókiś cały, i ciesz się, że nie jestem samcem, który drugiemu brzuch rozpruwa, gdy chodzi o samiczkę! Ale nie mówi się nawet: wynoś się pan! Tylko się czeka, spokojniuteńko się czeka.

Bajeczna komedya!

On — ten porucznik naturalnie — staje się coraz słodszym, przyjaźń jego niema granic, niema takiej rzeczy, którejby nie zrobił dla hrabiego. Hrabia byłby strasznie głupi, gdyby chciał sobie popsuć całą komedyą. Jest nadzwyczaj uprzejmy, nawet mniej chłodny, niżeli przedtem. Żona jego jest czulsza, niż kiedykolwiek, a i hrabia ze swej strony twierdzi, że nigdy nie był tak szczęśliwy... Raz pan hrabia zauważył jakieś pomieszanie u nich obojga, nie mógł sobie wybaczyć, że był tak nieostrożny i zobaczył coś przedwcześnie.

Pan hrabia wszystko widział, wszystko wiedział i dziwił się tylko, do jakiej podłości może dojść mężczyzna, który kocha kobietę z — przeszkodami.

Cóż z nią zrobić? medytował pan hrabia. Zabić? po co? nie warta tego! Pojedynek? Ha, ha — jej kochanek — to uwiedzione biedactwo, aż nadto ukarane swojem upodleniem...

I stało się wreszcie.

A panu hrabiemu oślizněła się noga na gleczerach Mont-Blanc'u.

A dlaczego mu się oślizněła?

Kochał ją za bardzo.

Tak! — Czerkaski ziewnął. — Kochał ją za bardzo.

Spojrzał przez okno. I dziwna! Rynek, i kościół Maryacki, i kościół św. Barbary, i samotna, osierocona wdowa: wieża ratusza, wszystko to znikło mu z przed oczu — pozostała tylko jakaś przepotężna pustka nieba. Wszystkie gwiazdy pogasły — niebo białe jak droga poprzez świąteczną cichą wieś podczas Zielonych Świątek — tak! — patrzał na niebo — dziwna! bo przecież widział wszystkie gwiazdy w ich biegach, ich szalonym pędzie naokół olbrzymich kręgów.

„Tak, jak się to wszystko na nowo rozpocznie, będę znowu stał przed wami z moją białą różdżką," powiedział jakiś Pytagorejczyk. A biedny, wielki męczennik myśli o odwiecznym pierścieniu powrotu, Nietzsche, myślał tak samo.

I co?

Rozwój świata i życia tworzy pierścień — nie biegnie do jakiegoś końca, ale do swego początku...

Na rynku zajechało kilka fur gospodarzy z okolicznych wsi. Z półkoszków i furmanek poczęły kobiety wyjmować konewki z mlekiem, osełki i faseczki masła...

Więc słońce i nasze planety były początkowo wielkiem ogniskiem gazowem, którego środkiem było słońce, a peryferya rozciągała się gdzieś poza Neptun. I to ognisko poczęło się kurczyć, krążyć, szaleć w niesłychanym pędzie; pierścienie się odrywały, pękały, popękane kawałki zbijały się w pięście — pięście, dzikie, odgrażające się pięście stały się planetami i jedna z najstraszniejszych tych pięści, ziemia ze swym biednym padołem płaczu, z tym biednym płazem, czołgającym się przed nieznaną mocą,

cierpiącym nie wiadomo dla czego, radosnym i w niebo rozkoszą wykrzykującym nie wiadomo dla czego, ta ziemia ze swoim płodem to najstraszniejsza, najgroźniejsza skarga...

A wokół płynie Wisła i zieje zarazą malaryi. Rozszczepia im jadem mózg, miliardem zarazków zatruwa im krew...

Ha, ha, ha...

I przyjdzie czas, gdy ciała, krążące naokoło słońca, postarzeją się... gdy jakaś drobnostka wytrąci jakąś planetę z drogi... ta jedna pomiesza tory tysiąca innych; siły centryfugalna i centrypetalna staną się śmieszną teoryą profesorów fizyki, i nagle ze strasznym krzykiem wyzwolenia tysiące znanych i nieznanych planet rzucą się w piekielne objęcia Molocha-Słońca. Ze wszystkich dali, ze wszystkich wysokości ciska się to wszystko, leci, rzuca, obrywa się w to łono strasznej, potwornej matki.

Matka umiera.

He, he! nie umiera, na nowo życie rozpoczyna, rozognia się, pali — i cały system słoneczny staje się odnowa mgławiskiem — ciałem — ogniskiem — i... och! i... pierścień wiecznego powrotu rozpoczyna się na nowo.

I co?

„Tak, jak się to wszystko odnowa rozpocznie, powrócę i ja, i stanę, jak dziś, przed wami z moją białą różdżką.“

I toż jest moje przeznaczenie?

A może to malarya, która ich wszystkich naokół niszczy?

Może i w moją duszę zionęła ta mściwa, ta złośliwa Wisła jad malaryi?

Nie, nie, krzyknęło w nim coś.

I czem jestem?

Byłem i będę.

Milion razy świat się przetworzył; pozostał taki sam, jaki był, milion razy powróci taki sam, jaki był. Byłem,

po milion razy byłem i po milion razy będę. I byłem, i wrócę coraz silniejszy, coraz więcej świadomy. To wszystko, na co byłem ślepy przed milionem lat, przejrzę, gdy powrócę...

A Twoje imię święte niech będzie błogosławione!

Ktoś Ty? Czem-eś Ty?

Uczuł straszny lęk. Ale tylko na chwilę.

Bo już, już padł na kolana i oparł skroń o sofę.

Chciał się modlić; nie umiał.

Więc tylko jeden bełkot, jeden krzyk, jeden straszny, cichy smutek:

— Wybaw mnie, Panie!

Turkot na ulicy stał się nieznośny. Oprzytomniał.

— Tak, tak... tak się kończą chwile uniesienia i smutku. Trzeba iść spać — he, he — spać... Och, jaki-m ja zmęczony!

Obejrzał się.

— Wstydzę się! Ja nigdy nie jestem śpiący ani zmęczony.

Położył się na kanapie.

I nadeszła biała godzina. Położył swe serce w białe jej dłonie i płynął tam, gdzie szatan przestał podszeptywać ludziom, by przyjaciel przyjaciela zdradzał, by żona z lekkiem sercem męża opuszczała, by... by...

Boże, mój Boże...



(Ciąg dalszy.) Stanisław Przybyszewski.

Żal.

Strącony okwiat grusz na staw nafrunął bielą,
Na skrzek i duży liść okrągły padł grążelom;
Kaczeniec żółty śpi na chabrze wód, i gra mi
Błękitnych szklarek rój—rój skier nad ajerami.

Odbijam senną łódź i płynę ku topielom,
Gdzie w pląsach gony ryb przezroczy murt popielą,
Gdzie tonie runo chmur i czystość wody plami,
Gdzie szczupak lustro wód przecina pletw ostrzami.

Niekiedy wiosło z dna wywlecze kwiat kaczeńczy,
Niekiedy łodzi burt o suchy trze oczeret—
Siedzibę chmary much. Kapela muszych czered

Dogania senną łódź, i długo za mną dźwięczy
Smętnawy cichy brzęk—jęczenie brzmi komarze;
Oddaję fali ster i wiosło z rąk—i marzę...

Przyjdzie polną drożyną, w biel odziana liliową,
Przyjdzie, kiedy się wdzięczy brzask jutrzenny dąbrowom;
Wróci chabry i maki, by strój łanom barwiły,
Wróci białość czeremchom u wezgłowia mogiły.

Mirt umai grobowce ukochania nanowo,
Z łąki dmuchnie wiatr kwiecia rozżarzone opyły,
Wokół cierni powóje znowu będą się wiły,
Zajrzy osa brzęcząca w konchę malwy różową.

Burz majowych strumienie ubalsamią drzew korę,
I krzewinę okoli nimb tęczowych promieni;
Z latorośli wierzbowej pasterz fletnię uleni,

Zagra... Echo odpowie tam za borem, za borem...
Hej, przyleci dziewczyna, narwie, narwie złocieni
I ożeni złocisty wian z pasterza kędziorem.

Jan Lemański.

Pies.

Ja miałem kiedyś swoją budę — lecz w nocy raz głuszący huk
Obudził mnie obuchem w głowę — i rozszalała masa wód
Na moje wpadła legowisko — i darmo prężył się moj trud,
Daremnie-m się z żywiołem wściekłym o swoją budę gryzł
i mógł!

Zatopił mi ją, a mnie porwał i, z rykiem tryumfalnych trąb,
Zwyciężonego niósł na barach i z mych wysiłków marnych
drwił —
I, oszołomion dzikim pędem, zgnębiony, zabaczyłem sił
I zdałem mu się, nawpół czując, jak niesie mnie na straszną
głąb'.

Na morze rzucił mnie, na morze, co jak pustynia leży wkrąg,
I myśli, żem się tych obszarów bezkresnych, pustych morza
zląkł —
Że będę, łeb ku niebu tężąc, z wściekłości i rozpaczy wył!

Nie będę wył!! — Na żywioł morza, co taki groźny wkoło legł,
Mam — Pies potężny — morze Mocy, huczące burzą skroś
mych żył — —
Mnie stanie tchu! i łap mi stanie! i moj jest niewiadomy
brzeg!

Witoldowi Olszewskiemu.

Zaklęte skarby.

Nagi, smukły, gibki Półmierzch chodzi cicho puszczą senną,
I raz po raz rękę wznosi między starych drzew korony,
I otrząsa lekko nikły pył ciemności w miał stłuczonej,
I pył pada — pada — pada: starą puszczę bierze w lenno.

A dnem puszczy, od mchów siwych, od pni starych, jakieś płyną
Mgły niechwytne — jak przeczucia, co o jednym wiedzą dziwie,
Przecudownym a ostrożnym, i podchodzą go lękliwie,
A on wciąż im się wymyka, lecąc w przestrzeń mroczno-siną.

Płyną mgły niechwytne, dziwne, przez tajemną, starą puszczę,
Pełzną wiotkie przez zatory pni, co wpoprzek drogi legły,
Przelewają się przez rowy, sączą się przez gęste kuszcze,

Lekko, cicho!... Ominęły ślizgich wężów ród przebiegły
I, przypadłszy przed spróchniałym pniem, za rąbek jego kory
Wychyliły się i patrzą w białe, ciche muchomory...

Bronisławowi Olszewskiemu.

Józef Ruffer.

Gra.

Z fantazyą, z rozhukanem szaleństwem junaczem,
W pogardzie niebezpieczeństw drwiąco rzucam kości
Z przeznaczeniem mem, chytrym i fałszywym graczem,
O całe moje życie, o los mej przyszłości.

Wróg mój drży, niepewnością blady, i na stawkę
Kładzie korzyści błahe obietnicy marnej,
A ja z szyderstwem zimnem patrzę na zabawkę
Nadmiaru mojej siły i buty bezkarnej.

Lekkomyślnie me skarby stawiam, i ze sfory
Wierne psy-wichry moje, lotne białozory
I władce moich stepów, płomienne bachmaty.

Bo rzut mój musi znakiem wygranej bogatej
Paść dla mnie, a dla niego sromem stratnej klęski —
I w twarz mu tryumfalnie cisnę śmiech zwycięzki!

Wspomnienie.

Na to duchowi memu przydane tęsknoty,
Mojej potęgi przyszłej pilne, skrzętne pszczoły,
By zbierały wosk jasny, zapas miodu złoty,
Gdy będę miał zastawiać Bogu Jutra stoły.

I wysyłam je, myślą pogodną wesoły,
Na wonne, żyzne pola i w leśne wykroty
Żywicznych, kwietnych jarów, zkąd mocnemi zioły
Opiłe z ciężkim plonem wracają z roboty.

Ale czasem, zdradziecki, nikczemny pasiecznik,
Ograbiam świętokradczo złotopłynne ule,
Rozlewam miód, roztrwaniam po piasku i mule,

A z wosku lepię bladą gromnicę, by świecznik
Rozjaśnił moich wspomnień bezpłodnych łzawnice...
I w widma, kradnącego mi Moc, patrzę lice...

Rzeźbiarz.

Mistrz uczuł w swojej piersi dech nieskończoności
Potężnej jak ocean, gdy się pianą zwełni,
Chciał wyrzucić z swej głębi moc życiowej pełni,
Której orkan wezbranej potęgi zazdrości.

I w głazie dłonie jego młodzieńca wykuły,
Który miał ludzi uczyć zwycięstw, dumy, chwały.
Posągu człon drgał każdy, siłą napęczniały,
Wszystkie szałem nadmiaru grały w nim muskuły.

A ten, co pierwszy ujrzał boskość w mistrza tworze,
Padł na twarz zatrwożony, szepcąc ciche modły:
„W proch przed tobą mocarze niech padną najpierwsi!“

Mistrz zmarszczył brwi, odtrącił zgiętego w pokorze
I, widząc, jak moc rzuca siew słabości podłej,
Młotem strzaskał posągu granitowe piersi!

Leopold Staff.

Magdalena.

Drobną stopą zdeptawszy syryjskie purpury,
Słuchała nieruchoma, przegięta niedbale,
Owych pieśni śpiewanych ku jej ciała chwale
W świetlicy obwiedzionej kwiecianemi sznury.

Lecz z jej oczu, jak tygrys, co ukrył pazury,
Już dziki szał, przyczajon, zrywał się zuchwale,
I ust zniżał dyszące wilgotne korale,
I rozpalał łaknących ramion jej marmury.

I blada pod złoconych warkoczy płomieniem,
Z piersi, z bioder, szat więzy zerwała i kwiaty...
. . . .
Lecz nagle przez jutrzniane różowe poświaty,
W jej rozwarte od trwogi i lęku źrenice,
Jak mistyczny krąg światła wejrzy blade lice,
Krwawe skronie owite cierni obramieniem.

Święte.

I powstały, jak świetlne wstają meteory,
Z łun pożarnych poczęte i krwawej topieli,
Drogę z tronów krwią znacząc aż do mniszych celi,
Jak rannych sznur gołębic, lecący w przestwory.

I wonieje Chrystusów ogród różnowzory,
Blade kwiaty z śmiertelnej podjęte pościeli,
Cudnych twarzy różaniec opłatkowej bieli,
Słodkiemi wonnościami zbyt pełne amfory.

I po rajskich kobiercach, po niebieskim łanie
Błądzą dziewy męczenne i koronne panie,
Te wszystkie, co obliczem zwróconem od ziemi

W snach widziały aniołów z skrzydłami białemi,
I wierne wciąż czekały, w płomiennej tęsknocie,
Oblubieńca swojego w purpurze i złocie.

Kazimiera Zawistowska.

Las.

Noc jasna... gwiezdnem migotaniem gwarna
I przesycona jutrzni światłem białem.
Las cielskiem swojem, szarem, skamieniałem,
Wrósł w blade niebo niby chmura czarna.

Wtem drgnęły drzewa, dziwną zdjęte trwogą...
Wiatr, co w gałęziach nieruchomie zwisał,
Wstrząsł się, rozbudził, rozgrał, rozkołysał
I zaczął szumieć posępnie, złowrogo.

Hej! jak konary tłuką się i skrzypią,
Jak szemrze liści rozszalałe morze!
Jakieś się licho rozhukało w borze,
A liście z wiatrem sypią się i sypią.

I znowu cicho... tajemniczą burzą
Zbudzone gwiazdy złote oczy mrużą.

Jesienią.

Park drzemie... drzewa, jak schorzałe twarze,
Wokół dziwnemi rumieńcami świecą.
Z szelestem szklanym liście zwiędłe lecą,
Patrząc na niebo, co umierać każe...

O! gdzieś na gwiazdach wicher łka rozpacznie,
Wskrzeszając zmarłe, zapomniane głosy,
Już brzozy płaczki rozpuściły włosy,
Wkrótce się obrzęd pogrzebowy zacznie.

Pomiędzy bagna, mętne, zardzewiałe,
Ścieżki, jak widma, przypadłszy do ziemi,
W pomroku ręce wyciągają białe,

Aż w końcu dwoma liniami jasnemi
W krzyża potworne wyrosły ramiona.
Chodźmy ztąd... cicho... w tej chwili ktoś kona...

Henryk Zbierzchowski.

AXEL.

O S O B Y.

AXEL VON AUERSPERG.
ARCHIDYAKON.
Mistrz JANUS.
Komandor KASPAR VON AUERSPERG.
JUKKO, paź Axela von Auersperg.
Herr ZACHARIAS.
GOTTHOLD.
HARTWIG.
MIKLAUS.
MINISTRANT PRZY NABOŻEŃSTWIE ZA DUSZE ZMARŁE.
EWA SARA EMANUELA DE MAUPERS.
KSIENI.
Siostra ALOIZA.
Siostra LAUDACYA, furtyanka.
Siostra KALIKSTA, klucznica.
Mniszki klasztoru św. Apollodory.
Chór starych domowników wojskowych Auersperga.
Chór drwali.

Rzecz dzieje się w naszym wieku, około roku 1828.

Część pierwsza, w klasztorze Trynitarek pod wezwaniem św. Apollodory, położonym na krańcach wybrzeża dawnej Flandryi francuskiej.

Trzy pozostałe części, na wschodzie Niemiec północnych, w starożytnym zamku obronnym, burgu margrabiów von Auersperg, odosobnionym pośród Szwarcwaldu.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

ŚWIAT ZAKONNY.

Zbliżcie się, serca tkliwe: i tu jest kochanie!
Lecz miłość, oczyszczoną, wznieca skra z ołtarzy:
Wszystko ludzkie w tym ogniu ulotni się, zżarzy
A nieśmiertelne pozostanie.
Lamartine.

§ 1. ... i zmuszajcie je wnijść.



Chór klasztorny w kaplicy starożytnego opactwa.

W głębi, wielkie okno witrażowe. — Na lewo, cztery rzędy stall. Podnoszą się one nieznacznie, wielkiem półkolem, wsparte o wysoką kratę okolną, zamkniętą i zakrytą draperyami. W głębi, tuż przy kracie, nizkie drzwi z kamiennemi stopniami, wiodące do klasztoru. Na prawo, nawprost stall, siedm stopni i podnóże niewidzialnego wielkiego ołtarza. — Kobierzec spływa aż na środek chóru, obrzeżając płyty nagrobkowe. Na drugim stopniu, dzwonek i kadzielnice złote. Wyżej, kosze kwiecia. Lampka wiekuista, sama jedna oświeca wnętrze gmachu, z pośród wielkich, owieszonych wotami filarów, które podtrzymują absydę główną: tam, na skrzydłach, wznosi się ambona z marmuru białego.

Postać ludzka, otulona w długie zasłony, z bosemi nogami w sandałach, stoi pod lampą. — Wchodzą, w głębi, Ksieni i Archidyakon w szatach kapłańskich.

Kapłan klęka przed ołtarzem i zatapia się w modlitwie; Ksieni zbliża się do postaci otulonej w zasłony, i nagłym ruchem odsłania jej głowę.

Ukazuje się oblicze niezwykłej, tajemniczej piękności; jest to kobieta. Stoi nieruchomo, ze skrzyżowanemi rękoma, ze spuszczonemi powiekami. Ksieni patrzy na nią, przez kilka chwil, w milczeniu.

SCENA I.

SARA, KSIENI, ARCHIDYAKON, potem siostra ALOIZA.

KSIENI.

Saro! północ Bożego Narodzenia wydzwoni wkrótce, napełniając dusze nasze weselem! Ołtarz zajaśnieje, za chwilę, jak arka przymierza! modlitwy nasze wzlecą na skrzydłach kantyków! Zanim godzina ta minie w niebiosach, muszę ci oznajmić postanowienie święte, które powzięłam co do twojej przyszłości.

Przypomnij sobie, Saro! Twoi ojciec i matka, czując śmierć bliską, wezwali mnie do swej siedziby, aby mi cię powierzyć. Od siedmiu lat żyjesz w klasztorze, wolna jak dziecię w ogrodzie. Ale igraszki dziecinne zawsze były ci obce, i nie spostrzegłam nigdy uśmiechu na twem licu. Co może oznaczać natura równie pilna i równie samotnicza? Skruszyło-ż by ci tak ducha ustawiczne rozczytywanie się we wszystkich starych księgach naszych?

Posłuchaj, Saro, tyś dusza ciemna. Na twarzy twojej, zawsze bladej, połyska odbicie dziwnej jakiejś pychy starożytnej. Pycha drzemie w tobie... oh! harmonie, które wydobywasz z organu, zdradziły cię!... Takie są posępne, że musiałam prosić siostrę Aloizę, aby cię przy nim zastąpiła. — Pomimo ostrożności i prostoty rzadkich twych słów i wszystkich twych postępków, zastanawiałam się

nad tobą długo i rozważnie. Czuję, że nie znam ciebie. Poddajesz się z pewnego rodzaju obojętnością milczącą praktykom naszej obedyencyi. – Strzeż się zatwardziałości serca!

Córko moja, jesteś lampą w grobowcu: ja chcę odżywić cię dla Nadziei. Znikomością jest życie bez modlitwy! Dwudziesty trzeci rok twego życia dobiegł oto do kresu; aby cię ratować, nieodzownem jest namaszczenie — pomazanie! nieodzownem jest, abyś cała oddała się Bogu, który ucisza serca niepokojem miotane. Zaiste, według ludzi, winnabym uznać, że masz wolność opuścić nas; ale, wedle Boga, mogę-ż, ja, której polecono twą duszę, zgodzić się, byś wróciła w wir świata, sama, bogata i taka piękna, pomiędzy pokusy (których nie są mi obce przemoce ponętne, ani rozczarowania śmiertelne)? — Mam-że prawo, skoro mi cię raz powierzono, nie postąpić, w tych okolicznościach, jak mi każe troska o rzeczywiste szczęście twoje, jeśli ty sama niezdolna jesteś go rozpoznać? — Doświadczenie w rozkoszach prowadzi do rozpaczy: później, pomimo woli i chęci, nie będziesz miała siły, aby wrócić; muszę przewidzieć to za ciebie. Jakto? zawrót głowy czyha na cię nad brzegiem otchłani, a ja nie miałabym prawa ocalić cię od zgubnego jej przyciągania! Zaniechanie tego byłoby zdradliwą słabością, z której mogłabyś zażądać odemnie rachunku w dzień ostatni. — Nie zatrzymać cię, gdy chcesz na głowę rzucić się w ciemności! bez kierownika, bez rodziny! i z tym duchem płomiennym, którego odgaduję pod twemi spuszczonemi powiekami? Nie! nie. Nie umiałabyś prowadzić się tam, wedle Boga.— Postanowiłam więc ofiarować cię Jemu dzisiejszego jeszcze wieczora. Tak, dzisiejszej nocy. Chwila milczenia.

Córko moja, gdy przed trzema miesiącami odkryłam ci swe zamiary w tej sprawie, spotkałam się, z twej strony, z odmową. Uciekłam się do *in-pace,* do prywacyj suro-

wych, do umartwień... A podczas, gdy ty, z rezygnacyą zresztą, znosiłaś swą pokutę, nakazałam modły za ciebie i sama wstawiałam się gorąco, ofiarując swe łzy Temu, który jest przebaczeniem samem.

Nie każ mi więc uciekać się znowu do surowości, aby cię skłonić do wejścia w siebie samą i aby cię popchnąć, że tak powiem, ku Niebu. Dziś, w ten piękny wieczór świąteczny, wydobyłam cię z ciemnicy; wybrałam tę noc błogosławioną, aby — pośród kwiatów, świateł i kadzideł — poświęcić cię Panu. Będziesz gorzką oblubienicą w ten wieczór zaślubin.

W ten sposób, łaska zstąpi na cię; zapomnienie uciszy niespokojnego ducha twego; uczujesz wkrótce brzemię miłości bożej; i pewnego dnia (niedaleki on może!), zadrgnąwszy na wspomnienie tej świętej godziny, uściskasz mnie, z twarzą skąpaną we łzach ekstazy i radości. — I wzruszający, budujący to będzie widok dla dziew, pędzących życie w cieniu tego ołtarza. I pojmiesz wówczas, co odważyłam się uczynić, czego spełnienie wzięłam na siebie. — Na teraz, pokój tobie. Odwraca się.

— Siostro Laudacyo, zapal świece.

Ołtarz rozświeca się powoli w ciągu końca tej sceny.

Teraz, siostro i córko moja, powiedziałam ci już: — jesteś bogaczką tego świata. Wstępując tutaj, wyzuć się trzeba z pychy wszelkiej i wszelkiego bogactwa. Jesteśmy biedne, a co mamy, rozdajemy, bo ubóstwo nabiera godności tylko przez miłosierdzie. Przekazano ci zamki, pałace, lasy i ziem przestrzenie. Oto pargamin, mocą którego zrzekasz się wszystkich dóbr swoich na rzecz zgromadzenia. Oto pióro. Podpisz.

Sara rozwiera skrzyżowane dotąd ręce, bierze pióro i podpisuje z zupełną obojętnością.

Dobrze. Tak właśnie.

Patrzy na Sarę, która wróciła do pierwotnej nieruchomości.

Dziękuję. Do siebie, kierując się ku Archidyakonowi: Bóg mnie widzi i sądzi!

Doszedłszy do starego księdza, dotyka jego ramienia i, pochyliwszy się, wymawia szeptem kilka słów.

ARCHIDYAKON, powstając, głosem przyciszonym.

Post, ciemnica i milczenie rozniecają światło w tych duszach pysznych: było to potrzebne! jest to potrzebne. Głośno, zbliżając się do Sary: Saro, siostro Emanuelo w Bogu! Rozwiały się pewne wątpliwości, które kazały nam obawiać się obecności złego ducha w sąsiedztwie twojem. W dniu takim, wprawdzie, usunęliśmy i tak z myśli naszych wszelkie niepokojące, co do ciebie, przypuszczenia: ale jałmużna, którą Bóg dał ci możność obdarzyć nasze zgromadzenie, oczyszcza cię ostatecznie, w naszych oczach, z wszelkich podejrzeń oziębłości. Ona walczyć będzie za ciebie w godzinach zaniedbań i opuszczeń. Za chwilę, przyjmę cię do grona tych, które odtąd są twojemi siostrami. Oddawna, i one, i my, uważaliśmy cię za powołaną i wybraną. Twój nowicyat się skończył.

KSIENI.

Córko moja, odziejemy cię w szaty weselne, opaszemy to czoło wieńcem dziew świętych, jako symbol zaślubin przyszłych. Potem, przyjdziesz tu, na to miejsce, pośród brzmienia kantyków. Legniesz na ziemi, na znak śmierci: rzucą na ciebie całun zmarłych naszych. Pod tą płytą spoczywa Błogosławiona, która założyła nasz klasztor i do której w szczególności modlić się będziesz przed ofiarowaniem. Skoro wymówisz śluby, światowe twe włosy spadną pod nożycami naszej reguły. Potem odzieją cię

w sukienkę świętą, którą zachowasz aż do końca swoich dni próby tu na ziemi.

Młoda zakonnica, dziecko prawie, o czarującej twarzy, w szatach bialych i niebieskich, ukazuje się za ołtarzem. Wydaje się nieco bladą. Patrzy na Sarę.

Ja odejdę wkrótce ku swej wieczności; odziedziczysz mój pastorał z kości słoniowej i czynić będziesz, z kolei, to... co ja czynię. Odwracając się: Pójdź, siostro Aloizo! Zakonnica zbliża się.

SCENA II.

CIŻ SAMI, siostra ALOIZA.

KSIENI, ciągnąc dalej:

Siostro Aloizo, oto towarzyszka, siostra nad inne droga, którą kochasz tkliwie i która jest córką naszą najmilszą. Głos twój słodszym jej będziesz od mego, i liczę, że serdeczne twe słowa rozproszą pokusy, które mogłyby powstać w jej sercu w tej godzinie ostatniej. Chwila milczenia — Kochasz ją bardzo, prawda?

Siostra ALOIZA, z powagą.

Tak, matko moja.

KSIENI.

Powierzam ją ukochaniu twemu. Będziesz czuwała i modliła się z nią w oratoryum aż do uderzenia zegaru przed wybiciem północy.

Ksieni powraca ku podstawie ambony, gdzie stoi Archidyakon. Kapłan przegląda teraz pargaminy i papiery przy lampie, którą postawiła na oparciu jednej ze stall siostra Laudacya.

Siostra ALOIZA, do siebie, zbliżając się do Sary.

Mój Boże! Splatając ręce na ramieniu Sary, głosem bardzo cichym, prawie niewyraźnym: Saro, przypomnij sobie nasze róże w alei grobów! Zjawiłaś mi się, jak siostra nieoczekiwana. Po Bogu, ty. Jeśli chcesz, bym umarła, umrę. Przypomnij sobie me czoło, wsparte na bladych twych dłoniach, w ów wieczór, o słońca zachodzie. Jestem niepocieszona, żem cię ujrzała. Niestety! tyś ukochana!... Czarne myśli biorą mnie przez ciebie. Nie mam siły, jeno ku tobie. Chwila milczenia. Ustąp; stań się, jak my, pod welonem! Poddaj się próbie jednej chwili. Wiesz dobrze, iż nie możemy żyć! — Byłybyśmy tak prędko razem, w tem samem niebie, z jedną jedyną duszą!... Saro, spojrzyj na niebo ugwiażdżone w głębi mych oczu: — jak tam uciekają w dal niebiosa zawsze wygwiażdżone! — Zgódź się, pójdź! Ustroję cię sama jako oblubiennicę boską, małżonkę niewysłowną, istotę niebiańską. Boleść zrobiła mnie czarującą, i nie odepchniesz mnie już ze smutkiem, jeżeli na mnie spojrzysz. Jakież znaleźć słowa, aby cię ugiąć? Saro, Saro!

Sara, w milczeniu, rozwiera skrzyżowane ręce: czoło jej pochyla się ku czołu nowicyuszki. Ta bierze ją za rękę. Obie przechodzą zwolna przez sanktuaryum.

Zdławionym głosem, ciszej jeszcze i nagle: Oh! nie opieraj tak czoła!... kolana mi się chwieją!

Sara wyprostowala się i, podtrzymując jedną ręką siostrę Aloizę, bladą jak jej welon, wychodzi z nią razem powoli przez absydę boczną.

KSIENI, wsparta o filar, w zamyśleniu, przeprowadza je oczyma.

Stało się! dziecię uczuwa już zachwyty i upojenia Piekła! Uwodzicielstwo aniołów ciemności! Niesłychana, niebezpieczna piękność Sary zakłóca i niepokoi zgorszeniem swem to serce wybrane. Po namyśle: Siostra Aloiza

obetnie jej włosy dzisiejszej nocy; Sara zostanie bez welonu, z tak obnażoną głową, aż do Trzech Króli.

ARCHIDYAKON, zbliżając się do niej.

Siostro moja, oto tytuły dziedziczne Sary de Maupers i tyczące się jej akta; staną się one za chwilę własnością zakonu; wyobrażane przez nie bogactwa uzupełnią braki skromnych naszych dochodów. Przyjmij je; odeszlesz je jutro do ekonomatu.

SCENA III.

KSIENI, ARCHIDYAKON, potem siostra LAUDACYA.

KSIENI, biorąc pargaminy, z obojętnością:

Dziękuję ci, mój ojcze.

Zaczyna zwijać i wiązać je razem; nagle spojrzenie jej staje się baczniejszem:

Ten herb!... Widziałem go już? — Tarcza oryentalna, podtrzymywana przez te niezwykłe sfinksy złote... I ten szczyt hełmu książęcy...

Pochyla się pod lampą, nad tytułami.

W polu błękitnem, — skrzydlata Trupia Głowa srebrna; nad siedmiopocztem takich-że gwiazd, w samym środku tarczy; z dewizą biegnącą wzdłuż liter nazwiska:

Macte Animo! Ultima PERfulget Sola.

Prorocze słowa, jeżeli Bóg pozwoli: nie jest-że Sara ostatnią córą książąt de Maupers?... — Ale... te klejnoty, czy drogie kamienie, różnych barw, okrążające, w górnej części herbu, Trupią Głowę, są nieczytelne, heraldycznie: i nie mogę zrozumieć...

ARCHIDYAKON, zbliżając się.

Chcesz, siostro, rozwikłać tarczę herbową, więcej niż dziwną, w istocie, ale po siedmkroć stuletnią, tego domu? Przejrzałem właśnie jej objaśnienie przed chwilą. Jest to bez żadnej wątpliwości tarcza rodu de Maupers, — który nawet podziela ją, w najbardziej zdumiewający sposób, z pewną linią niemiecką wysokiego domu austro-węgierskiego, hrabiów von Auersperg, — szczepu dostojnego, o licznych odgałęzieniach!

KSIENI, po ruchu niespokojnym.

Auersperg!... I... nic, z tej historyi, nie może stać się ważnem w sprawie dziedzictwa Sary?

ARCHIDYAKON, z uśmiechem.

Nie przypuszczam bynajmniej: chodzi poprostu o jakąś opowieść z czasów rycerstwa i pochodów krzyżowych, w której cudowność przeważa nad rzeczywistością. Oto fakta: naczelnicy obu tych rodów byli jednocześnie, zdaje się, posłami, jeden francuzkim, drugi niemieckim, przy dworze jakiegoś sudana (sudana El Kalaba, powiada kronika epoki). Jakiś „mag,“ biorący udział w tajnej radzie książęcia egipskiego, zdołał nakłonić obu rycerzy do przyjęcia tych tajemniczych sfinksów złotych w miejsce dwóch lwów, które dawniej podtrzymywały wspólną im obu tarczę. Dewiza Auerspergów jest jeszcze niezrozumialsza:

ALTIUS RESURGERE SPERO GEMMATUS!

Dajmy pokój tym czczym tradycyom. — Mająca być przyjętą gotuje się, nieprawdaż, do włożenia welonu? Zaznajomiła-żeś ją dobrze, siostro, z rytuałem liturgii naszej, odnoszącym się do jej konsekracyi?

KSIENI, w trosce widocznej, przerywając mu.

Panna de Maupers przygotowuje się do ceremonii, tak, mój ojcze. Chwila milczenia; potem, jak gdyby ulegając nagle nagabywaniu jakiemuś wewnętrznemu: Przed rozpoczęciem nabożeństwa, pozwól mi odwołać się do twej wiedzy co do całego szeregu szczególnych okoliczności, których wspomnienie dotąd jeszcze zajmuje mi umysł. — Okoliczności te poddały mi pewne przypuszczenie... rodzaju tak niesłychanego... że waham się wziąć tu, na swoją odpowiedzialność, przeczucie za pewność: potrzebuję twego zdania, mój ojcze. Chodzi o Sarę. — To młode dziewczę, smukłe i białe jak świeca wielkanocna, jest dla nas sercem zamkniętem, które wie dużo rzeczy.

ARCHIDYAKON.

Ja także nie dowierzam opornej owieczce. Myślę wszakże, iż klasztorny sposób życia przełamie z czasem — chciałem powiedzieć, powróci nam — dzikie to dziecko; tak, ufam, że, przy łasce i ciągłem zwracaniu do Boga, wszystko pójdzie dobrze. — Czyżby prowadzenie się jej było w istocie swej występne?

KSIENI.

Jest zbyt zimno wzorowe. Częstokroć karałam ją, aby wypróbować jej wytrwałość. Znosiła wszystko; ale, powtarzam ci, mój ojcze, uległość jej jest tylko zewnętrzna. Ostrze kary przytępia się na niej i umacnia ją tylko w pysze. Jak gdyby przerywając sama sobie: Ta dziewczyna jest jak stal, która zegnie się w pół, aby potem rozprężyć się lub pęknąć; ma ona (jeśli wolno odważyć się na takie wyrażenie) duszę szpady. I niejednokrotnie widok jej przejął mnie samą jakimś dreszczem tajemnego niepokoju.

ARCHIDYAKON.

Czy nie próbowała nigdy uciec z klasztoru?

KSIENI, potrząsając głową.

Czuje, że we dnie i w nocy ustawicznie na nią baczymy; usiłowanie ucieczki naraziłoby ją na surowsze zamknięcie.

ARCHIDYAKON, patrząc na nią, po chwili.

Trzeba także strzedz się, w tego rodzaju sądach, aby samemu nie mówić pod władzą Szatana! — Dobrze będzie oznajmić siostrze Emanueli, tytułem przypomnienia, o środkach ostrożności, których jest przedmiotem. Oto wszystko.

KSIENI, z nieokreślonym, zimnym uśmiechem.

Pod władzą Szatana?... A więc sądź sam, mój ojcze: oto fakta, w ścisłem ich następstwie. Ja uważam je za... posępne.

Siada, opiera się o jedną ze stall, rozmyśla kilka chwil; potem, powoli, i podnosząc oczy na Archidyakona, który stoi naprzeciwko niej:

Wiesz, ojcze, że prastara sekta Różo-krzyżowców zajęła, przed trzema wiekami, w ciągu jakiejś wojny, nasze opactwo. Zostawili oni, na górze, różne dzieła, poświęcone, jak same mówią, dyalektom tyryjskim, zapomnianym narzeczom, których używano w Gezerze czy w Tadmorze — alboż ja wiem?... Zachowałyśmy te pisma, jako osobliwość. — Przedewszystkiem, nie zdumiewająca-ż to rzecz, iż zastawałam często Sarę, zatopioną w wytrwałem dzieł tych badaniu? — Ach, proszę cię, mój ojcze, zauważ dobrze ten szczegół, który za chwilę stanie się nader zajmującym.

ARCHIDYAKON, z uśmiechem zrazu, posępniejąc potem.

Zaprzeczyć niepodobna, iż lepiejby zrobiła, rozpamiętując swe *Laudes*. A potem, księgi te nie są bynajmniej księgami mądrości... Trzeba je zniszczyć, zaraz jutro, spalić na popiół... Różokrzyżowcy, aby uniknąć stosu, mieli zwyczaj ukrywać, pod pozornemi modlitwami, ohydne formuły...

KSIENI.

Księgi te są teraz — niestety, za późno! — w mojej celi. — Otóż trzy lata temu, w pewien ranek zimowy — była to, przypominam sobie, wigilia święta Matki Boskiej Gromnicznej — zeszłam o dość wczesnej godzinie do biblioteki; i znalazłam w niej tę zadziwiającą dziewczynę. Przepędziła tam noc, sama jedna, i pomimo ostrego zimna. Nie spostrzegła mego wejścia; nie zauważyła, że na nią patrzę!... Dopalała nad lampą pierwszą kartę zakurzonej księgi, pierwszą, pargaminową kartę owego gotyckiego modlitewnika, o klamrach z emalii, który przysłał nam niegdyś z Niemiec jakiś korespondent Jego Wielkości patryarchy Pola, pobożnego naszego biskupa.

ARCHIDYAKON.

Tak... przypominam sobie... jakiś lekarz węgierski, którego sam patryarcha nie znał wcale i nigdy nie widział: — doktór... Janus.

Siedm płomyków okolnych lampy wiekuistej rzucają nagle jasność bardzo żywą, potem gasną wszystkie naraz.

KSIENI, wołając.

Siostro Laudacyo... Prędko! — Lampa! lampa!... Zkąd to może pochodzić? — Będziesz miała za to pokutę w refektarzu!

Siostra Laudacya przybiega, składając ręce.

Siostra LAUDACYA, wzburzona, z jakimś rodzajem obłąkania.

Moja matko, zapomniałam napełnić ją dzisiejszego wieczora! To prawda! A nigdy mi się to nie zdarzyło, odkąd noszę klucze u pasa.

Zapala lampę, w milczeniu; potem cofa się za ołtarz.

ARCHIDYAKON.

Mówiłaś zatem, siostro, że Sara niszczyła ten pargamin?

SCENA IV.

ARCHIDYAKON, KSIENI, sami.

KSIENI.

Mój ojcze, czy przypominasz sobie choć trochę kartę, o której ci mówię? pokryta ona była znakami zadziwiającej formy, którym niewiele poświęciliśmy uwagi, nie mogąc ich przetłómaczyć.

ARCHIDYAKON.

W istocie: wezwanie pobożne, zapewne?

KSIENI, coraz bardziej zamyślona.

Znaki owe podobne były niezwykle do tych, których znaczenie znajdujemy podane w księgach Różokrzyżowców? — Karta pargaminowa była później dodana w modlitewniku i opatrzona pieczęcią z tym oto herbem.

Wskazuje na tytuły.

ARCHIDYAKON, po chwili.

Nie rozróżniam jeszcze dobrze twej myśli. Ciągnij dalej, siostro. Jakim sposobem ten postępek bez znaczenia... i nawet chwalebny do pewnego stopnia?...

KSIENI, z nieruchomie w przestrzeń wlepionemi oczyma, i jak gdyby mówiąc do siebie samej.

Twarz Sary jaśniała, w owej chwili, wyrazem tajemniczej jakiejś radości! radości głębokiej a straszliwej. Nie, to, co przeczytała przed chwilą, nie było modlitwą!... Powierzchowność jej miała w sobie coś uroczyście nieznanego, niezapomnianego. — Jęłam wypytywać ją, z oczyma w jej oczach, znienacka. — Spojrzenie, które podniosła na mnie powoli, było takie zamarłe, że miałam wrażenie niebiezpieczeństwa. Odpowiedziała mi, po chwili milczenia i z wielką bladością, że zniszczyła, poprostu, czczą pamiątkę pychy... swój własny herb, napotkany na tej stronnicy. — Podejrzana żarliwość! — Odczytałam na nowo list patryarchy, aby upewnić się o prawdzie. Książka pochodziła w istocie od zmarłej kasztelanki von Auersperg — i to zdawałoby się objaśniać, dzisiaj, słowa Sary... A jednak, mój ojcze, zachowałam, wyznaję to, od owej chwili, która trwała mgnienie błyskawiczne, tak, zachowałam pewną myśl... oh! myśl niejasną, zabobonną być może, — ale której nie mogę się pozbyć!... Podejrzenie, które mam względem Sary może, jedynie, dać nam w ręce klucz do tej natury nieodgadnionej, surowej i oziębłej, którą w niej spostrzegamy. Nie widział-żeś jej często, mój ojcze, podobnie jak ja, błądzącej pod arkadami klasztoru, skupionej w sobie i jak gdyby zgubionej w — Bóg wie jakiem — marzeniu milczącem?

ARCHIDYAKON, spoglądając na nią uważnie.

Myślisz, siostro, że młode to dziewczę?...

KSIENI, z wielką chmurą na czole.

Tak, to jest wewnętrzne przekonanie moje, myślę, że Sara de Maupers zdołała wyczytać jakąś radę czy przestrogę posępną, jakąś niezwykłą wiadomość, — jakis podszept... wszechwładny! jakąś tajemnicę wielkiej wagi, tak, mój ojcze, jakąś tajemnicę pełną znaczenia, niewątpliwie! — która została pogrzebana z tą kartą zniszczoną.

ARCHIDYAKON, po chwili.

Powiedz mi, siostro: wrota główne świątyni będą zamknięte dzisiejszego wieczora, nieprawdaż?

KSIENI.

Założono sztaby żelazne w przedsionku kościoła. Nawa będzie pusta. Marynarze i ludzie z naszej osady pójdą do miasta na mszę północną.

ARCHIDYAKON.

Dobrze. Od chwili, gdy wymówi śluby, trzeba otoczyć ją niesłychanie czujnym dozorem.

KSIENI, półgłosem.

Ależ, nareszcie!... spodziewałam się i musiałam się spodziewać, że dusza ta nie jest ci tak zupełnie nieznaną, mój ojcze! Nie zdradziła-ż się nawet wtedy, gdy w trybunale twoim, na klęczkach...

ARCHIDYAKON, przerywając jej.

Tu nic nie mogę odpowiedzieć: mówmy o tem, co wiemy. Śluby zakonne przynoszą z sobą często łaski szczególne, a widzimy, że ona wielką ma ich potrzebę. Obawiam się, co prawda, aby umartwienia nie były dla niej, do pewnego stopnia, koniecznością...

KSIENI, spokojnie.

Niewątpliwie, musimy ją zbawić! zbawić od niej samej! I jeżeli ma ona w sercu jakiś chwast piekielny, musimy go wykorzenić dla jej zbawienia! — I patrz, ojcze, dokąd sięga uwodzicielska potęga tej młodej dziewczyny! Prosiłam najmłodszą z naszych konwersek, siostrę Aloizę, serce proste i duszę anielską, aby poszukiwała jej towarzystwa. — Miałam nadzieję, że w ten sposób, prędzej czy później, uda się podchwycić jakieś mimowolne wyznanie... dotyczące niebezpiecznych ukrytych myśli Sary. — Cóż się stało? rzecz nieoczekiwana, nieprawdopodobna. — Twarz, niesłychana piękność panny de Maupers oczarowały do głębi siostrę Aloizę: stała się milczącą i jakby olśnioną.

ARCHIDYAKON, który zadrżał.

Strzeżcie się! — To już blizkie starożytnych urzeczeń przez czary! Wstrętne gorączki Ziemi i Krwi wyziewają posępne opary, zgęszczające atmosferę duszy i zasłaniające nagle i zupełnie oblicze Boga. — Post, modlitwa są niekiedy bezsilne!... Niebezpieczna rzecz, niebezpieczna rzecz! z nowym dreszczem: — Zgroza!

KSIENI, lodowatym tonem.

Mój ojcze, zażegnywałam już inne niebezpieczeństwa. Gdy tej nocy odprawiać będziesz nad Sarą nabożeństwo za dusze zmarłe, Poręczycielką jej, odpowiadającą na zapytania, będzie właśnie siostra Aloiza: wybrałam ją na Penitentkę-tłómaczkę. — Co do twojej homilii, ojcze, możesz mówić do Sary, jak gdybyś potrzebował uderzyć serce i umysł pewnego rodzaju niedowiarka... nie dającego się określić! — umysł zwłaszcza! Myślę, że ten jej należy do najabstrakcyjniejszych i najgłębszych!... Moje stadko białych dusz nie zrozumie cię: zgorszenia zatem

niema co się obawiać. — Ona jedna pójdzie za tobą, jestem pewna, z całą łatwością, w te otchłanie roztrząsania myślowego, które są jej aż nazbyt znane.

ARCHIDYAKON, wielce zdumiony, z półuśmiechem.

Jakto? Co mówisz, siostro? — Czyżbyśmy śnili?

KSIENI.

Ach, gdybym śmiała odkryć... całą myśl swoją! A jeżeli dodam przynajmniej, że jej niesłychanie rozległa wiedza, przebłyskująca nieraz w ścisłych i krótkich jej odpowiedziach, dała mi poznać, zbyt późno, niestety, że, gdym ja myślała, iż pozwalam jej bawić się czytaniem, jej nadzwyczajny umysł dotarł, bez pomocy, aż do ostatnich arkanów całej tej erudycyi — ukrytej, tam na górze, w tysiącach dzieł tak różnych!

ARCHIDYAKON, zamyślając się.

Chmurna sierota, zaiste, którą tyle książek mogło nęcić i skusić!

KSIENI.

Bierz, ojcze, poważnie to, co mówię; uważam ją za obdarzoną darem straszliwym, Pojmowania.

ARCHIDYAKON, z powagą.

W takim razie, niech drży, jeżeli nie stanie się świętą! Marzenie zgubiło tyle dusz! — Zwłaszcza w kobiecie, dar ten staje się częściej żagwią pożaru, aniżeli pochodnią światłości... Niechaj zatem nie czyta już, póki wiara, dobrze umocniona, nie oświeci jej o nicości ksiąg ludzkich. Powinna byłaś powiadomić mię, siostro, wcześniej o tej jej właściwości. Jak widzę, muszę zatem z poddaniem

zabawić się w wymowę dzisiejszego wieczora, w mojej nauce egzortacyjnej. Młode umysły, spochmurniałe przez zbyt wczesne rozmyślania, wrażliwe są zazwyczaj na szychy wyrażeń śmiertelnych. — Wymowa! Jak gdyby cała ona nie była pod stopami tych, którzy mogą odmówić Ojcze nasz! Jak gdyby, naprzykład, olśniewające słowo św. Pawła: *Omnis christianus Christus est*, potrzebowało ozdób lub gloss próżnych, gdy samo wyraża Boga! — Niestety! rozumiem zacnego Chryzostoma i jego łzy litości, i wstydu bez wątpienia, gdy widział wiernych swych, jak, zamiast przejąć się treścią istotną, którą głosiły jego słowa, zachwycali się raczej, jak w teatrze, harmonią fizyczną, skorupą świetną, pięknością zmysłową, frazeologią! Jakże błagał wówczas Boga o przebaczenie, dla nich i dla siebie, za śmieszne to zgorszenie! Nędza! Porządne razy dyscypliny, długie i korne modły, ostre umartwienia, surowe posty, oto co daje treść naszej wierze, oto co ma jakąś wartość, oto co w Śmierci znaczy i waży cośkolwiek, oto co stwarza prawo i zamienia w stan stały naszą nadprzyrodzoność. — Ostatecznie! jeżeli potrzeba wymowy, aby przekonać tę duszę zagrożoną... wzgardliwie: będę ją miał dzisiejszej nocy, — tak! i wyczerpawszy całe koło pedantycznych przytoczeń, podług zwyczajów scholastyki świętej, poważę się sam zwalczać, jako krasomówca, jej grzeszne wahania — nie zapominając jednakowoż o wielkiem słowie widzącej u Psalmisty: *Quoniam non cognovi litteraturam, introibo in potentias Dei.*

KSIENI.

A jednak powinnabym przypuszczać, że jest dobrze usposobiona! Może usiłuje modlić się! — Spojrzyj, ojcze, podpisała oto przed chwilą i złożyła w me ręce zrzeczenie się ziemskich dóbr swoich.

ARCHIDYAKON, oglądając akt darowizny:

O! zapomniałem! to prawda. Iluż biednych żywić będziemy mogli! Setki całe! Iluż pielgrzymom ulgę przynieść!... Tak, być może, iż łaska skuteczna tknęła ją! Dręczymy się może jednem z tych podejrzeń bezprzedmiotowych, które duchy Zła zsyłają na nas w okolicznościach uroczystych, aby zaniepokoić naszą słabość!

KSIENI.

Co łóżek dla chorych! Co chleba białego, co kordyałów krzepiących! Ileż dobrego zrobić można przy pomocy tego złota wydartego Mamonowi!

ARCHIDYAKON, w zadumie.

Oręż książęcia Zła zwróci się w ten sposób przeciwko niemu samemu! A więc, pokój niech będzie w nas!

Oboje klękają przed ołtarzem; potem, wznosząc ręce ku Niebu:

KSIENI i ARCHIDYAKON, razem, pełnym głosem.

Chwała Bogu strapionych, który natchnął Samarytanina!

Dzwony. — Ołtarz płonie teraz od świateł, i odblaski szerzą się na całe wnętrze świątyni.

CHÓR MNISZEK, zewnątrz kościoła, idących i śpiewających jednostajnie.

O virgo! mater alma! fulgida Cœli porta!
Te nunc flagitant devota corda et ora,
Nostra ut pura pectora sint et corpora!

Drzwi prowadzące do klasztoru otwierają się; zakonnice w szatach białych, rozpromienione i pełne skupienia, ukazują się i wchodzą w półkole stall. — Starzec, w komeżce akolity, wychodzi z za ołtarza i staje na prawym rogu pierwszego stopnia.

SCENA V.

ARCHIDYAKON, KSIENI, Siostra LAUDACYA, MINISTRANT PRZY NABOŻEŃSTWIE ZA DUSZE ZMARŁE, MNISZKI.

Organ. Cztery rzędy stall zapełniły się teraz. Dwie zakonnice, w habitach świątecznych, zbliżają się do ołtarza, biorą kadzielnice i sypią w nie kadzidło. Inne, stojąc na stopniach z koszykami w ręku, rzucają garściami płatki kwiatów na podnóżek ołtarza. Ksieni, trzymając biały pastorał, zasiadła na swej stolicy opackiej. Odziano ją przed chwilą w kapę jaśniejącą. Harmonia kantyku wzbija się w górę. Archidyakon, w czarnej stule, zbliża się do ołtarza; Ministrant przyklęka. Dzwonek złoty odzywa się. To Introit.

Jedna ZAKONNICA, sama.

In te, Domine, speravi: non confundar in æternum.

CHÓR.

Amen.

ARCHIDYAKON.

Judica me Deus, et discerne causam meam de gente non sancta!... Po chwili, wstępuje po stopniach ku Cyborium. Części wstępne mszy świecznikowej odmawiają się dalej cichym głosem, w oczekiwaniu północy. Wkrótce dzwonek odzywa się na ofiarowanie: wszystkie mniszki powstają.

SCENA VI.

CI SAMI, SARA i siostra ALOIZA.

Organ grzmi. Sara ukazuje się, odziana w długą tunikę z mory białej, w naszyjniku z opalów świętych, spływającym jej na piersi. Wspiera się na ramieniu siostry Aloizy, bladej i uśmiechniętej. Kwiecie pomarańczowe przeplata jej ogromne włosy, rozpuszczone i spadające falisto, czernią rozwianą, na suknię.

Twarz jej jest jak gdyby wyrzeźbiona w kamieniu.
Na jej widok, kwiaty zaczynają się sypać pod jej stopy, kadzielnice w żywszem wzbijają się kołysaniu.
Klęka przed ołtarzem, na płycie kamiennej, w milczeniu; potem, kładzie się krzyżem, wspierając czoło na splecionych rękach.
Siostra Aloiza upuszcza na nią ogromny całun biały, usiany gęsto plamami złotemi, wyobrażającemi łzy rzęsiste, i nakrywa ją nim całkowicie.
Gromnica mistyczna płonie tuż nad czołem Sary, na pierwszym stopniu ołtarza.

ARCHIDYAKON,

na podnóżku ołtarza, zwracając się do obecnych.

Jest-że tu jaka dusza, która chciałaby ukrzyżować swe życie śmiertelne, wiążąc się na zawsze z ofiarą boską, którą złożę za chwilę?

Siostra ALOIZA, występując naprzód.

Ego pro defuncta illa! Ego vox ejus!

Staje przy Sarze, i śpiewa formułę konsekracyi.

Suscipe me, Deus! secundum eloquium tuum, et vivam!

Dzwon pogrzebowy uderza raz.

MINISTRANT PRZY NABOŻEŃSTWIE ZA DUSZE ZMARŁE.

Si iniquitates observaveris, Domine, Domine, quis sustinebit!

ZAKONNICE, procesyonalnie obchodząc Sarę dokoła, z zapalonemi gromnicami w ręku.

Requiescat, et ei luceat perpetua Lux!

Siostra ALOIZA, pokropiwszy wodą święconą całun pogrzebny.

Resurgam!

ZAKONNICE, oddalone głosy, z organem.

In excelsis.

CHÓR, na scenie.

Amen.

Teraz stary Akolita, na samym podnóżku ołtarza, odziewa Archidyakona w znaki dostojeństwa, przy których dawni wielcy Przeorowie opactw mogli przyjmować śluby pontyfikalnie. W długiej kapie czarnej, spiętej klamrą na ramionach, z infułą mniejszą na głowie, wspierając się na pastorale złotym, Archidyakon, pod baldachimem z czarnej purpury, wyszywanej w złote kościotrupy, który podtrzymują, otulone w długie welony, cztery najstarsze Matki opiekunki Opactwa, zstępuje ku Sarze, ciągle krzyżem leżącej. — Organ cichnie.

ARCHIDYAKON.

Jeżeli ta, która umarła już dla ziemi i leży tu, przed obliczem Boga, odpycha na zawsze nędzne radości, jakie mogą jej dać ciało i krew, niech będzie pozdrowiona u stóp ołtarza!

Siostra ALOIZA, wskazując Sarę obu rękoma.

Ecce ancilla Dei.

Na to słowo, i podczas milczenia, które po niem nastąpiło, siostra Laudacya, na znak Ksieni, zbliża się do siostry Aloizy i wręcza jej wielkie nożyce srebrne. Siostra Aloiza odbiera je i, zmrożona, przymyka oczy.

ARCHIDYAKON, zatrzymując się na trzecim stopniu, do Sary.

Jest-żeś istotnie tą powołaną z Góry, chcącą żyć w kornej czystości, która nas oświeca? tą, która z Cecylią wołać chce ku Stolicy: „*Fiat cor meum immaculatum ut non confundar!*“ tą, która, za dni niewiele, spocząwszy na pięknych skrzydłach śmierci, uleci, wzlotem przeświętym, ku duchom pałającym miłością i światłem, ku *beata Seraphim*, o których mówi zbożny Areopagita? O kobieto! jeżeli ofiarujesz się, niby dobrowolna ofiara całopalna, dla miłości Boga, staniesz się samą miłością urzeczywistnioną, gdy wstąpisz w wieczność swoją. Dzwon pogrzebowy.

Bo wieczność, powiada wybornie święty Tomasz, jest tylko zupełnem posiadaniem samego siebie w jednej i tej samej chwili. A: „Miłość moja jest moją wagą! mówi nam święty Augustyn. Zaprzepaść się zatem, jeżeli jesteś sercem niebiańskiem, w Tym, który jest miłością samą! Wierz, a żyć będziesz; bo Wiara, podług wyrażenia świętego Pawła, jest treścią samą rzeczy, których człowiek *powinien* spodziewać się. Dzwon.

Przez nią odrodzisz się, przemieniona we własny twój kantyk, albowiem dusza jest harmonią, jak mówi, z natchnieniem święta Hildegarda. — *Pulcher hymnus Dei homo immortalis!* powiedział również Laktancyusz, umysł wielce chwalebny i wymowny. Znienawidź jedną rzecz tylko: każdą przeszkodę w powrocie ku Bogu! każdą granicę, to jest, Zło! Znienawidź je ze wszystkich sił swoich! Bo, jak określa z przedziwną ścisłością święty Izydor z Damietty, wybrani, wychylając się z wyżyny Niebios, aby patrzeć na męki potępionych, odczuwać będą na widok ich katuszy, radość niewysłowną, bez czego, owocność dzieł bożych, oraz spółuwielbienie dla nieskończonej ich sprawiedliwości — (które jest *formą* Raju właśnie) — byłyby niezupełne.

Oh! jeżeli nie pojmujesz jeszcze ducha naszych dogmatów, jeżeli twoja glina wstrząsa się nań, niechaj ci dano będzie zgłębić je, skoro Bóg uczynił cię tak dziwnie pilną i wytrwałą, jak gdybyś powołana była do dorównania największym z kobiet świętych. — *Negligentiae mihi videtur si non studemus quod credimus intelligere*, powiedział w bardzo szczęśliwem wyrażeniu, święty Anzelm. Ale badaj z pokorą i, nadewszystko, z sercem zawsze prostem, jeśli chcesz posunąć się naprzód w wiedzy Boga: — w ten sposób zachowasz tę godność nadziei, bez której nawet pokora nie ma wartości doskonałej... i wkrótce, bez

wątpienia, łaska pouczy cię, że jedyną drogą do rozumienia jest modlitwa.

Nie zapominaj, że nigdy nie będziesz duchem czystym: dusza twa nawet, dusza twa nieznikoma, składa się, naprzód, z *materyi*, aby módz wiekuiście odczuwać rozkosz lub cierpienie, pozostając odrębną od Boga. *Materia prima*, powiada Anioł ze Szkoły, pytanie siedmdziesiąte piąte... I pamiętaj, że bulla Klemensa V ściga klątwą każdego, ktoby śmiał zamarzyć rzecz przeciwną! — A gdyby, po za obrębem myślowego posłuszeństwa względem Kościoła, umysł twój buntował się — i szukał Boga w inny sposób, niestety! — powtarzaj sobie gwoli swemu zbawieniu, owo mętne nieco wyznanie retora pogańskiego: „Taka jest próżność i ułomność rozumu Człowieka, że nie zdoła on pojąć Boga, *któremu chciałby być podobien!*“ — Umiej zatem powściągać pychę śmiesznie nędznego rozumu swego. Gdzież indziej szukać dowodu Boga, jeśli nie w modlitwie? Nie jest-że Wiara jedynym dowodem każdej rzeczy? Żaden inny, czy to dostarczony przez zmysły, czy przez rozum, nie zadowolniłby, wiesz to z góry, twojego ducha. Od tej chwili, po cóż nawet szukać?... Wierzyć, nie jest-że to przerzucić się w przedmiot wierzenia swego i urzeczywistnić w nim siebie samego? Twierdź, jak sama jesteś stwierdzona: to będzie najmądrzej!.,. Osiągnąwszy, następnie, przez modliwę, uczucie obecności Boga, trzymać się już będziesz tej mądrości! Dosięgniesz, jednym skrzydeł rozmachem, swojej nadziei. — Podczas gdy nie istniałaś jeszcze, powiedzmy — wczoraj, Bóg wierzył w ciebie skutecznie, ponieważ oto jesteś, cała powołana poza obręb Nieistnienia uprzedniego przez Wiarę twórczą! Odpowiedz Mu więc echem na Jego wołanie! Ty teraz wierz w Niego! Twoja teraz kolej STWORZYĆ Go w sobie, z całego *bytu* twego życia! Jesteś tu na ziemi, nie aby szukać „dowo-

dów," lecz aby okazać, czy, przez miłość i wiarę, ważysz wagę zbawienia. Dzwon.

Słuchaj dalej, póki dzwon za umarłych dzwoni dla ciebie. — Gdyby każda z Trzech Tajemnic, tych pierwiastków boskich, nie wydawała się niemożliwą, i niedorzeczną glinie i pysze naszych oczu, jakąż zasługą byłaby wiara w nie? I gdyby były możliwe i z rozsądkiem zgodne, uznałażbyś je za boskie, skoro ty, proch, mogłabyś zmierzyć je jedną myślą? Jeżeli zatem są niedorzeczne i niemożliwe, są właśnie tem, czem winny być, i, jak poucza Tertulian, przez to, przedewszystkiem innem, dają najpierwszą rękojmię swej prawdy: ich niedorzeczność ludzka jest jedynym punktem świetlnym, który czyni je dostępnemi naszej jednodniowej logice, pod warunkiem Wiary. Oczyść więc na zawsze duszę swą z tego bielma pychy, które, samo jedno, zasłania jej widok Boga; przestań być ludzką, bądź boską. Świat uważa nas za szaleńców, którzy, tonąc w złudzeniach, poświęcają dni swe dziecinnemu marzeniu, widmu nieba urojonego. — Ale, jakiż człowiek nie przyzna, gdy godzina jego nadejdzie, że rozproszył życie na gorzkie i nigdy niedościgłe marzenia, na znikomości, które go zawiodły, na ciągłe rozczarowania, które nawet miały zapewne rzeczywistość w jego duchu jedynie? Jakiem prawem tedy miałby świat z góry na nas patrzeć, nawet gdyby nam się spodobało przełożyć, świadomie, podniosły sen o Bogu nad śmiertelne kłamstwa ziemi?... Jakto? serca nasze pełne są gorącości i zapału, pogoda nasza stała się głęboką i niezakłóconą, Niebo, odgadnięte, przenika nas, tu już na ziemi, błogosławioną miłością, modlitwa staje nam się wizyą, egzegeza — najprostszym kluczem Oczywistości... a dzieci wieku, w imię bolesnego znużenia, jakie im pozostawia kłamliwa rzeczywistość zmysłów, poważają się zwać urojonem nasze niewątpliwe szczęście? — Precz z tem! Z uśmiechem.

Złudzenie za złudzenie! My zachowamy nasze, *złudzenie* Boga, które jedynie daje swym wiekuiście zaślepionym radość, światło, siłę i spokój. Żadne stworzenie, żadne życie nie uniknie Wiary. Człowiek przekłada tylko jedno wierzenie nad drugie, i nawet u tego, który wątpi, przy całej nieokreślności jego myślenia, wątpienie, które duch jego przyjmuje dobrowolnie, jest tylko pewną formą Wiary, ponieważ, w zasadzie, jest ono również tajemniczem, jak nasze tajemnice. Tylko że powątpiewający pozostaje ze swem wahaniem, które staje się nicościową sumą jego życia. Sądzi, że „analizuje,“ a kopie grób dla swej duszy, powraca ku nicości, która nie może się odtąd zwać inaczej jak Piekłem, — bo zapóźno już, aby módz nie istnieć. Jesteśmy nieodwołalni. Dzwon.

Tak, Wiara otacza nas dookoła. Wszechświat jest tylko jej symbolem. *Trzeba* myśleć. *Trzeba* działać. Jesteśmy zmuszeni do tej niewoli: myślenia. Powątpiewać o tem jest to ulegać jeszcze. Niemasz uczynku, któryby nie był wytworem instynktowej myśli, niemasz myśli którąby nie była ślepą w swoim zarodku pierwiastkowym. Ponieważ tedy nie możemy stać się niczem innem, jak naszą myślą, związaną z tajemnem ciałem naszych postępków, myślmy i działajmy w ten sposób, aby Bóg jakiś mógł w nas powstać! — i to zaraz, od samego początku! jeśli chcemy osiągnąć wiarę, to jest, zasłużyć na zdolność wierzenia.

Wszystkie marzycielstwa przeciwne rozszerzaniu duszy naszej w Bogu, są *czasem straconym,* który Zbawiciel jedynie odkupić może. — Wszystko WYSILA SIĘ naokół nas! Ziarnko zboża, gnijące w ziemi i nocy, widzi-ż ono słońce? Nie, lecz ma wiarę. Dlatego prze się w górę, przez śmierć i skroś śmierci, ku światłu. Tak się dzieje z wybranemi zarodkami wszystkich rzeczy. Wyjęte są jeno zarodki niedowiarcze, w których drzemie Zwątpienie

ze swemi nieczystościami i zgorszeniami, i które, jako zupełnie obojętne, umierają w całości. My — jesteśmy zbożem Boga; czujemy, że wskrześniemy w Nim, — który, podług światłych i wspaniałych słów pewnego teologa, jest miejscem duchów, podobnie jak przestrzeń jest miejscem ciał. Dzwon.

Wierzyć w oczekiwaniu i modlitwie! z sercem pełnem miłości! oto nasza nauka. I gdyby nawet, wbrew możebności, jak Sobór nas uprzedza, anioł z nieba zstąpił nauczać nas czego innego, wytrwalibyśmy, pewni i niezłomni, w naszej wierze. Chwila milczenia.

— A teraz, Ewo-Saro-Emanuelo, księżniczko de Maupers, przypomnij sobie potęgę słów przysięgi, wymawianych przed tymi, którzy zastępują na ziemi Pana, tymi, na ROZKAZ których słowo staje się ciałem. Wymów więc, dobrowolnie, śluby najwyższe, które zobowiążą twą duszę,

CHÓR ZAKONNIC.

Ecce inviolata soror cœlestis!

ARCHIDYAKON, ciągnąc dalej, naprzemian z chórem.

...twoją krew, twe istnienie, w tym świecie i w innym,

CHÓR ZAKONNIC.

Ecce conjux!

ARCHIDYAKON.

...twoją nadzieję jedyną i nieskończoną.

CHÓR ZAKONNIC.

Sacra esto!

ARCHIDYAKON.

Saro! twa obrączka oblubienicy błyszczy na tym ołtarzu. Kocham Boga, to znaczy „Bóg mnie kocha,“

powtarzam ci!... Kochaj więc, i *czyń potem, co zechcesz!* woła Augustyn święty. — Saro, czy słyszysz te głosy, już niebiańskie, które cię wołają?... Jedno słowo, i podniosę prawicę nad czołem twem, aby cię rozgrzeszyć, — i, poświęcona na zawsze Światłu, związana będziesz w Niebiesiech! Wówczas, przed wskrzeszoną, nabożeństwo żałobne, przemieniając się nagle w mszę uwielbienia, w szatach złotych, świątecznych, zakończy się w radości i weselu tej północy Dobrej Nowiny! I lilia twych ślubów rzucona zostanie przez Aniołów w żłobek Dzieciątka,

Dzwon pogrzebowy wydzwania trzy uderzenia bardziej przyśpieszone, potem ucicha.

— Ale... dwudzieste trzecie uderzenie tego dzwonu, który liczy lata umarłych, uprzedza mnie, że trzeba cię pozostawić samą z twą duszą w ciągu tej ostatniej chwili, podczas której winnaś myśleć już tylko o Sądzie nieodwołalnym.

Powierzywszy pastorał swój Ministrantowi klęczącemu po prawej stronie, wstępuje ku cyboryum, aby wziąć Krzyżmo święte.

MINISTRANT PRZY NABOŻEŃSTWIE ZA DUSZE ZMARŁE,

odmawia, głosem monotonnym, tekst świętego Bernarda o *Przygotowaniu do Sądu ostatecznego:*

Attende, homo, quid fuisti ante ortum et quod eris usque ad occasum. Profecto fuit quod non eras. Postea, de vili materia factus, in utero matris de sanguine menstruali nutritus, tunica tua fuit pellis secundina. Deinde, et vilissimo panno involutus, progressus es ad nos, — sic indutus et ornatus! Et non memor es quæ sit origo tua. Nihil est aliud homo quam sperma fœtidum, saccus stercorum, cibus vermium. Scientia, sapientia, ratio, sine Deo Christo, sicut nubes transeunt.

Post hominem vermis: post vermem foetor et horror;
Sic, in non hominem, vertitur omnis homo.

Cur carnem tuam adornas et impinguas, quam, post paucos dies, vermes devoraturi sunt in sepulchro, animam, vero, tuam non adornas, — quæ Deo et angelis ejus præsentenda est in Cælis!

Milczenie.

Siostra ALOIZA i ZAKONNICE, jednym głosem.

Tuis autem fidelibus, vita mutatur, non tollitur! Et, dissoluta terrestri domo, cœlestis domus comparatur!

Głos dzwonka złotego.

Sara odsłania twarz, dźwiga się z ziemi u stóp świecznika i opiera się na łokciu na pierwszym stopniu ołtarza. Opale naszyjnika mistycznego migocą śród dymów kadzidła; ulewa płatków liliowych zaściela kobierzec dokoła niej.

Podniosła się, śród kadzielnic i gromnic, przed archidyakonem; stoi teraz wyprostowana, nieruchoma, ze skrzyżowanemi rękoma i spuszczonemi powiekami. Na ramionach jej połyskują złote łzy całunu pogrzebowego, którego wielkie fałdy spadają za nią i rozpościerają się na płytach kamiennych.

§ 2. Odstępczyni.

ARCHIDYAKON, zstępuje ku niej z powrotem, trzymając gral złoty.

Tej nocy wzniosłej, wschodzi dla ciebie także Gwiazda królów-Magów i pasterzy!

Odkrywa Krzyżmo święte; mniszki przyklękają.

Odpowiadaj! przyjmujesz Światło, Nadzieję, Życie?

SARA, głosem poważnym, bardzo wyraźnym i bardzo słodkim.

Nie.

ARCHIDYAKON, z dreszczem zgrozy, upuszczając naczynie poświętne na stopnie ołtarza, kędy rozlewa się olej święty.

Wielki Boże!

Cofa się: ręka jego konwulsyjnie chwyta się z powrotem laski złotej pastorału; wspiera się na niej. Zakonnice, przerażone, oddalają się śpiesznie i w nieładzie, gasząc gromnice; brewiarze spadają tu i ówdzie. — Hałas opuszczanych raptownie stall. — Wszystkie mniszki, drżąc i otulając się naprędce w wielkie welony, otaczają Ksienię, która powstała i patrzy na odstępczynię. Osłupienie. Milczenie. Siostra Aloiza padła, jak w omdleniu, u stóp Sary. Dokoła nich porzucone koszyki kwiecia i kadzielnice jeszcze dymiące.

Siostra LAUDACYA, do siebie, żegnając się.

Rozumiem, teraz! złą przepowiednię z dzisiejszego wieczora: lampa Boga zgasła... lampy Panien głupich gasły również przed Oblubieńcem!

KSIENI, blednąc i jak gdyby dusząc się.

O nocy przerażenia!

Północ uderza. — Radosne bicie we wszystkie dzwony w oddaleniu. Dzwonienie sygnaturek.

CHÓR ZAKONNIC, niewidzialny, koło organu, wybuchając nagle.

Kolęda! Kolęda! Alleluja!
Hodie contritum est, pede virgineo,
Caput serpentis antiqui!

KSIENI, bijąc pastorałem w płyty kamienne.

Przestańcie! przerwijcie śpiewy!

CHÓR, koło organu, jednocześnie, głusząc jej głos.

Kolęda! Alleluja! Kolęda!

Zakonnice na ganku organowym, nie widziały zajścia, które zdarzyło się przed ołtarzem: i chóry, przy biciu w dzwony, wielbią z uniesieniem chwalę Narodzenia Bożego. Zresztą, same nie mając dzieci! te dziewice wybrane — na wieść o dzieciątku-królu Aniołów, które zrodziło się w tej chwili, aby ukoić mistyczną ich tkliwość — cóż mogłyby dosłyszeć z rzeczy dziejących się na ziemi? Oh, te słodkie dusze, dziewicze na zawsze, nie wiedzą już o sobie samych!

CHÓR, koło organu, przy rozdwonie dzwonów zwiastujących radosną nowinę.

Adeste, fideles!
Læti, triumphantes!
Venite in Bethleem!

KSIENI, z wielkim krzykiem, pośród brzmiących dalej śpiewów i wybuchów *Alleluja.*

Cicho!... — Oh! to okropne!

Stary Ministrant, przestraszony, ucieka z sanktuaryum.

CHÓR, rozszalały w kantykach radosnych, przy grzmieniu organów i biciu w dzwony.

Natum videte, regem Angelorum;
Deum infantem, pannis involutum!
Venite, adoremus Dominum!

Siostra Laudacya bije gwałtownie w płyty swym koszturem: kantyki milkną nagle; wielkie draperye z lekkiej wełnianej materyi rozsuwają się, odsłaniając kościół pusty i, pod migotaniem lampek wiszących, między filarami, krzesła, ławki i główne drzwi zamknięte. W głębi, na oświeconym ganku organowym, Siostry-śpiewaczki, zdumione i milczące teraz.

KSIENI, krzyczy, odchodząc prawie od przytomności.

Milczcie! Milczcie!

Dzwony, organ i śpiewy ucichły.

ARCHIDYAKON, z przerażającem westchnieniem.

Nareszcie!

KSIENI, wyciągając swój krzyż, z gestem zgrozy, ku drzwiom koło stall.

Uciekajcie! uciekajcie wszystkie, me córki! Idźcie, każda do swej celi, i tam, padłszy na twarz, w żarliwych modłach, błagajcie Boga o miłosierdzie! Nie będziecie słuchały mszy, dzisiejszej nocy. — Siostro Kaliksto, co mamy w skarbcu?

Siostra KALIKSTA, jąkając się, po chwili milczenia.

Trzysta dwadzieścia trzy sztuki złota, dwanaście talarów, i dwanaście soldów z kwesty dzisiejszej.

KSIENI.

Rozdasz to wszystko biednym jutro.

Drzwi prowadzące do klasztoru otwierają się: mniszki uciekają i znikają jak cienie.

Siostry z chóru opuściły już swe ławki, piętrzące się dokoła organu: — teraz, dwie czy trzy jeno czarne postacie, postulantek zapewne, chodzą tu i ówdzie między opuszczonemi siedzeniami, gasząc świece i zamykając antyfonarze. Niezadługo, ciemność uczyniwszy zupełną, odchodzą i one. Wszystkie zeszły teraz do klasztoru.

SCENA VII.

SARA, KSIENI, ARCHIDYAKON,

Siostra LAUDACYA, Siostra ALOIZA.

Ksieni schodzi ze swej stolicy i zbliża się do Archidyakona; stanąwszy koło niego na stopniach ołtarza, ciągnie dalej, głuchym i przerywanym przez wzruszenie straszliwe głosem, wskazując palcem na Sarę:

Mój ojcze, to był postępek opętanej. Trzeba będzie jutro oczyścić kościół ogniem! Zostawiam cię z nią. Jestem zmrożona i osłupiała. Świętokradztwo... oh! świętokradztwo jest tak wielkie, że Miłosierdzie nieskończone jedynie może je zmazać. Co postanowisz względem nieszczęsnej tej dziewczyny, byłej naszej towarzyszki, zostanie wykonane.

Siostra Laudacya, która została, na klęczkach, przy jednym z filarów, powstaje i nagle zbliża się do Sary.

Siostra LAUDACYA, w uniesieniu, patrząc na nią.

Zarażona!...

Idzie, aby uderzyć ją w twarz; ręka jej, już podniesiona, zatrzymuje się nagle, jakby znieruchomiona tajemnie. Sara nie podniosła nawet powiek, ani zadrżała.

KSIENI.

Furtyanko, oddal się od tej nieszczęśliwej i powstrzymaj oburzenie swe w miejscu świętem!

SIOSTRA LAUDACYA, do siebie, odchodząc w zamyśleniu, ku drzwiom klasztornym.

Jakiś niepokój nagły wstrzymał mą rękę? Dla czego nie uderzyłam?

KSIENI, bardzo cicho, do Archidyakona.

Pamiętaj, nadewszystko, mój ojcze, o czem uprzedziłam cię przed chwilą: postaraj się zgłębić to serce posępne.—Tajemnica, mój ojcze! tajemnica!

Schodzi ze stopni ołtarza i podnosi, wziąwszy w ramiona, siostrę Aloizę, która powraca do siebie.

SIOSTRA ALOIZA, głosem zagasłym, podczas gdy Ksieni uprowadza ją w niesłychanem wzburzeniu.

Żegnaj, żegnaj, Saro!

Ksieni, chwiejąc się sama, doprowadziła ją do drzwi klasztornych. Obie wychodzą. Siostra Laudacya idzie za niemi, rzuciwszy jeszcze ostatnie, złowrogie spojrzenie na Sarę.

Po chwili, słychać hałas ciężkich rygli, zamykanych od zewnątrz. Sara i Archidyakon są sami.

SCENA VIII.

ARCHIDYAKON, SARA.

ARCHIDYAKON, głosem straszliwym.

Kobieto, byłaś nikczemna. Powstydziłaś się Tego... który powstydzi się ciebie. Przeraziłaś dusze równie czyste

jak Gwiazda poranna! Zuchwale wyzywałaś gniew Boży, znieważyłaś Boga, który wydobył cię z nicości i ofiarował ci królewstwo swoje. Zwiesz się Łazarzem, a oparłaś się głosowi najwyższemu, który wołał na cię, byś wyszła z grobu. Odrzuciłaś miejsce przy godach, i to przede mną, który mam posłannictwo zmusić cię, abyś do nich zasiadła. Bo, podobnie jak prawa nakłaniają i znaglają ludzi do obowiązku, tak i Bóg, pierwiastek i cel każdego prawa, każdego obowiązku, każdej siły, może uginać i przyniewalać — cudem — świadomości i wolne wole. Chwila milczenia.

W imię zbawienia twego, za które on, na wiekuiście tajemniczej górze, oddał ducha na Krzyżu nieochybnym, chcę widzieć w tobie tylko ofiarę, obałamuconą przez książąt Piekla. Czego spodziewasz się? Wyzuć ten klasztor z posiadania? Nie, szalona, ty nie wyjdziesz ztąd nawet! — Władza ludzka osłaniałaby dzisiaj twą ucieczkę, wiem o tem: — mimo to nie wymkniesz się. Jeżeli w głębi serca twego kryje się jakaś tajemnica samotna, niby żmija w skały rozpadlinie, puść ją w niepamięć, bo płonną ci będzie: — a będzie ci bezowocną, bo jesteś uboga, odkąd przekazałaś majątek swój na sprawę Wiary... jak gdyby przez ostatni odruch Natchnienia bożego i Łaski! — Nie, nie pójdziesz po drogach, niby błędna tułaczka, rzucać na wszystkie wiatry, podobnie jak inni ludzie, tych resztek duszy, jakie ci pozostały! My odpowiadamy, czy słyszysz, za tę duszę. — Uważasz się za wolną, przed nami, którzy nauczyliśmy ludzi powściągać Siłę i którzy, sami jedni, wiemy, co jest istotą Prawa? Czemże była tu na ziemi kobieta, przed Chrześciaństwem? Niewolnicą. My oswobodziliśmy ją i usamowolnili... i ty ośmielasz się wymawiać, przed nami, słowo wolność, jakgdybyśmy właśnie my nie byli Wolnością samą! — Słuchaj i waż dobrze me słowa: nasza Sprawiedliwość i nasze Prawo nie zależą od tychże pojęć u ludzi.

My to, w ich umysłach, z istoty swej bratobójczych, ugruntowaliśmy i rozniecili, dla ich zbawienia, te idee sterownicze. Zapomnieli o tem, wiem: to też mówią o nich, w dobie dzisiejszej, jak mówili u wieży Babel, nie mogąc porozumieć się jedni z drugimi co do przekręconego słów znaczenia; jest to kara za dawną ich pychę. Supremacya nasza na ziemi jest jedyną sankcyą każdego prawodawstwa. Nikt nie może jej sprawdzać — bo skutek nie może podawać w wątpliwość ani poddawać roztrząsaniu swojej zasady — pod zagrożeniem, że sama ona przestanie być pewnością; i każdy człowiek, niewolnik czy książę, robiąc zarzuty naszemu pokarmowi, ma nasz chleb w ustach, My mamy władzę: wzięliśmy ją od Boga, i zachowamy ją w naszych rękach głębokich aż do wypełnienia się wieków. I to, mimo gróźb przyszłości, mimo złudzeń wiedzy, mimo wszystkich zaraźliwych wyparów mózgu śmiertelnego, aby spełnić się mogło Słowo: *Stat Crux dum volvitur orbis.* Niech nas ścigają karami, niech nas opuszczają, niech nas nienawidzą, niech nami gardzą, niech nas biorą na męki, niech nas zabijają, cóż z tego? Znikomość to wszystko! Bunty bezowocne. Silni naszem sumieniem, niezłomnem zawsze i niezakłóconem, będziemy tymi, których święty Ambroży zwie: „*Candidatus martyrum exercitus!*“ Wreszcie (i to najważniejszą jest rzeczą w tej godzinie straszliwej), mamy Prawo, którego potrójną istotę każde inne przypuszczać musi: tak Syn zrodzony jest przez Ojca, a Duch pochodzi od Ojca i od Syna! I niemasz innej myśli początkowej, ani na ziemi, ani w Niebiesiech.

Ponieważ tedy, Saro, dana mi jest, cudem, możność działania tutaj w sposób skuteczny i zbawienny, uciekam się, w imię Boga, do siły przeciwko tobie, aby cię zbawić od strasznej twej natury. Powrócisz do ciemnicy! Pościć tam będziesz, póki to nędzne, buntujące się ciało nie zo-

stanie uskromione. Piękność twoja, to piekło objawiające się: włosy twe kuszą cię, spojrzenia twoje są błyskawicami zgorszenia! Wszystko to musi zgasnąć prędko i w proch się rozsypać; bo jest to tylko złudzenie ciemności zewnętrznych, kędy wszystko przekształca się i zaciera... świadkiem niech mi będzie robactwo ziemne. Nie zdołałabyś ujrzeć się taką, jak jesteś w tej chwili, i nie umrzeć! — Czy wyobrażasz sobie, że Magdalena nie była równie piękną? Wiedz-że, iż od chwili, gdy oświecona jednem spojrzeniem Boga, poznała siebie nareszcie, wzniosła grzesznica ta zachowała na całe życie, jako wspomnienie, dreszcz zgrozy. Módl się, jak ona się modliła, aby otrzymać to, co nas oświeca! Niechaj ona będzie ci przykładem, aż do ostatniego westchnienia! I będziesz naszą siostrą, naszą świętą, naszem dziecięciem! Chwila milczenia.

Kiedyś, być może, jeżeli skrucha twa będzie szczerą, powrócisz między nas. Powątpiewam o tem; ale obowiązkiem mym jest nie tracić nadziei... bo Miłosierdzie i Miłość boża nie mają granic. Aż do owej chwili modlić się za ciebie będziemy, we dnie i w nocy, w przygnębieniu głębokiem, we łzach i postach! — Ja sam, wymawiając formułę egzorcyzmu, włożę włosiennicę na twą intencyę.

Zstępuje ze stopni ołtarza. — Sara, nieprzenikniona, nie drgnęła nawet ani razu, i nie podniosła oczu.

Ale — oto nagłe natchnienie, które zsyła mi wprost samo Niebo! Pod tą oto płytą spoczywa, między Aniołami, święta założycielka starożytnego tego Opactwa, błogosławiona Apollodora. Podziemie to, sąsiedztwo tych relikwij cudotwórczych — oto *in-pace*, jakiego ci potrzeba. Tam Najłaskawsza owa wstawiać się będzie za ciebie, u twego boku, czasu jawy i snu, uświęcając twój chleb i twą wodę, jeżeli w modłach wspominać ją będziesz.

Końcem ciężkiego pastorału swego odsuwa dwa rygle ogromnej płyty grobowej, potem, wkłada go w pierścień żelazny i podważa. Głaz, ulegając wysiłkowi kapłana, podnosi się. Ukazują się szerokie ciemne schody, wiodące do podziemia grobowego; wielka płyta zatrzymuje się, otwarta, prostopadle na swych zawiasach.

Oto brama... *janua*... przez którą mam prawo zmusić cię do wstąpienia w Życie; bo, jak mówi głęboko św. Ignacy Lojola, „cel usprawiedliwia środki;“ a napisano też: „Zmuszajcie je wnijść!...“ Pójdź tedy, córko ma ukochana, córko najmilsza! — Zstąp do tego podziemia. Wejdź w krainę szczęśliwości! Jałmużna to, którą nas obdarzyłaś, wybłagała ci zapewne ostatnią oną łaskę: korzystaj z niej. Błogosław próbę swą, aby ci oczyszczeniem i win zmazaniem była, i ze swej strony... chyląc się przed nią kornie: — módl się za mnie!

Sara podnosi nareszcie oczy na kapłana. Spogląda na grób otwarty koło niej. Niemo, nie zdradzając w rysach żadnego wrażenia, idzie ku jednemu z filarów. Chwyta, z pomiędzy wotów zawieszonych przez wdzięczność marynarzy, stary podwójny topór obosieczny; potem powraca, zimna zawsze i powolna. Doszedłszy do otworu ziejącego, wyciąga poprostu palec ku jamie, czyniąc staremu kapłanowi nieokreślony, rozkazujący znak: znak, aby sam zeszedł do podziemia grobowego.

Zdumiony, Archidyakon cofa się. Sara posuwa się ku niemu, z podniesionym teraz już i połyskującym w światłach toporem! Starzec rzuca okiem dokoła siebie, potem spogląda na nią. Widzi, iż jest sam: jeśli otworzy usta, groźna broń, w spokojnej pięści młodej buntownicy, gotowa spaść jak piorun. Uśmiecha się z pewnym rodzajem gorzkiej litości, wzrusza smutnie ramionami i, jak gdyby zapobiegając straszliwszej jeszcze zbrodni, spełnia rozkaz, pod zimnem spojrzeuiem oczn Sary.

Osłania się wielkim znakiem krzyża świętego, i schodzi po stopniach, uderzając w nie pastorałem i wlokąc za sobą długą swą kapę czarną; zwolna, głowa jego, w infule złotej, zagłębia się i znika.

GŁOS ARCHIDYAKONA, pod sklepieniem podziemnem.

In te, Domine, speravi: non confundar in aeternum.

SCENA IX.

SARA, sama.

Sara rzuca topór, jednym ruchem zawala głaz grobowy i obojętnie zasuwa końcem sandału wszystkie po kolei zasuwy.

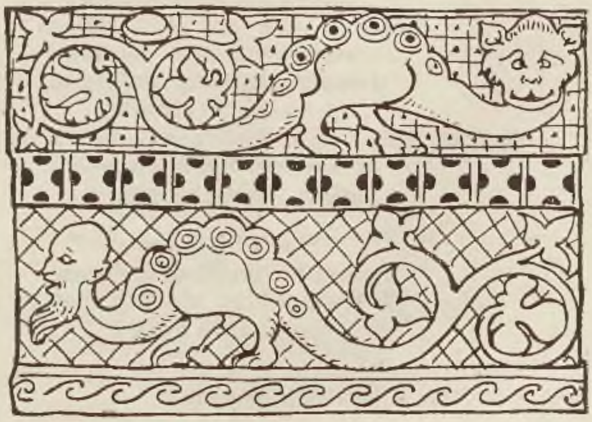
Zrobiwszy to, zbliża się do okna i pociąga silnie sznur od witrażu; okno otwiera się gwałtownie, na ścieżaj. Burzliwy napór śniegu i wichru nocnego bucha na kościół, gasząc świece.

Wówczas Sara rozdziera, w ciemności, całun pogrzebny i związuje mocno na węzeł obie połowy. W chwilę potem, zarzuciwszy habit pielgrzymi na świąteczne swe szaty, i stanąwszy na stolicy opackiej, dosięga, zwinnym i jędrnym podrzutem, do sztab żelaznych, chwyta się ich ręką, i jednym skokiem wydostaje się na brzeg okna.

Potem prześlizguje się, między sztabami, na brzeg zewnętrzny, i patrzy na dwór, w dół, w przestrzeń, w dal, w nieskończoność.

Za oknem widać noc, straszną, ciemną, bez jednej gwiazdy. Wiatr gwiżdże i wyje. Śnieg pada.

Sara zwraca się znowu w stronę wnętrza, przywiązuje do jednej ze sztab żelaznych całun skręcony i potargany, wyprobowuje węzeł silnem szarpnięciem, naciąga na głowę szary kaptur swego habitu, — potem pochyla się, opuszcza i znika, zwieszona od strony dworu, śród nocy dżdżystej i mroźnej, w milczeniu.



Ruch etyczny.

(KRONIKA.)

W pewnej gminie
naprawę swego bytu uraiły świnie.
Na wygonie pod lasem
stanął wiec. Za okrasę
ceniony (któż tego nie ceni?)
i za biegłość w mowie,
wieprz Gnojoryj *) na chojaka pień wylazł i basem
zagaił.
— „Szanowna trzodo!
Za łaskawą świniarka i psa jego zgodą,
my niżej zgromadzeni,
świnie i wieprze,
stanowić mamy o zmianie na lepsze.
Ekonomiści nasi (nie ekonomowie)
tudzież inni uczeni ojcowie nierogacizny
twierdzą, że nieszczególne prowadzimy życie.
Spójrzcie w głowizny
wasze... Czy już? Cóż widzicie?
Niewesoły jadłospis: na plewie
pitraszoną karmimy się strawą,
mieszkamy w chlewie,
słowem, gdzie oczy zwrócić: na lewo czy prawo,
w Kiernozi czy Mińsku —
świnie żyją po świńsku"...

Brawo! brawo!
z uznaniem krzyknęli słuchacze.
Tu karmnik Wkorytowlaz, chudszy choć też spory,
mniemając, że perory

---

*) Gnojoryje od świni Noego ród wiodą.

koniec, na drugi pień skacze
z temi slowy;
— „Przedewszystkiem zganię
poprzednika zdanie,
wygłoszone tu z tego, nie z tamtego pieńka
Omyłka maleńka... he, he... Otóż,
gdy na pierwszym planie,
według pana Gnojoryja,
postawimy odżywianie,
łatwo, tuszę,
rozwój słoniny zaleje nam dusze.
Również się z istotą mija
doniosłość faktu, że mieszkamy w chlewie.
Wpierw sobie trzeba pytanie etyczne
zadać: czy żyjem cnotliwie?
a postawiwszy wytyczne,
oprzeć żywota koryto
na ideale"...

— „A bodaj cię zabito
na kiełbasy krakowskie jeszcze w tym kwartale!" —
przerywa mu Gnojoryj. — „Niech pan się wytrynia
z pniaka,
głów nam tu nie zawracać! Cnota ladajaka,
gdy jak pies mieszkasz a żyjesz jak świnia.
Mawiali Grecy: nie wychowasz lwa na sianie,
a Rzymianie dodali:
w zdrowem sadle zdrowa świnia.

Tu się kwik uczynia.
Poglądy za i przeciw krążą, piana kryje
swarliwe ryje;
niektóry, co ruchliwszy, — dowód kłem popiera, —
zgoła, przywary stare, chociaż nowa era.

Tak gdy rai rzesza,
jakiś stary, cherlawy, z miną apostoła
wieprz się miesza
do sporu. Nie jest on wymowny
i w sylabach niewielu streszcza się. Odkrycie
zrobiwszy jeszcze w prosięcej
dobie, że najtłustszych świń najwięcej

ginie, postanowił wstrzymać tycie
swej osoby. W tym celu nad dwa - trzy korzenie
nie jadłszy, dużo biegał, myślenie
ćwiczył i spał tylko trocha.
Tak żyjąc, chudy, dożył lat Enocha.
Niech tak wszyscy czynią —
Kończył — a ludzie dadzą pokój świniom.

Precz z nim! wrzasnęła tłuszcza z rzadką
jednomyślnością. Także metodę
znalazł! Toć już bodaj z jatką
poznać się lepiej, niż przymierać głodem.
Zaczem nowy rzecznik wstąpił na kłodę.

Był to wieprzak, z mizeryi do świńskiego cienia
podobniejszy niż czegokolwiekbądź innego w świecie;
szczecina mu na grzbiecie
rosła na podób grzebienia —
symbolu czystości.
Mówca chrząknął, jak gdyby wykrztuszając ości
rybie i zaczął:
— „Pozwólcie, że wlezę
też w ten temat żywotny. Jabym radził ascezę.
Niech świnia z wieprzem będzie jako siostra z bratem:
uniknie się zgorszenia, a co zatem
idzie — potomstwa. Jest to sposób jedyny
odzwyczaić człowieka od jadania świniny."
Zaledwie skończył okres, aliści dziewice
i co młodsze matrony, zwlokłszy go z mównice,
wzięły na ryje.

Kiedy tak każdy z mówców dostawał po nosie,
zdawało się,
że już niczyje
się nie ozwie słowo;
lecz przecie dał się słyszeć z teoryą nową
kawał dzikusa, warchoł krnąbrny i przeznaczon
na litewskie szynki.
Ten zalecał prostotę wieśniaczą
wskrzesić. Nie zwlócząc krzynki
do lasu dać nura

i żyć tam jak przodkowie, jak każe natura.
— „Albo to mi źle w lesie? Żarcia tam że ino:
żołędzi w bród, buczyny, a grzybów, a trufli!..
Wycieczki w szkodę można, kto pości,
od czasu do czasu
robić, ziemniakiem wnętrzności
wesprzeć albo i boćwiną, —
swoboda, luz i tyle!.. Miedza, góra, rów-li —
skacz, pyskuj, ryj, dokazuj: po skórze nikt nie da!"

Do lasu, do lasu!
wrzasnęła czereda
i powszechnym cwałem
wyraziła uchwałę.

Tu dziejopis rzuca pióro,
by załamać ręce nad słabą naturą
świńską. Jakie niewytrwałe
dusze zlepia
z ciałem przyrodzenie!
Zaledwie pierwsze wpełzły w bór zachodu cienie,
wszystkim jakoś łzawo
patrzały ślepia,
a kiedy zorza ostatnim szkarłatem
bluzgnęła po niebie,
wróciła trzoda do chlewów — do siebie;
wróciła, tęskniąc za psem, za batem,
za zwykłą strawą
warzoną w saganie, —
wróciła — znowu mistyczne czekanie
oblewać łzami,
zgadując, kto też najprędzej będzie
wędził się w swędzie
jałowca jutro
na polędwicę albo salami.

Jan Lemański.

Kronika miesięczna.

GLOSSY.

Laurowo i ciemno. — Sprawa Reymonta. — Fałat — Kossak. — Konkursy. —Jeszcze konkurs i jeszcze protest.

Laurowo i ciemno. Bywają jeszcze niespodzianki. Oczekiwaliśmy, że prospekt nasz wywoła spory, dysputy, oburzenia wreszcie z powodu mniemanego pesymizmu w poglądach naszych na wzajemny stosunek sztuki i społeczeństwa. Jednego nie spodziewaliśmy się: zarzutu niezrozumiałości. A jednak niezrozumiałemi okazały się zaraz wymienione w nagłówku wstępne trzy słowa prospektu. Nie zrozumieć „ciemności“ kazała snadź miłość własna, ale „laurowość“? toć w tejże prawie chwili wieńczono wybitnego powieściopisarza z rozrzutnością wawrzynów niewidzianą nawet za czasów Krasińskich, Mickiewiczów i Słowackich. Byłyżby to nie wawrzyny, lecz makarony włoskie? Nie chcemy wierzyć, mimo zbyt koleżeńskich „w górę go!“ które niebardzo harmonizują z uroczystościami na Kapitolach. Laurowo było zatem, ale *jest* ciemniej, niż przypuszczaliśmy.

Niezrozumiano wielu jeszcze innych rzeczy. Naprzód „nadiru.“ Że niepojętemi wydały się niebosiężności (któż dziś do nieba sięga?), otchłanności, mistycyzmy, „życie, które się wzbija ponad życie“, absolutne źródliska sztuki — to nas nie dziwi.

Niedarmo od lat trzydziestu zaprzestano myśleć, pracując wyłącznie nad „faktami“ metodą doświadczalną.

... Nun, es naht die Zeit,
Wo Krieg und Frieden, Lieb und Glück, und Gott
Und Glauben nur die Worte sind von dem,
Was sie gewesen.

CHR. D. GRABBE.

I wymienione powyżej wyrażenia nasze nie mogły zatem górnolotną i czczą nie wydać się frazeologią.

Ale nadir? Musimy odesłać nierozumiejących do pierwszego lepszego, najelementarniejszego podręcznika kosmografii, i spytać, gdzież te sławione owoce popularyzacyi nauk ścisłych?

Postawiono nam jeszcze znak zapytania przy wyrażeniu pycha społeczno-równościowa. Nie miejsce tu obszerniej się nad tem rozwodzić, myśleliśmy jednak — gdyby użyć wyrażeń Słowackiego — o następstwach *„postawienia cielesnego* wszystkich *pod jedną miarą,* podług średniej ludzkiej urody zrobioną, do której niedorosłych żadna ludzka siła nie dociągnie, a wyższych — chyba ucięciem głów — zrównać i przystosować potrafi.“ Następstwami temi są: mniej lub więcej otwarta nienawiść mierności do wszystkiego, co po nad zwykłą wybija się miarę, i zwalenie *„Hierarchii* zbudowanej *podług zasługi i mocy duchowej.“* — Rzecz ciekawa wszakże, iż ów znak zapytania zbiegł się dziwnie jakoś z szyderstwami i urąganiami z powodu wymienienia w prospekcie współpracowników naszych przy technicznej czysto pracy nad pismem. Zatem wyższych od siebie ci panowie znać nie chcą, ale oburza ich wzmianka imienna o pracy zecera czy maszynisty, która jednak, jak słusznie zauważa Morris, tylko przy indywidualnej odpowiedzialności — i, *eo ipso,* osobistej zasłudze — do artystycznych rezultatów i rozwoju samego pracownika doprowadzić może. My zwolennicy hierarchii mieliżbyśmy być bardziej demokratyczni od panów oburzających się na zarzut pychy społeczno-równościowej?

Niepodobał się i styl prospektu, jak powiadano, napuszysty, pompatyczny, nienaturalny. Przedewszystkiem różne są gusta i upodobania. Pouczający w tym względzie jest poemacik Baudelaire’a o „psie i flakonie“:

> — *„Mój śliczny piesku, mój poczciwy piesku, moja ciuciu droga, pójdź tu, powąchaj te przepyszne perfumy, które kupiłem u najlepszego perfumiarza w całem mieście.“*
>
> *I pies, kręcąc ogonem, co u tych biednych istot jest, jak myślę, znakiem odpowiadającym śmiechowi lub uśmiechowi, zbliża się i przytyka z ciekawością wilgotny nos do odkorkowanego flakonu; potem, cofając się nagle z przerażeniem, zaczyna szczekać na mnie, jak gdyby z wyrzutem.*
>
> — *„Ach! podły psie! Zatem i ty, niegodny towarzyszu smutnego mego życia, podobny jesteś do publiczności. Tej także nie należy nigdy podawać delikatnych perfum, które ją do wściekłości doprowadzają, lecz troskliwie wybrane plugastwa.“*

Tyle Baudelaire. My od siebie dodamy tylko, że sztuka jest dla nas jedną z rzeczy najwyższych i najświętszych, i że mówić o niej umiemy i śmiemy jeno słowami świętemi, solennemi i pełnemi patosu, który nie jest pozą i nienaturalnością, lecz sprężeniem się uczucia aż do męki i rozkoszy zarazem! Napuszonemi przeto mogą się wydać słowa nasze tylko ludziom nie uznającym hierarchii, nie mającym żadnych świętości, i przywykłym z dawna do mówienia o rzeczach najwyższych tym samym żargonem potocznym, który starczy zaledwie na podawanie wiadomości gieldowych lub wypadków ulicznych. Równie nieszczeremi i nienaturalnemi mogłyby im się wydać: wyjęcie fajki z zębów przy wejściu do kościoła lub korna czołobitność przed arcydziełem sztuki.

Pomijamy jako drobiazg zarzucany nam jeszcze nadmiar słów obcych. *Medice cura te ipsum!* Słowo zresztą jest własnością narodów, które je stworzyły, i zbyt gorliwe „czyścicielstwo“ jest poniekąd samozwańczem, a w rezultacie daje zwykle swojskie niby, lecz ohydnie brzmiące potworki.

Na zakończenie, damy radę „znawcom sztuki“ natrząsającym się z „rozczochranej kobiety“ w nagłówku naszego prospektu, aby nieco częściej zaglądali bądź do muzeów, bądź nawet do popularnych ilustracyj w podręcznikach historyi sztuki. Przekonają się wtedy, że takież samo rozczochranie, które im się wydaje modernizmem, znaleść łatwo u niejednego starego, a więc przez nich, na niewidziane nawet, wielbionego mistrza. Że kobieta owa ma twarz przerażoną, nie dziw. Przedstawia Chimerę, która, otworzywszy oczy, spostrzegła Rzeczywistość.

Sprawa Reymonta. W znanej wszystkim katastrofie na kolei warszawsko-wiedeńskiej poniósł, między innymi, ciężki uszczerbek na zdrowiu znany powieściopisarz Wł. St. Reymont. Rzeczą wydawałoby się zupełnie jasną i prostą, iż kolej, której akcyonaryusze ogromne ciągną zyski dzięki liczbie pasażerów, winnaby czuć się w obowiązku wynagrodzenia tym ostatnim *wszelkich* strat, teraźniejszych i przyszłych, wynikłych z katastrofy, która autentycznie nie była rezultatem t. zw. siły wyższej. To też, przeczytawszy w dziennikach, iż Wł. Reymont zażądał odszkodowania w sumie 100,000 rb., byliśmy przekonani, że sprawa szybko i bez uciekania się do sądu, po zbadaniu przez lekarzy i stwierdzeniu stanowiska pana Reymonta w literaturze, załatwioną zostanie. Wbrew tym nadziejom, zamiast wiadomości o takiem rozwiązaniu kwestyi, jęliśmy spotykać w całym

szeregu pism wzmianki o nienasyconym apetycie p. R., o kolosalnym rachunku za jakoby spożyte przezeń w szpitalu praskim „delikatesy“ i szampany, o stałym wzroście tego apetytu upatrywanym w żądaniu owych 100,000 rb. i t. p. Zastanowił nas przedewszystkiem jeden szczegół: Czyżby szpital, posyłając rachunki zarządowi kolei, komunikował je równocześnie redakcyom? Albo, czyżby zwykle tajemniczy zarząd kolei, w tym wypadku, chcąc ulżyć strapionemu sercu, a raczej kasie, oficyalnie lub prywatnie zwierzył się takowym? Pierwsze stanowczo jest wykluczone; drugiemu nie chcąc wierzyć, radzibyśmy poznać źródło tych wiadomości, oraz powód zbyt wielkiej *omyłki* w obliczeniu owych rozchodów w szpitalu.

Jakkolwiekbądź, faktem jest, że p. R. do ostatnich dni żadnej od zarządu kolei na propozycyę swoją nie odebrał odpowiedzi, a przez komisyę lekarską w tych dniach zaledwie zbadany został. Z pewnego źródła dowiadujemy się, że i sprawy innych poszkodowanych tak samo są przewlekane, i wiemy nadto o pewnym wypadku badania przez lekarzy ze strony kolei, które — co najmniej — w dziwny odbywało się sposób. Niechaj zatem pismo, które wystąpiło przeciwko jakoby wygórowanemu żądaniu Reymonta, pytając, co w takim razie dostanie również poszkodowany w katastrofie konduktor, weźmie w opiekę tego ostatniego. My pilnować będziemy sprawy Reymonta, jako współbrata w sztuce. Każdy poszkodowany *musi,* jak powiedzieliśmy, mieć wynagrodzone straty teraźniejsze i przyszłe. Konduktorowi można obliczyć wszystkie widoki jego awansu i według nich unormować należną mu remuneracyę. Reymontowi należą się stracone korzyści nietylko w stosunku do dzisiejszego jego stanowiska w literaturze, ale i do dającego się w przewidywaniu obliczyć rozwoju jego wielkiego talentu i — co razem idzie — wzrostu uznania i poczytności. Wobec tego suma żądana okazałaby się może raczej za małą niż za wielką. Nie należy zapominać, iż, gdyby dziś Sienkiewicz, w podobnym wypadku, zażądał miliona, nikomu by się to nie wydało przesadzonem. Ale coby było, gdyby przed 20 laty zażądał był 100 000 rb.? Przyszłości artystów nigdy napewno obliczyć nie można, a prawo nakazuje rozwiązywać wątpliwości na korzyść poszkodowanego.

Fałat — Kossak. Czy są sprawy prywatne, w które osobom trzecim, do tego niepowołanym, wdawać się nie wolno? Niewątpliwie tak. Między innemi, sprawy honorowe, o ile są załatwiane wedle przyjętego w takich wypadkach prawa zwyczajowego. To też niewypowiedzianem zdziwieniem przejęły nas: stanowisko

zajęte przez prasę względem zajścia pomiędzy dwoma artystami pp. Fałatem i Kossakiem, oraz ojcowsko surowe admonicye udzielane pierwszemu z nich. Był to co najmniej wielki nietakt. Wszelkie wyrazy większej sympatyi osobistej do tego, niż do tamtego, mogły być komunikowane prywatnie, nigdy zaś *coram publico* i w imieniu obrażonego społeczeństwa. Komicznym zaś wprost był wysłany w trakcie załatwiania sprawy między dwoma zainteresowanymi adres grona artystów, wyrażający uznanie dla jednego, naganę dla drugiego. Nie chcemy wierzyć pogłoskom, iż miało to związek z panoramą.

Konkursy. Byliśmy zawsze przeciwnikami wszelkiego rodzaju konkursów, twierdząc, na podstawie prawa obniżania się inteligencyi w tłumie psychologicznym*), iż muszą one doprowadzać do niepożądanych rezultatów. Nie nawrócą nas do nich i chybione próby (np. Kopernik w Krakowie, Mickiewicz w Warszawie) oddawania roboty z góry wybranemu artyście bez poprzedniego współubiegania się. Doświadczenia z Albertami Wójtami, Kołami Zaczarowanemi i np. z budową teatru lwowskiego, były zbyt smutne, abyśmy nie mieli widzieć w nich stanowczego potwierdzenia dla reguły Le Bon'a. A skoro ta się u nas, niestety, *bez wyjątku* stwierdza, nic nie pomogą najlepsze dobre chęci i najniepodejrzańsza dobra wola sędziów konkursowych. W ostatnich czasach jednak zdarzył się wypadek, że nawet ta dobra wola, acz jak widzieliśmy bezsilna i bezużyteczna, lecz konieczna, choćby pro honore domus, — stała się mniej o swoją niepokalaność zazdrosną. Jeden z artystów rzeźbiarzy ogłosił w pismach protest, w którym robi zarzuty gronu swych sędziów i przedstawia cały szereg istotnych nieregularności w załatwianiu spraw, dotyczących współzawodnictwa między nim a drugim artystą. Ponieważ ton protestu nie ma w sobie nic paszkwilowego, a szczegóły jego robią wrażenie stwierdzeń czysto rzeczowych, odpowiedź nań wydawała się wprost nieuniknioną. Zarzuty były postawione jasno, kategorycznie, bez żadnych wyślizgiwań się i nieuchwytnych subtelności. Dopóki ich nie zbito, autor protestu ma prawo wymagać od każdego wiary w swe słowa.

Dotychczas odpowiedzi nie było. Zaczepionym wolno milczeć. Rzecz szczególna jednak, iż opinia publiczna, pod sąd której protestujący złożył swe zarzuty i dowody, — także milczy.

---

*) Les décisions d'interet général, prises par une assemblée d'hommes distingués mais de specialites differentes, ne sont pas sensiblement supérieures aux décisions que prendrait une réunion d'imbeciles. *G. Le Bon. Psychologie des foules.* Paris 1895.

Jeszcze konkurs i jeszcze protest. Mówimy naturalnie o wielkim „konkursie stulecia,“ który takie nowe i nieoczekiwane przyniósł rezultaty. Nie uniknął też za to protestu. Pan Hertz w *Przeglądzie Tygodniowym* zwraca uwagę, iż głosując na arcymistrza w dziedzinie matematyki, zapomniano o Hoene-Wrońskim na rzecz Folkierskiego. Zapomnienie to dziwnem jest istotnie po pojawieniu się już przed kilku laty książki p. Dicksteina o twórcy Mesyanizmu, która, według sprawozdania tegoż p. Hertza i, zda się, w tymże *Przeglądzie Tygodniowym*, dawać miała doskonałe pojęcie o Wrońskim, czyli — według dzisiejszego protestu — wykazywać całe jego znaczenie. Zdaje się, że tego — widać — nie zrobiła. Ale czemu p. Hertz zwraca się z zarzutem zapomnienia o Wrońskim do biednych wotantów *Kurjera Warszawskiego*, którym nawet taka wyśmienita przewodniczka, jak książka p. Dicksteina, nie mogła należytej rozwinąć pamięci? Czemu nie karci za toż samo zapomnienie tego samego p. Dicksteina, który, referując w *Prawdzie* (№ I-szy) o postępach matematyki w w. XIX, nie mówi ani słóweczka o tym, którego w książce swej pono nareszcie z pyłu zapomnienia wydobył i o którym przeto sam zapomnieć chyba nie mógl? Któż zagadki tej zbada tajniki?

POEZYA.

Marya Komornicka: *Baśnie i Psalmodye.* Warszawa. Fiszer. — Władysław Bukowiński (Selim): *Nowy zeszyt. Poezye.* Warszawa. Fiszer, — Zygmunt Rostkowski: *Staryane struny, rymów garść.* Warszawa. Okręt. — Władysław Zalewski. *Dziad, baśń liryczna.* Warszawa, skł. gł. Gebethner i Wolff. — Mieczysław Gliński: *Poezye.* Warszawa. Dubowski, — *Z pieśni naszych*, wybór poezyi. Zebrała i ułożyla C. Niewiadomska. Warszawa. J. Lisowska. — *Pisanka.* Książka zbiorowa pod redakcyą Józefa Jankowskiego. Warszawa. St. Sadowski. — M. Lermontow: *Demon.* Przekład Alfonsa Wróblewskiego. Warszawa. Skł. gł. St. Sadowski. — M. Lermontow: *Anioł śmierci.* Przekład Alfonsa Wróblewskiego. Warszawa. Skł. gł. St. Sadowski.

Treścią poezyi musi być zawsze to, co istnieje rzeczywiście, to jest nierozerwalna całość i jedność bytu, która jest nieskończonością, nie zaś pojedyncze, oderwane od całości zjawiska czy wrażenia, które, jako nieistniejące w tem oderwaniu, złudzeniem są próżnem. Do nieskończoności prowadzi i dróg nieskończoność: Goethe idzie przez pogodną a potężną myśli harmonię, Hugo przez antyte-

tyczne dysputy z sobą, Baudelaire przez bezwzględne władanie nad swą wizyą, Verhaeren, Kasprowicz lub Przybyszewski, dając się porywać jej, Alfred de Vigny przez cichą, lecz świadomą kontemplacyę, Novalis lub Verdaguer przez mistyczne poddanie się. Miejsca na wszystkie indywidualizmy aż nadto; spokój czy paroksystyczność, moc czy łagodność, świadoma pewność czy wrażliwe nieokielznanie, temperament, który unosi, czy panowanie nad twórczością — wszystko jest dobre, byle sięgalo w głąb', byle docieralo do istoty bytu, byle, mówiąc filozoficznie, uniwersalizowalo indywidualność. Wizya rzeczy, jakiemi one są w sobie, to jest, w stałym związku ze wszystkością, i magiczne oddanie, wcielenie tej wizyi, znalezienie dla niej jedynej odpowiedniej formy — oto warunki każdego prawego dzieła sztuki.

Pierwsze utwory p. Komornickiej zwróciły naszą uwagę pewnem dążeniem do wydobycia się z banalnej złudy zjawisk, pewnem, acz dość mętnem jeszcze, szarpaniem się ku dalom, pewnem wreszcie — co do formy — wyzwalaniem się z szablonów i klisz. Jednocześnie wszakże uderzało nas jakgdyby ustawanie w pół drogi, jakgdyby zbyt prędkie zadowalanie się swoją impresyą i znalezioną dla niej formą, jakgdyby brak wytrwałości w dążeniu do ostatecznego pogłębienia i skrystalizowania swej wizyi. W **Baśniach i Psalmodyach** te same znajdujemy cechy, lecz nadto odnosimy wrażenie jakiejś ociężałości czy niezdolności do szerszych lotów, oraz jakiegoś męczącego powtarzania się. Nemezys to snadź niedostatecznych pogłębień. Ton jest odrębny, lecz szczupłość treści wewnętrznej prowadzi do ciągłych nawrotów i wreszcie do tego, co zwiemy manierą. Książeczka nie zdaje się zresztą być wykwitem jakiegoś jednego drzewa marzenia. Słaba zupełnie i pod żadnym względem nic nie dająca baśń *o Ojcu i córce* mogłaby bez szkody dla autorki i czytelników, a tem bardziej dla sztuki, nie istnieć. Lepszą jest *Andronice*. Zbytnio wszakże i w rytmach i w treści nawet pobrzmiewa echami Zeyerowskiego *Króla Kofetuy*. Echami, mówię, gdyż jak w echu dźwięk, tak tu wszystko osłabione jest, zacieśnione i pozbawione bezdennej tamtego arcydzieła głębi. Jest to niby także „baśń o tęsknocie," lecz gdy u Zeyera jest to tęsknota wiekuista, wyprzedzająca wszelkie zużycia i niezależna od nich, nieodłączny pierwiastek duszy i owoc kończącego się snadź ze śmiercią dopiero boju ograniczoności cielesnej z nieograniczonością wnętrzną, — tęsknota króla u p. Komornickiej bierze poniekąd początek w nudzie i przesycie, a więc mogłaby mieć i koniec. Sama wieczyście zapatrzona w dal i nie-

odparcie ciągnąca za sobą Króla Kofetuę żebraczka Zeyera jest upostaciowaniem metafizycznej nostalgii, której nic nie ukoi, Andronice p. Komornickiej jest tylko kobietą. Dwie pierwsze psalmodye *(Do pana* i *Pan kona)*, obok pewnej niewyraźności, odznaczają się zbyt koleżeńsko poufałem traktowaniem rzeczy absolutnych. W drugiej z nich pytagorejski czy nietzscheański pierścień wiecznego powrotu niby w pomniejszającem odbił się lusterku. Najlepszą jeszcze jest *Tęsknota*. Jest to także tęsknota czysto ziemska, od kontyngencyj zależna i z pewnym ściśle przedmiotem związana, lecz dramat rozstań z wielką potęgą ekspresyi przeprowadzony został, a w niektórych ustępach brzmią nawet akcenty z jakichś dalszych głębin idące.

Co do artyzmu zewnętrznego, pragnęlibyśmy niejednokrotnie więcej ekonomii, jednolitości i ostateczności w wyrażeniach.

Reszta wymienionych w nagłówku „poezyj oryginalnych" smutne przedstawia żniwo. **Nowy zeszyt** p. Bukowińskiego nie ma ani jednej myśli, ani jednego obrazu, ani jednego akcentu, któryby nie był zużytym i banalnym. Zabójcza proza od początku do końca, nawet w opisach przyrody ani jednego świeższego poetyckiego drgnienia. Poezyę reprezentują chyba rymy, a i te są zaledwie „poprawne" *).

Wydając swój zbiorek p. Bukowiński zgrzeszył przeciwko sztuce, a sobie sławy nie przysporzy. Nakłaniając usilnie p. Z. Rostkowskiego do ogłoszenia **Starganych strun**, do winy względem poezyi dodał w istocie „grzech poważny" przeciwko przyjaźni. To, co powiedziano w przedmowie do *Starganych strun*, budzi w nas szczere i żywe współczucie dla losów p. Rostkowskiego. O książce jego wszakże musimy powiedzieć, iż nie wznosi się ona nad poziom uczniowskich i do tego bardzo nieudolnych prób wierszowania. „Marzyliśmy, kochali i wzlatywali myślą i uczuciem nad poziomy"— powiada w przedmowie p. Bukowiński. Niestety, tego niedość. Przy tworzeniu, przy wcielaniu marzeń, trzeba naprzód wiedzieć i czuć nieco wyraźniej, ku czemu się wylatuje ponad poziomy, i powtóre, umieć wcielić swoje marzenie. Tu różnica między tworzeniem a zdolnością czucia. „Czy sztuka istnieje, czy nie?" — pyta Henryk Laujol w swojej obronie Parnasistów. — „Jeżeli dość jest mieć wiele zmartwień, aby zasłużyć na święte imię poety, czcigodny człowiek, który tylko co odprowadził na cmentarz swą młodą i ukochaną

---

*) Poprawność taka polega na nieodchodzeniu od wzorów, naturalnie od ich płytkich, zewnętrznych cech, i jest wrogiem prawdziwej twórczości.

córkę jedyną, powinien tylko zrobić na zwilżonym łzami arkuszu papieru krótką wzmiankę o boleści, jaką uczuwa, aby przewyższyć wszystkich artystów bezdzietnych.“

Nie wystarcza też i kochać, aby dobry napisać poemat. **Dziad** p. W. Zalewskiego jest „poprawnie“ ubraną w odwieczne rymy — beznadziejną banalnością. Ma jedną zaletę, że zamyka się w parukartkowym tomiku. — Pochwały tej nie można oddać również „poprawnie“ zrymowanym, lecz niemożebnie gadatliwym i spory tomik zajmującym „wzlotom nad poziomy“ p. Mieczysława Glińskiego. Pominiemy pustkę wnętrzną, pełną ideałów, które dawno wszelkie pokrewieństwo z macierzą Ideą straciły, pominiemy wyszarzane, zużyte obrazy, wyrażenia i słowa, pominiemy gniewający wprost po przeczytaniu kilku kart zwyczaj upartego podwajania wyrazów (rozstanie, rozstanie — do mnie, do mnie — za chwilę, za chwilę — wy śpicie, wy śpicie — stań się, stań się — zielenią się, zielenią — gody, hej gody — śmierć, śmierć — wyjdą, wyjdą — mgła, mgła — żal, żal — puść mnie, puść mnie — stój, stój — i tym podobne chińskie tam — tam), które mają prawdopodobnie potęgować wrażenie, a w istocie śmieszą lub nudzą, zwrócić musimy wszakże uwagę na zdumiewające u młodego pisarza starcze jakieś akcenty. Pan M. Gliński wita burzę wiosenną, — „groźnych wichrów królowę w ogniste zbrojną pioruny.“ Jakże mu się ona przedstawia?

I siejąc w koło przestrach i trwogę,
Poważnie (?!) idziesz przed siebie...

Nieco dalej z przedziwną dobrodusznością zapewnia ją o swej sympatyi:

Tyś groźna! Jednak lubię twe grzmoty...

Gdzieindziej, piękna wieszczka wraca w lazury smucąc się nad nędzami ziemi, w oczach ma łzy, serce tonie w tęsknocie, „falą męki tajemnej białe wznosi się łono“ — i autor, z zachwycającą troskliwością, niepokoi się losem tej części ciała:

Czy wytrzyma pierś biała pod cierpienia brzemieniem?

Smutne żniwo! Czczość wewnętrzna, banalność zewnętrzna, oto cechy tych najnowszych płodów „poetyckich.“ O przyczynach, które doprowadziły do tego odpływu rzeczywistej twórczości, pomówimy gdzieindziej.

Lata ostatnie przyniosły powódź antologij. Nie było snadź wydawcy, któryby nie miał na sumieniu choć jednego takiego wydawnictwa. Układali te zbiory i wybory wszelacy ludzie, często pedagodzy obojga płci, a najczęściej, niestety, poeci — — niestety,

bo pomimo to, lub może właśnie dla tego, dobra antologia jest jeszcze do zrobienia. **Z pieśni naszych** p. Niewiadomskiej jest zbiorem ani gorszym ani lepszym od innych. Pomieszanie dobrych rzeczy z plewą, niedość charakteryzujący dobrych poetów wybór z ich dzieł, pominięcie, nie wiedzieć z jakiego powodu, najmocniejszych nawet (np. Norwida, Kasprowicza, Berwińskiego, Felicyana, Gomulickiego i t. d.) — oto co mamy do zarzucenia książce p. N. I jeszcze jedna uwaga. Wydając antologię „ku uczczeniu *50-letniej rocznicy* (!) śmierci J. Słowackiego,“ wypadałoby dać nieco więcej ustępów z tego poety.

Co do liczby, rywalizować mogą z antologiami różne jednodniówki i książki zbiorowe. Chaos w nich zwykle gorszy jeszcze niż w antologiach, nieliczne dobre rzeczy giną w powodzi okolicznościowych wierszy i nieudolnych aforyzmów. Są to śmietniki, na których anielskiej cierpliwości czytelnik zdoła niekiedy, acz bardzo rzadko, jakąś perłę czy perełkę wygrzebać. Z imponującej rozmiarami, lecz smutniejszej od wielu podobnych wydawnictw, **Pisanki** przytaczamy subtelny meander Felicyana:

Gdy mówię, czując szron u czoła,
Że lat mam tyle a tyle —
To osobliwie się mylę.
Owszem... tych lat już nie mam zgoła, —
Bowiem któż mieć napowrót zdoła
Coś, co już w mgle jest i w pyle?

Reszta rymowanych czy nierymowanych przyczynków jest, w najlepszym razie, rodzaju nijakiego. Niektóre jednak, acz w przeciwnym kierunku, oddalają się od poziomu. Lubownikom handlu radzimy wziąć pod uwagę tranzakcyę, którą p. Daniłowski proponuje Bogu, zwolennikom zaś szczęśliwych rozwiązań polecamy naiwnostkę p. Czempińskiego.

Zły przekład jest morderstwem, zwłaszcza w poezyi. Niestety, niemasz kodeksu, któryby mógł zapobiedz tego rodzaju zbrodniom. To też liczba i wyrafinowanie przestępstw w tej dziedzinie wzrastają przerażająco. Do jakiego okrucieństwa dochodzą niektórzy skrytobójcy, świadczy *Mary*, do której w dokonanym z angielskiego przekładzie francuskim *Bartka zwycięzcy* modli się chłop polski. Jest to może zemsta za dopełnioną u nas przed laty mniej więcej dziesięciu ohydną dekapitacyę Alfreda de Musset. Pan Wróblewski po dwakroć uśmiercił Lermontowa, i to w **Demonie** przez czystą już chuć morderczą, ponieważ poemat ten był już — wcale nieźle —

przetłómaczony. Zachwycać się poematem to nie dość jeszcze, aby mieć prawo go przekładać. Gdy się tłómaczy arcydzieło, potrzeba nadto umieć znaleźć absolutnie odpowiadający mu ekwiwalent w swoim języku, a to nie jest bynajmniej łatwiejszem od napisania dobrej rzeczy oryginalnej. Niestety, powszechnem jest zapatrywanie, że przekład, to tylko robota mechaniczna, a tymczasem winien on być całkowitem stopieniem oryginału i odlaniem go na nowo. W tłómaczeniach p. Wróblewskiego, darowalibyśmy zmiany rytmów, rymowania w rodzaju: — co tam *lśni* — świat dał *ci*, — dyamentów takich *sił* — czarów nikt nie *pił;* darowalibyśmy nawet błędy stylistyczne, np. ciągłe używanie zaimków osobistych, gdzie one są więcej niż zbyteczne. Przebaczyć wszakże niepodobna starcia całego pyłu poezyi, całego koloru, całej mocy, naturalności i prostoty tego pięknego poematu. Oto przykład:

Tłómaczenie p. Wróblewskiego.

I w uczuć szale
W swoje objęcia schwycił ją.
Całował ustek jej korale,
A obezwładniał mocą swą!
I wzrok potężny wpił w jej oczy,
Przyspieszał w żyłach tętno [krwi,
Poił się wonią jej warkoczy,
Urzeczywistniał grzeszne sny.
Pod czarem władzy niepojętej
W sercu Tamary burza wre.
Zatryumfował duch wyklęty,
Miłością ziemską poił się!
A jad śmiertelny tej pieszczoty
W łono Tamary ogniem [wnikł...
I nocnej ciszy spokój złoty,
Rozpaczy strasznej rozdarł [krzyk!
Wszystko w nim było: ból — [konanie —
Wymówka, miłość — rozkosz, [łzy
I ostateczne pożegnanie:
Nieba—nadziei—wiary—czci! —

Dosłowny przekład prozą.

I lekko
Ustami dotknął palącemi
Jej drżących warg;
Uwodnych kuszeń pełną mową
Na jej błagania odpowiadał.
Potężny wzrok patrzał jej w [oczy,
Palił ją; w pomroce nocy
Ponad nią tuż połyskał,
Nieodparty jak kindżał.
Biada! zły duch tryumfował!
Śmiertelny jad jego pocałun- [ków
W okamgnieniu wdarł się w jej pierś...
Męki pełny, przerażający krzyk
Nocne zakłócił milczenie.
Wszystko w nim było: miłość, [cierpienie,
Wyrzut z ostatniem błaganiem,
I beznadziejne pożegnanie —
Pożegnanie z życiem młodem.

. . . .

Przykre spełniliśmy zadanie· Za jedynie interesującą i ważną uważamy krytykę dodatnią, wynajdującą i oświetlającą w dziełach prawdziwie twórczych najistotniejsze ich pierwiastki i największe głębie. Krytyka negatywna wydaje nam się pomocniczem jeno narzędziem, potrzebnem wtedy, gdy stajnia Augiasza zbyt przepełniona. Obyśmy się do tego malum necessarium jak najrzadziej uciekać potrzebowali.

SZTUKI PLASTYCZNE.

Kilka słów o krytyce. — Salon Krywulta (wystawy: inauguracyjna, Sienkiewiczowska i drzeworytów japońskich). — Wystawa inauguracyjna Towarzystwa Zachęty sztuk pięknych.

Kilka słów o krytyce. Po krytyce, która na dzieło sztuki plastycznej zapatrywała się z punktu widzenia historyozofii, filozofii, tematu i poniekąd znaczenia wnętrznego, nie zwracając zupełnie uwagi na plastyczne ich urzeczywistnienie, — doszła do władzy krytyka czysto fachowa, krytyka techniki, wykonania, z pominięciem zupełnem tego, co jest właściwą istotą i celem sztuki. Pojawienie się tej krytyki było poniekąd wynikiem przekształcenia się poglądów na sztukę u samych artystów. Z zapanowaniem realizmu i reguły, iż „wszystko jest dobre do malowania," doskonałość faktury stała się wyłącznem pragnieniem i jedynym celem artystów. Ubóstwiono rzemiosło. Krytycy, odwiedzając pracownie, zaczęli zwolna zajmować się tem, co było jedyną troską artystów, i mówić o tem w swych sprawozdaniach. U nas, w szczególności, początkiem i źródłem tego zwrotu były oparte prawie wyłącznie na fachowych spostrzeżeniach artykuły Witkiewicza. Jak każda nowość, doktryna ta z początku spotkała się z oporem, niezadługo jednak przemógł — jak zawsze — snobizm, i wytyczne jej punkta przyjęte zostały przez krytyków, nawet niefachowców, a potem przez publiczność. Dziś metoda mówienia o rzeczach, które ludzie fachu winniby sobie szeptać do ucha, zamiast wykrzykiwać je na środkach ulic, stała się zwyczajem ogólnym. Krytyka ta, doktrynalna i nielogiczna, bo zajmująca się, zamiast celem sztuki, środkami do niego prowadzącemi, wywarła na tłum, czerpiący swoją wiedzę z dzienników, wpływ nader niepożądany, powiedziałbym, wprost zgubny. Publiczność nakarmiona i opchana frazesami i terminami, których w dodatku dobrze nie rozumie, straciła całą szczerość, przestała

interesować się tą jedyną rzeczą, która powinnaby ją zajmować w dziele sztuki: wrażeniem, uczuciem, wzruszeniem przez nie wywoływanem. Zwolna rozwinęła się, a dziś wzrasta coraz bardziej, niezdolność zupełna do odczucia przed dziełem sztuki jakiejbądź emocyi szczerej i głębokiej. Nikt dziś nie umie milczeć przed niem chwili, nikt nie patrzy, aby odnieść jakiekolwiek wrażenie, każdy przychodzi z poczuciem sędziego mającego wydać wyrok o doskonałości lub wadliwości technicznej dzieła. Ztąd obojętność zupełna w kwestyach sztuki, albo też entuzyazmy nieszczere kończące się burżuazyjnem uwielbianiem bądź tradycyjnych sposobików i pomadek, bądź krzykliwych, niby nowych, lecz płytkich prądów.

Umiejętność, znajomość wszystkich arkanów techniki, rzemiosła, jest niewątpliwie rzeczą nieodzowną dla artysty, krytyka jednak ani widza obchodzić one nie powinny. Dla nich istnieć winien tylko rezultat osiągnięty zapomocą tych środków i bez posiadania ich nie możliwy do urzeczywistnienia, ale w istocie swojej będący wypływem twórczości artysty, owocem jego duszy, realizacyą jego wizyi. Sztuka jest jedna, odgałęzienia jej są tylko następstwem różności zmysłów, przez które odbieramy wrażenia. Wnętrzne wzruszenia będące ostatecznym wynikiem wrażeń odbieranych przez różne zmysły są, w gruncie rzeczy, identyczne. I sztuki plastyczne zatem, podobnie jak muzyka lub poezya, o tyle tylko są twórcze, o ile zdołają wzbudzić w nas, bądź świadome bądź instynktowe, poczucie nierozerwalnej istoty bytu, nieskończoności, absolutu. To już wskazuje, że sztuki plastyczne nie mogą być tylko niewolniczem naśladowaniem tego, co realiści czy naturaliści nazywają naturą, a co właściwie jest fenomeniczną jej powierzchnią, rozbiciem jej na poszczególne zjawiska, które w takiem oderwaniu realnego bytu nie mają. Artysta musi patrzeć w naturę, nie po to wszakże, by kopiować ten zjawiskowy płaszcz osłaniający jej istotę, lecz aby, dotarłszy do tej ostatniej, nauczyć się tworzyć w dalszym ciągu tak, jak natura tworzy, to jest wiążąc każdy szczegół z całością bytu.

Powiedzmy dostępniej: — sztuka nie ogranicza się do biegłości technicznej, pozwalającej skopiować wiernie pierwsze lepsze zjawisko zmysłowe; jest ona czemś więcej: stylizacyą, harmonizacyą, transfiguracyą, kompozycyą, wreszcie — nie lękajmy się słowa — kreacyą, tworzeniem. Większość artystów grzęźnie jeszcze w realiźmie, czego dowodzi, nawet u zarzekających się słownie tej doktryny, wybór, najczęściej przypadkowy, odtwarzanego tematu. „Jakąż wzgardę odczuwam“— powtórzy za Voltaire'm każdy realista —

„dla artystów, których powodzenie polega prawie zawsze na temacie!“ Zgodzimy się na to, z małem zastrzeżeniem: „jeżeli jedynie na nim.“ Lecz jednocześnie odpowiemy niemniej ostrą apostrofą Alfonsa Germain: „Jeżeli praca twa, artysto, zależy od przypadkowego spotkania, możesz zrobić dobry obraz, dzieła wszakże nie stworzysz nigdy.“ Bo porozumiejmy się. „Niegdyś“ — zauważają słusznie Barlet i Lejay — „artysta, powziąwszy z góry myśl, szukał dla niej wyrazu zewnętrznego; dziś (leniwszy umysłowo — dodałbym — lub uboższy w myśli) szuka idei poza sobą — w naturze; niegdyś sztuka uganiala się za formą dla Ducha, dziś chce wykrzesać Ducha z Formy.“ Do tego właśnie i jedynie dąży, przetwarzając, stylizując, harmonizując, komponując. „Ale“ — powie niejeden z artystów — „zapomocą tych wszystkich sposobów mogę stworzyć dzieło piękne z najbłahszego tematu — co dawałoby mi prawo do tem większej chluby.“ Chluba, odpowiem, z przezwyciężonej trudności, która nie ma nic wspólnego ze sztuką. A potem, czy trudność ta zawsze i rzeczywiście przezwyciężyć się daje? Jeżeli przyjmiemy, że Piękno jest objawieniem się Istoty rzeczy w materyalnej ich formie, wcieleniem Idei, Słowa w formach natury, manifestacyą nieskończoności w skończoności; jeżeli zgodzimy się, że celem sztuki jest realizacya tego Piękna, albo — jak subjektywniej to objaśniają Barlet i Lejay — „rozbudzenie przez wrażenia rzeczywistości wszystkich wzruszeń duszy, rozżarzenie, rozentuzyazmowanie i w końcu porwanie jej aż ku wzniosłym szczytom Idei“ — to, czyliż, aby dojść do tego wszystkiego, traktując przedmiot błahy, nie potrzeba nieskończenie więcej talentu, wysiłków, niż przy temacie bardziej dobranym i bardziej odpowiednim? Istota, idea, nieskończoność mogą się objawić — przystaję na to — równie dobrze w ziarnku piasku, jak w Himalajach, równie dobrze w wiązeczce marchwi jak w katedrze gotyckiej, ale wydobyć je tam na jaw — trochę karkołomniejsza to sztuka, i wątpię, by ta trudność często była przezwyciężana. Złudzenie zatem, które może doprowadzić jedynie do przewagi „malowania“ (czy rzeźbienia) nad sztuką, „kawałka“ nad dziełem. Zresztą dążąc stale do uproszczeń w technice, do zaniechania zbyt grubych warstw farby, do usunięcia sztuczek, złudzeń wzrokowych, nadmiaru modelacyi, tak drogiej realistom, i zastępując wszystko to linią i plamą jedynie, miano — jak się zdaje, chęć wyrażać tylko rzeczy istotne, pozostawiając inne mniej ważne w niedopowiedzeniu. Czemuż nie zastosować tej zasady w wyborze przedmiotu? Wiem dobrze, iż dotknąwszy tego punktu,

będę miał przeciwko sobie większość malarzy współczesnych. Pomnę, że Millet oburzał się już kiedyś na coś podobnego. „Moi krytycy“— mówił — „to ludzie wykształceni i ze smakiem, ja wszakże nie mogę wleźć w ich skórę, i ponieważ nie widziałem nigdy w życiu nic prócz pól, staram się wypowiedzieć, jak mogę, to, czego zaznałem, gdym wśród nich pracował“ Nieudane szyderstwo fachowca z profanów: bo któż wymagał, aby porzucił swoje pola? Wyobrażam sobie, że nikt. Ale zwracano mu niewątpliwie uwagę, że na polach, równie dobrze jak gdzieindziej, są rzeczy zasadnicze i przedmioty błahe. Trzeba było tylko wybierać albo być dość potężnym na wydobycie tego, co celem jest sztuki, z rzeczy błahych. Że wszystko czynimy zależnem od tej ostatniej zdolności, niechaj dowiedzie i to jeszcze, iż pierwsi gotowiśmy zawsze wystąpić przeciwko tak zwanej „literaturze“ (le littéraire) w sztukach plastycznych. Aczkolwiek ostateczne oddziaływanie dzieł wszystkich poszczególnych sztuk pięknych w duszy naszej wspólną znajduje receptywność, jednak, ponieważ każde odgałęzienie sztuki przez specyalny jedynie organ do tej magicznej retorty najwyższych syntez znajduje przystęp, przeto każda sztuka musi mówić wyłącznie i jedynie swoim własnym językiem, musi używać wyłącznie właściwych jej środków i sposobów ekspresyi. „Literatura“ w malarstwie i rzeźbie oznacza chęć działania na widza inaczej jak przez oczy, t.j., przedewszystkiem przez myśl, a więc pośrednio. Odczuwa się to natychmiastowo, gdyż dzieło sztuki działając drogą należną wywołuje przedewszystkiem bezpośrednie, owładające nieodparcie człowiekiem wzruszenie, które można potem dopiero uświadomić i zrozumieć, podczas gdy, w cudze wkraczając atrybucye, budzi poprostu ciekawość, często nawet silny proces intelektualny, ale ani śladu jakiegobądź wzruszenia.

Zreasumują krótko wszystko, cośmy dotąd powiedzieli, i będą jakby kanonami przy ocenach trzy, wybornie sformułowane przez Barlet'a i Lejay'a–właściwości zasadnicze, nieodzowne dla artysty, i odpowiadające im trzy pierwiastki w każdem dziele sztuki.

Artysta winien być obdarzony:

1. *wrażliwością psychiczną,* czyli zdolnością ujmowania idei zasadniczych, przejmowania się poezyą rzeczy i ich duchem — a niemasz nic, coby go było pozbawionem;

2. *wrażliwością formalną,* czyli zdolnością ujmowania, w emocyonalnem ich znaczeniu, form, wziętych jako takie, bez względu na przedmiot, który mogą wyobrażać;

3. *zdolnością przystosowywania* idei do form i odwrotnie.

W prawem dziele sztuki odnaleźć musimy trzy pierwiastki:

I. *ideacyę,* czyli koncepcyę (lub lepiej mówiąc wizyę) Idei;

II. *wykonanie,* które nie ogranicza się do czysto technicznych rzeczy, ponieważ wchodzą w nie nadto: realizacya, czyli wcielenie wizyi, i odrębny styl, czyli właściwy artyście indywidualny sposób oddawania przedmiotów;

III. *kompozycyę wreszcie,* czyli układ przedmiotu, wiążący ideacyę z wykonaniem i harmonizujący ideę, wizyę, linie i kolory.

§§.

Wystawy zbiorowe. Jesteśmy w zasadzie przeciwni wszelkim zbiorowym wystawom dzieł sztuki. Kilka tysięcy, jak w salonach paryskich, lub kilka set, jak u nas, płócien i rzeźb, wyszłych z pod pędzla czy dłuta różnych artystów o najróżniejszych temperamentach, przekonaniach, sposobach wykonania, wytwarzają przerażający chaos, w którym nietylko przeciętny widz, ale nawet krytyk i znawca, w skutek prostego znużenia oka, zgubić się mogą. Każdy z artystów wie, jak groźne są sąsiedztwa na tych targowiskach sztuki, i to sąsiedztwa nie rzeczy lepszych, lecz krzykliwszych, „efektowniejszych,“ które niekiedy wprost zabić mogą dzieło istotnej wartości. Dzieła sztuki wymagają zresztą ciszy, skupienia w widzu, a w tych kramach zatłoczonych gwar panuje straszliwy. Odwracam spojrzenie od obrazu czy rzeźby i pragnę wesprzeć oko na czemś obojętnem, aby ujrzeć w sobie widziane przed chwilą dzieło. Tymczasem zamiast ściany lub harmonijnej draperyi, wzrok mój uderza coś zupełnie z oglądanym przed chwilą obrazem sprzecznego, co w okamgnieniu wytrąca mnie z nastroju i zmąca poprzednie wrażenie. Barwy, linie, style krzyczą ze wszystkich stron, wydzierają sobie uwagę widza, kłócą się między sobą, walczą o byt zajadle — i człowiek przeciętny wyjść musi z wystawy z podobnie mętnem, niewyraźnem, szczegółu żadnego niepomnem, wrażeniem, z jakiem wychodzi się z wielkiego, różnemi drzewy zagęszczonego lasu.

Uwagi te stosują się równie dobrze do muzeów dzieł dawnych, do owych olbrzymich szeregów sal, z których większa część zwiedzających — twierdzimy to napewno — wychodzi, mimo przyjaznej pomocy wyróżniających już wybitne rzeczy „przewodników“ i gwiazdek w różnych Baedeckerach, oślepiona, znużona, mrugająca oczami, bez żadnego istotnego, mocniejszego wrażenia estetycznego. A tam

idzie się przecież z pewnem choćby najskromniejszem przygotowaniem, z pewnemi choćby najbardziej ogólnikowemi wiadomościami o niektórych przynajmniej arcydziełach, które się ma tam znaleźć, z pewną *Ehrfurcht* wreszcie, wynikającą ze świadomości, że to jest muzeum, Louvre czy Galerya Narodowa, przybytek uznanych mistrzów, zbiorowisko omawianych w historyach sztuki arcydzieł. Tam normalny widz nie odnosi również żadnego właściwie estetycznego wrażenia, ale, przygnieciony świadomością uznania wieków, gotów raczej *wszystko* uznać za zdumiewająco piękne, nie wyłączając nawet rzeczy historyczne dziś jedynie mających znaczenie. Inaczej się dzieje na wystawach współczesnej, dzisiejszej sztuki, gdzie tłum odwiedzający żadnej już wskazówki, żadnego nie ma przewodnika, prócz smętnych bardzo i przez podejrzanych znawców pisanych wzmianek dziennikarskich, a dokąd nadto, wyćwiczony na bajecznej dezynwolturze tychże dziennikarzy w traktowaniu dzieł sztuki, przychodzi nie już z kornem do pewnego stopnia poddaniem, nie z chęcią odebrania jakiegobądź podnioślejszego wrażenia i rozkoszowania się niem, lecz z samozadowoleniem sędziego, który powie coś o tem, co widział, choćby właściwie nic nie miał do powiedzenia.

I na działalność artystów wpływają te stałe czy peryodyczne wystawy w sposób bardzo niepożądany. Artysta przestaje właściwie pracować dla tego, aby tworzyć; pracuje dla tego, aby wystawiać. Jest, dajmy na to, w werwie, w rozmachu, drzewo jego marzenia rozrasta się szeroko, twórca czuje w sobie materyał na cały szereg dzieł większych i mniejszych — ale nie zabiera się do nich, lub nie kończy ich, bo i po co, skoro w wielkiej halli targowej, jaką jest np. Salon paryski, czy to największemu mistrzowi, czy poprawnemu zaledwie, bez śladu twórczości, rapin'owi (och, te powodzie rzeczy poprawnych! u nas bywają zresztą nawet i niepoprawne) wolno wystawić tylko bardzo nieznaczną, ściśle określoną ilość płócien czy gipsów. Ponieważ, dalej, w stłoczeniu strasznem, nieraz przepyszna, lecz niewielkich rozmiarów rzecz ginie, uchodzi uwadze widzów, w zabójczem sąsiedztwie kilkumetrowych „maszyn," więc ileż to razy artysta dałby zupełnie dobrą rzecz, gdyby w odpowiednich zamknął ją rozmiarach i nie silił się na ogrom. Przy peryodycznych wystawach, ileż to razy artysta, nie mając zupełnie rozpędu ani powodu wnętrznego do roboty, robi jednak, bo musi mieć coś w salonie. Pośpiechy, takie zwykłe, aby rzecz wykończyć na termin otwarcia, źle wpływają też niewątpliwie na jej wartość. Przy stałych wystawach, inne znów szkodliwe strony.

Właściciele sal wystawowych, nie chcąc mieć w nich pustki, zabiegają u artystów, a ci skłaniają się łatwo do wystawienia, skoro jest gdzie, i to pomiędzy innymi. Ztąd odwyknienie od dłuższego przetrzymywania dzieł w pracowni — i nieraz, rzecz, którą twórca, obejrzawszy jeszcze i jeszcze, w dłuższych czasu odstępach, doprowadziłby do większej w każdym razie doskonałości, idzie w świat, w postaci bynajmniej nie ostatecznej.

Cóż na to poradzić? Ideałem byłoby wystawianie pojedynczego dzieła, lub, lepiej jeszcze, grupy dzieł, będących owocem jednego „drzewa marzenia" u danego artysty. Widzieliśmy takie wystawy Odilona Redon'a, Klaudyusza Monet'a i wielu innych. Nic tam jedno drugiemu nie przeszkadza, rzeczy najwybitniejsze zarysowują się wyraziście, rzeczy drobniejsze, stopniujące wysiłek artysty ku tamtym, potęgują tylko ich wrażenie, a całość daje niesłychanie harmonijny i wyraźny obraz pewnego stanu duszy, pewnego okresu w twórczości artysty, pewnego marzenia w jego całkowitem rozgałęzieniu. Jeżeli do takich idealnych wystaw dojść od razu trudno, niechaj będą ekspozycye pojedynczych artystów, choćby z rozmaitych okresów ich działalności. I tu jeszcze duchowa postać twórcy zarysuje się wyraziście, i tu jeszcze różnice zaznaczać będą jeno rozwój taki lub inny, ale nigdy sprzeczać się ze sobą, albo przeszkadzać jedne drugim. Niech wreszcie, wystawia razem pewna grupa artystów związanych wspólnemi jakiemiś cechami i dająca gwarancyę wzajemnej kontroli nad wartością dzieł wystawianych. Chodzi o to tylko, i o to koniecznie, aby raz usunąć te ohydne jarmarki, pełne tłoku, ścisku, z przewagą zabójczą rzeczy tylko poprawnych (a jak u nas i niepoprawnych nawet), ze stałem, — jak widzieliśmy, na złe wiodącem artystów drogi — istnieniem, z peryodycznemi — co gorzej snadź jeszcze — nieodzownemi terminami, i z kupieckiem ich, przed wszystkiemi innemi względami, znaczeniem.

Salon Krywulta. Kolejne szczegóły refleksyj tych, które snadź po raz pierwszy uderzą wzrok czytelników polskich, znajdą z kolei, przy różnych okolicznościach, należyty sprawdzian i udowodnienie. Inauguracyjna wystawa przeniesionego do nowej siedziby Salonu Krywulta dowiodła, że przy dzisiejszym trybie wystaw arcydzieło nawet przed oczyma odwiedzających przesunąć się może, żadnego, nawet na krytykach, nie zrobiwszy wrażenia. Arcydziełem tem był portret własny Ignacego Pieńkowskiego, górujący tak nie-

słychanie nad kilkoma doskonałemi nawet na tej wystawie rzeczami, że chyba w bezmiernym jego spokoju i głębi znaleść można wytłómaczenie obojętnie pochwalnych wzmianek o nim w krytykach, lub— co gorzej — stawiania go niżej od wystawionego poprzednio, brawurowego, majsterskiego, ale do stóp mu nie sięgającego portretu znużonego młodzieńca w balowym stroju. Co to jest portret? Oddanie wewnętrznego, duchowego charakteru człowieka, nadającego cechy specyalne całej cielesnej jego powierzchowności. Im głębiej tu artysta sięgnie, tem bardziej nieprzemijającym, od cielesnego pierwowzoru niezależnym, samoistnie żyjącym staje się jego utwór. Niewymownie rzadko, nawet mistrzom największym, udaje się sięgnąć ku najgłębszym, ku wieczności zwróconym pierwiastkom człowieka, i wtedy nie jest to już portret jakiegoś danego indywiduum, nie jest to już nawet wizerunek pojedynczego człowieka, lecz jakaś wizya dajmonicznych, nadludzkich w nim pierwiastków, wizya tego, co w glinie ludzkiej na obraz jest i podobieństwo boże. Wtedy powstają takie dzieła, jak Gioconda da Vinci'ego, portret własny Dürera w Prado madryckiem i snadź inne, które mi w tej chwili na myśl nie przychodzą. Cechą, która odróżnia je od wszystkich do tej wyżyny nie sięgających, jest jakaś symbolowa wszechznaczność i niewysłowna pogoda, będąca snadź skutkiem zaniku czy zatarcia się wszystkich trosk, bólów, czy zapałów ziemskich, w obliczu wieczności. Cechy te uderzają i w portrecie Pieńkowskiego — i dla tego nie waham się wymienić jego nazwiska zaraz obok tamtych wierzchołów sztuki malarskiej. Wiecznościowa cichość jakaś i wszechwiedza idzie z tych oczu patrzących ku nieskończeniu i z całej tej prostej, ciemnej, bezpozowej i bezefektowej postaci, występującej z żółto - złotawego, symfonijnego, mimowiednych jakichś tajemnic pełnego tła. Nic w tym portrecie niema zbytecznego i niczego w nim nie brak. Pieńkowski w dziele tem do najwyższych dotarł szczytów. Zarazem wszakże włożyło nań ono niesłychanie ciężkie zadanie, o ile sam sobie w przyszłych utworach sprostać zechce. — Wszystko to *nie* było powiedziane w żadnej historyi sztuki, i dla tego miejscowym znawcom wolno ruszać ramionami. — Będąca prawdopodobnie pierwszym szkicem do tego portretu, *Analogia* Pieńkowskiego jest z tychże samych względów nader zajmująca w głównej i najbardziej skończonej głowie, odskok wszakże od tej ostatniej do omawianego przed chwilą portretu podobny jest do tego, który dzieli Leonardowską głowę Chrystusa w galeryi Brera od tejże głowy w *Wieczerzy*.

Z innych portretów zwróciły naszą uwagę, dalekie od głębi wspomnianego arcydzieła, lecz nader krzepkie, pełne charakteru i odrębnie kolorystyczne portrety Krzyżanowskiego. Pewne hamowanie rozmachu i większe zwrócenie uwagi na subtelności przydałoby się może; bądź co bądź jednak, p. K. jest bardzo pocieszającem zjawiskiem na smętnem tle przeróżnych modnych portrecistów.

Uwielbiany i wynoszony w górę portret własny J. Malczewskiego nie trafił nam do smaku. Wiele w nim pozy, wiele kostyumerstwa, wiele alegorycznych akcesoryów, para, nie wiadomo *cui bono* transponowanych na fantastyczne figury, kolegów, wszystko razem dziwnie niespójne i łamigłówkowate, a co najdziwniejsza, twarz potretowanego, który gdzieindziej umie nadawać głowom swoim tyle ekspresyi, prawie bezwyrazowa. Przy tej sposobności chcielibyśmy w ogóle wyjaśnić nasze stanowisko względem Malczewskiego. Jako artystę, który nigdy nie zadowalał się prostem, rzemieślniczem kopiowaniem natury, dążył zawsze do twórczości i głębi, nie hołdował nigdy modom i przesądom, — cenimy go bardzo głęboko. Dziwaczny jednak konglomerat elementów twórczości, dający się zauważyć w każdej prawie jego kompozycyi, zmusza nas do zastrzeżeń. Malczewski, jak już powiedzieliśmy, posiada niesłychaną zdolność nadawania twarzom swoim potężnej i głębokiej ekspresyi. Wszystkie prawie głowy męzkie w cyklu, przedstawiającym męki twórcy, są wprost wspaniałe, — o ile je wyodrębnić z otaczających każdą, niestety, suchych, rebusowych i niekiedy trywialności zamiast grozy pełnych alegoryj. Malczewski jest przedziwnym pejzażystą; niestety, stafaż prawie zawsze psuje wrażenie. Gdzieniegdzie są to nieusprawiedliwione i bezbarwne fauny, gdzieindziej znowu dziwnie naturalistyczni urlopnicy czy rekruci. Górną połowę jednego z obrazów stanowi cudowny, nawpół wystylizowany, pogodny, melancholii pełny krajobraz drzewny, o niby spłowiałych, gobelinowych jakichś tonach, które budzą w myśli wspomnienie najlepszych starych mistrzów niemieckich. Niestety, zawadza oń i przecina go nawet brutalnie przykrą bielą swego papierowego kołpaka, umieszczony na dole „typ realistyczny," mający obok siebie, niewiadomo zkąd znowu, „fantastycznie nagą" i rubasznie brzydką postać mytologiczną. Sprawdzić to można na dwóch obrazkach, które dotąd jeszcze wiszą u Krywulta. Na jednym, w samotnym zakącie między łanem zboża i białą brzóz kępą, chłop pasie krowy. Temat, zda się, banalny, a rzecz doskonała. Takie tam słoneczne cisze wiszą w powietrzu, takie błogosławiące płyną brzóz szmery, tak miękko zbożowe przy-

ginają się kłosy, tyle tam tego życia, które, tylko po uciszeniu się w sobie, pochwycić i odczuć można. Tuż obok, żołnierz, wracający do swojej zagrody, stoi wsparty o płot sadu. W bardzo majsterskiej, więcej, odczutej, jego pozie uwydatniają się wybornie, tak, że i bez widoku twarzy obejść się możemy, miotające nim uczucia. Cóż, kiedy pejzaż wypadł sucho, bezbarwnie i próżno jakoś.

Nie robilibyśmy tych zastrzeżeń, trzymając się zdania, że kapitalna część jakaś w obrazie okupuje nawet upadki w pozostałych, ale jesteśmy do nich zmuszeni poniekąd przez taktykę „miarodajnej" krytyki, która, podnosząc dzisiaj dopiero (gdy trzeba pokazać, że się także odczuwa idealizm i rozumie symbole), ale za to bezwzględnie, Malczewskiego, nie widzi równocześnie nic w Wyspiańskim, milczy o nim lub natrząsa się z jego „chorobliwości" i „deformacyj," i zdaje się nie mieć najmniejszego przeczucia, jak kolosalnych rozmiarów to twórca.

Mówiąc o potrecistach, niepodobna nie wspomnieć o Boznańskiej, której bardziej tajemnicza niż głęboka psychologia postaci zyskuje coraz na wyrazistości, i której zajmujące szarości stają się w ciszy swej i skupieniu coraz bardziej kolorystycznemi. Nadto, ciepło niezwykłe przenika ostatnie jej malowidła i zdwojonem darzy je życiem. Od rzeczy wystawionych u Krywulta bardziej zainteresowała nas *Angelina* zawieszona w Tow. Zachęty.

Z pejzażystów, przedewszystkiem pomówić musimy o Stanisławskim. Ten niewymowny niegdyś poeta zmierzchów, sadów ukraińskich, widziadlanych grusz i jabłoni, świecących w mroku białością pni i wyciągających, niby ręce błagalne, rozłożyście pokręcone gałęzie; ten Boecklinowski prawie ożywiacz świata wód i roślin, jakże różne i jak wymowne umiejący nadawać fizyonomie swym mistycznym szeregom czarnych topól nad wodą i swym dziewannom; ten śmiałek, biorący się bez lęku za bary ze słońcem i pożarami odblasków jego na kopułach cerkwi ukraińskich; ten bajeczny odczuwacz sennych, jakgdyby zciszonych w rozkładającem się powietrzu, wilgotnych patyn na słupach lagunowych; ten władca całej gamy tonów, barw i świateł, — wyjawia się, zwłaszcza w ostatnich czasach, jako kapitalny syntetyk nie wahający się poświęcić wszystkich szczegółów krajobrazu dla osiągnięcia bądź epickiej dali i szerokości, bądź niesłychanie intensywnych feeryj świetlnych, w których mógłby rywalizować z Klaudyuszem Monet, mimo zupełnie różnych dróg, jakiemi obaj idą. Syntezą, zresztą, jest całokształt twórczości Stanisławskiego, gdyż dziw! całe te szeregi drobnych rozmiarami obrazków, będących niekiedy pozornie notacyą tylko pewnych szcze-

gółów czy momentów, zostawiają w duszy widza nie wspomnienie sumy poszczególnych wrażeń, lecz jakąś jednolitą wizyę czy to bezbrzeża stepowego, czy jakiegoś morza światłości, czy wielkiego, obejmującego wszystko zmierzchu widziadlanego. Świadczy to o zdolności Stanisławskiego do tego, co jedynie należałoby nazywać symbolizowaniem, to jest, do zamykania w pojedynczym szczególe przeczucia całej natury. Te drobne obrazki są wielkiemi oknami na przyrodę.

I u Krywulta (zwłaszcza: czarodziejski fajerwerk jesiennego obrazu, ogniskujący się ku pierwszym planom w wulkanicznym wprost wybuchu światłości), i w Tow. Zachęty widzieliśmy po kilka pejzaży Stanisławskiego. Ale dla niego właśnie nieodzowną byłaby osobna, wyłączna dzieł jego wystawa, która dopiero pozwoliłaby każdemu ocenić wszystkie wymienione wyżej cechy jego talentu, wadliwy bowiem i nieumiejętny sposób rozwieszania płócien na naszych zbiorowych ekspozycyach najbardziej szkodzić musi jego drobnych rozmiarów obrazkom.

Charakterem Ruszczyca jest siła i, do pewnego stopnia, groza. Jego potoki toczą się ciężko i ponuro, jakby za chwilę miały zerwać brzegi; jego młyny cyklopicznych jakichś robią wrażenie budowli; słynna jego *Ziemia,* z nędznym, mozolącym się na niej płazem, zda się wisieć czy krążyć w przestrzeni pod posępnem tragicznych jakichś chmur nakryciem; konie unoszące szalonym pędem karetę, w alei widmowo gnących się z wichrem drzew-olbrzymów, przybierają kształty jakichś bestyj z Apokalipsy. Cała przyroda zdaje się mieć dla oka artysty charakter przedewszystkiem i wysoce dramatyczny. Transponując wrażenie optyczne na słuchowe, powiedzielibyśmy, że obrazy jego grzmią piorunowo lub przynajmnie huczą głucho. To też niespodzianką pewną był jego *Kościołek* wystawiony u Krywulta. Siła i tu ta sama, „kościołek“ to raczej pelazgijska jakaś budowa, chmury, acz białe tym razem i uśmiechnione, potężnie ważą się w powietrzu, ale dramatu ni śladu. Ogromna to raczej, krzepka, zdrowa idylla. Całość dyszy pogodą i spokojem słonecznym, a cisza niedzielna i świeżość rosista potężną falą płyną z dotykalnej prawie powietrzni obrazu.

Edward Okuń wystawił u Krywulta mniej trafiający nam do przekonania i zbyt realistyczny na takiego, jak on, twórczego transfiguratora, *Sen,* oraz kilka pejzaży, z których obrzeżony kwitnącemi migdałowcami stok góry z prześwitującem przez mgły u stóp jego miastem, pełen jest tego zupełnie odrębnego, południowego powietrza

i światła, a przepyszna woda przy świetle księżyca, z subtelnemi odbiciami ogradzających ją sztachet, wyśwituje na tłach drugoplanowej czerni nocnej niby tajemnicze szeroko rozwarte oko. Wystawiony w Tow. Zachęty, portret własny i żony na tle średniowiecznego, uczepionego na wzgórzu miasta włoskiego, niesłychanie dyskretny i subtelny w tonach i kompozycyi, oraz pełny szlachetnego, we włoskiej, zda się, sztuce początek biorącego, lecz przytem nader indywidualnego stylu, przekonywa nas raz jeszcze, jak-eśmy to już kiedyś z dawniej widzianego przypuszczali nokturnu, że twórczo-kompozycyjnemu temperamentowi Okunia nie wystarcza sam pejzaż i że dopiero przy pojęciu takowego w sensie Maeterlinckowskiego tła, t. j., jako pierwiastku równorzędnego z człowiekiem i echowo z nim sobie wzajem odpowiadającego, talent jego wybłyska w całej pełni. Oczekujemy z ciekawością większej wystawy, którą Okuń niezadługo, podobno, ma urządzić i wówczas szerzej zastanowimy się nad jego twórczością.

Chełmoński dał las zasypany śniegiem, gdzie delikatne, zielonawe tony błąkają się tęsknie wśród bieli, niby wspomnienia o dniach minionych. Miękka, puszysta cisza leży naokół, osypany przez sójkę śnieg z grzmotem zda się w niej dopadać ziemi.

Wawrzenieckiego znaleźliśmy tylko jedną rzecz, ale jak zawsze interesującą w liniach i kolorach.

Teatr Marcellusa w Rzymie — Józefa Pankiewicza — jest mistrzowskiem dziełem. Mroczność, chłód wiejący, brzemię odczuwalne, dziwne patyny starych głazów zwietrzałych, cała dusza murów! Od katedr Klaudyusza Monet nie widzieliśmy, mimo różnic w traktowaniu, podobnie malowanych ścian starożytnych. Zadowalając się tem jednem malowidłem, położył Pankiewicz u Krywulta cały nacisk na akwafortę, w dziale której jest w Warszawie prawie jedynym, lecz za to niesłychanie tęgim przedstawicielem, czego najlepszym dowodem, iż nawet tak groźne sąsiedztwa, jak Ropsa, Klingera, Liebermana, Herkomera i innych ani na źdźbło mu nie zaszkodziły. Zwłaszcza jego *pointes sèches:* Grobla, Wenecya, Syena i tenże sam, co na malowidle, Teatr Marcellusa zachwyciły nas poprostu smakiem i subtelnością wykonania. Zainteresowały nas również bardzo ciekawe kompozycyjnie i liniowo, acz może nie tak definitywnie dojrzałe jak Pankiewiczowskie, akwaforty F. Siedleckiego. Tenże artysta miał później w Salonie Krywulta niedość szczęśliwe może w koncepcyi, lecz ciekawe liniowo i nader zajmujące w suggestyjnych przejściach barw, pastele.

Aby nieopuszczać dziedziny malarstwa, słów parę jeszcze o wystawie Sienkiewiczowskiej w tymże Salonie, oraz o cyklu węglowych rysunków M. Gajewskiego *). O pierwszej nic dobrego powiedzieć nie możemy. Zdumiewającą wprost jest rzeczą, że dzieła Sienkiewicza, posiadające, bądź co bądź, tyle momentów epickich, natchnęły tylu artystów zaledwie do anegdot. Najlepsze są jeszcze rysunek J. Kossaka, oraz ilustracya Kamieńskiego do *Lux in Tenebris*. Reszta, rysowana przez Tetmajera, Batowskiego, Gorskiego, Jankowskiego, jest wprost nudna i śmieszna. Co do Kostrzewskiego mielibyśmy dość już, i zanadto nawet, jego zupełnie przeżytej maniery. Jarocki w swoim olejnym obrazie do *Quo Vadis* nie wyszedł również po za anegdotę.

M. Gajewskiego pamiętaliśmy z ilustracyj w „Wędrowcu," które były szczytnej banalności. Odtąd zrobił niewątpliwie postępy wielkie, aczkolwiek koledzy artyści nie mieli znowu wcale powodu do hyperbolicznych pochwał, jakiemi obdarzali mętny dość *Sen artysty*. Sądząc z kolekcyi prac, obecnie wystawionych u Krywulta, Gajewski ma większe zdolności do krajobrazu, zwłaszcza miejskiego. Jego *Plac Zygmunta* z piętrzącemi się fantastycznie dachami katedry, oraz rodzajowy bardziej widok na Wisłę przewyższają o wiele jego kompozycye figuralne i portrety. Z materyału samego, jakim jest węgiel, nie wydobyto absolutnie nic. Czarności są płytkie i zdawkowe, przejścia mało subtelne.

W dziale rzeźby inauguracyjna wystawa Krywultowska przyniosła szereg gipsów B. Biegasa. Obudziły one w jednych niepohamowane zachwyty, w drugich krańcowe oburzenia. Faktem jest, i to nader pocieszającym, bogactwo wyobraźni, oraz tendencya do pewnego stopnia metafizyczna u młodego tego artysty. Wizya wszakże nie jest jeszcze dość czysto rzeźbiarska, czuje się nazbyt wiele „literatury," a także sporo ech Vigelandowskich i Rodin'owskich. Umiejętności jest naogół za mało; obok niektórych świetnych szczegółów, wielu rzeczom zarzucić trzeba niedbałe czy niedołężne, a w każdym razie banalne wykonanie. — Szereg biustów i medalionów S. Ostrowskiego odznacza się energią i charakterem. Pożądanem byłoby nieco więcej subtelności i pogłębienia, nieco więcej twórczego, wewnętrznego podobieństwa, nieco więcej zaznaczania duszy na formach cielesnych. Szkic do grupy na gmach Filharmonii (odrzu-

---

*) O wystawie japońskich drzeworytów dajemy artykuł specyalnego sprawozdawcy.

cony przez komitet) zasługuje, choćby z tego względu na uwagę, że artysta zdołał dość szczęśliwie uniknąć banalności, będącej zwykłym losem tego rodzaju tematów i kompozycyj.

§ §

Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych. Napis *Artibus* obowiązuje. Gdybyśmy go spostrzegli na jakimś nędznym baraku, na jakiejś wielkiej wozowni, rozwierającej jeno chciwie dach ku światłu, nie dziwilibyśmy się bynajmniej. Byłby to symbol widomy położenia czy pomieszczenia sztuki w społeczeństwach dzisiejszych. Na nowym gmachu Towarzystwa Zachęty sztuk pięknych na ironię on nieco zakrawa, zwłaszcza w sąsiedztwie dwóch opasłych kolumn i śmiertelnie banalnego tympanonu. Budynek cały nie ma najmniejszego charakteru, mógłby równie dobrze nosić jakikolwiek inny napis: „Mamonowi,“ albo „Res sacra miser,“ mógłby być hotelem, giełdą, dorobkiewiczowskim pałacem, wszystkiem od biedy, niczem jedynie i nieodzownie. Najmniejszej zaś kwalifikacyi nie ma na salon sztuki, gdyż jest monumentalnem piękna zaprzeczeniem. Wnętrze niemniej dobroduszną jaśnieje banalnością, a nieszczęsne arcydzieło rzeźby polskiej XIX w. smętnie zatraca resztę linij w ciemnym swym kącie. Najgorsza, że światło w salach wystawowych jest wprost zabójcze dla obrazów, na co artyści napróżno, bo zapóźno, się uskarżają. Możnaby spytać, kto pałac ten budował? jaka komisya aprobowała projekt? lub na jakim konkursie plany nagrodzono? Jeśli gmach Filharmonii okaże się równie estetycznym i równie praktycznym, na co podobno się zanosi, Warszawa będzie mogła sobie powinszować swoich komisyj i sędziów konkursowych.

Wystawa inauguracyjna, gdyby nie kilku tęgich intruzów, nie wiadomo co robiących w tem towarzystwie, byłaby klasyczną rewią mierności, braku dążenia do czegokolwiekbądź i nawet słabej znajomości rzemiosła. Zajmijmy się oazami w tej puszczy. O rzeczach Ruszczyca i Okunia mówiliśmy już powyżej. Pankiewicz ma tutaj dziwny portret dwóch dziewczynek, przypominający nieco zdaleka Renoir'a i nie robiący wrażenia za pierwszem spojrzeniem, ale po dłuższem wpatrzeniu się fascynujący poprostu miękką tonów harmonią i jakąś niezwykłą świeżością, a zarazem dojrzałością tych małych osóbek. Pełen skupienia i mocy wnętrznej jest portret księdza na tle wnętrza kościelnego, wystawiony przez Józefa Mehoffera. Odnajdujemy tu cały, krzepki a spokojny, poważny a prosty, na

pozór ku zewnętrznej stronie życia zwrócony, ale tą drogą dochodzący do głębi wnętrznej, talent znakomitego artysty. Rzecz niby malowana zupełnie realistycznie, z niesłychaną dbałością o szczegóły, z zachowaniem, nawet w akcesoryach tła, surowej jaskrawości wiejskich kościołów, ale przy wpatrzeniu się dłuższem cudowna zdumiewa nas transfiguracya. Krzepka, jędrna, postać księdza, zajmująca czarną plamą środek obrazu, zaczyna potężnieć, rosnąć wzwyż na tle niepewnych złot i białości, zmienia się w kolumnę środkową podtrzymującą cały ten wątły kościołek drewniany — i nagle mamy wizyę tych niepoliczonych, bezimiennych słupów, na których wspiera się majestatyczna budowa ziemskiego Kościoła.

Rari nantes—Mehoffer i Pankiewicz—*in gurgite vasto* różnych modnych (*oh! cet inéffable* Mordasewicz!) i mniej modnych, poprawnych, mniej poprawnych i wprost ohydnych konterfektów cielesnej, a niekiedy kostyumowej tylko powłoki człowieczej, których powódź zalała wystawę.

Z krajobrazów również niewiele jest do zaznaczenia. Obok przepysznych rzeczy Ruszczycowskich (jeden cud — owo wspaniałe odbicie płonącej o zachodzie baszty w rzece!), przyciąga właściwie tylko piękny widmowy las we mgłach Witkiewicza. Chełmoński ma rzecz, przy całem majsterstwie, dziwnie niezajmującą. W Stabrowskim znać sporo uczucia, które jednak nie skrystalizowało się jeszcze w indywidualne formy. Coś świeższego, odrębniejszego już powiało nam nawet z drobnego widoczku Dalkiewicza. Z całego szeregu płócien Stabrowskiego najbardziej jeszcze obiecującym wydaje nam się portret panny J. — Rapacki, który miał dość swego talentu, zaczyna teraz podlegać wpływom Boecklina i Ruszczyca.

W fantastycznych kartonach Deskura jest stanowczo zbyt wiele „literatury," acz wyznamy otwarcie, że, w porównaniu z bezmyślnem, powierzchownem kopiowaniem natury, każdy wysiłek podobny wydaje nam się sympatycznym. Wprost ohydne są za to maeterlinckiady Owidzkiego.

Całą wielką salę oddano W. Kotarbińskiemu. Olbrzymi nakład pracy, płótna, farb, umiejętności nawet dość znacznej, ale przy tem jakiż brak twórczości, jaka bezosobistość, jakie sitowiane chylanie się z każdym wiatru powiewem coraz w inną stronę, jaka płytkość, jaka niezdolność do wzniesienia się nad poziom anegdoty! Bezpożyteczne „maszyny"! Patrząc na *Chrystusa,* myślimy o Munkacsym, na *Erosa* — o Böcklinie, na *Pochód Cezara* — o Rochegros-

se'ie, na *Adagio* — o Siemiradzkim, na *W cichą noc* — o Pruszkowskim, na *Rosę* z flakonikiem — o Stachiewiczu, i zawsze to, co mamy przed oczyma, źle na tych wspomnieniach wychodzi, takie wszystko u Kotarbińskiego martwe, zimne, bez wyrazu. W *Pocałunku fali* dal morza ma moc pewną i obszar — cóż kiedy na froncie banalnie malowany „fakt“ dziennikarski zabija wnet wrażenie.

W dziale rzeźby, Laszczka dał przepyszne popiersie kobiece w marmurze. Ściągła, nerwowa twarz ze skończoną została oddana finezyą, ze wszystkiemi subtelnościami, z niewymowną miękkością i życiem. Całość trzyma się ogromnie. Linie mają, przy całej prostocie, wiele smaku i wdzięku szlachetnego. Psyche wybija się na twarzy w leciuchnym błysku nieświadomej siebie dwuznaczności tajemniczej. Jest to może jedna z najlepszych rzeczy Laszczki. — Zresztą, nic nowego, niewidzianego już poprzednio, prócz może zbyt słabo Rodin'owskiego gipsu de Turquier'a *Na łonie ziemi.*

Z. P.

Wystawa drzeworytów japońskich. W niesłychanie bogatej, oryginalnej sztuce japońskiej, drzeworytnictwo — zwłaszcza kolorowe — zajmuje jedno z pierwszych miejsc. Wychodzą tu na jaw w całej pełni główne cechy geniuszu narodowego: smak, fantazya, zmysł dekoracyjny i kolorystyczny, wreszcie mistrzostwo wykończenia technicznego. Epoka rozkwitu tej gałęzi sztuki przypada na wiek 18-ty; następnie chylić się poczęła ku upadkowi, jak cała sztuka japońska wogóle, pod zabójczem tchnieniem Europy, tej Europy, która zawdzięcza Japonii powstanie wszystkich nowych kierunków, zwłaszcza w sztuce stosowanej, a przedewszystkiem powstanie krajobrazu nowożytnego. Albowiem, przed znakomitym Klaudyuszem Monet, istnieli, znakomitsi jeszcze, Hokusai i Hiroshige. Ponieważ Hiroshige umarł w 1856-ym roku, odbitki dzieł jego — z małemi wyjątkami — wiele pozostawiają do życzenia. Kolory są już przeważnie „canaille,“ jak powiedział Goncourt. Wytworność przyciszonych odcieni, bogactwo i blask zawsze w mierze utrzymane, misterność wykończenia, znajdujemy w dziełach mistrzów wcześniejszych, takich jak Shunsho, Toyokuni, Yeishi, Utamaro. Wówczas drzeworyt kolorowy był po prostu dziełem oryginalnem, na które składało się trzech artystów, grających — każdy w swym zakresie — rolę pierwszorzędną. Pierwszy tworzył na cienkiej bibułce, którą drugi niszczył, w miarę tego jak dzieło rodziło się na płycie z wiśniowego drzewa pod narzędziem

rytownika. Trzeci, artysta i znakomity fachowiec, puszczał w świat—czasami w jednym tylko egzemplarzu—z pod prasy ręcznej, rzeczy, na które polują najwykwintniejsi miłośnicy sztuki i muzea całego świata. Najznakomitsi artyści pracowali prawie wyłącznie ad hoc; rozmiłowany w sztuce i wykwintny naród był odbiorcą nigdy nie nasyconym. Drzeworytów japońskich istniały więc miliony i malowały całokształt życia tego narodu. Mamy tu wielkich wojowników i bohaterów legendowych, wojny, legendy, Olimp japoński, kobietę, krajobraz, kwiaty i świat zwierzęcy, mamy uroczystości narodowe, życie teatralne, życie magnatów, wieśniaków i rzemieślników. Właściwie jednak, ponieważ artysta japoński jest zawsze, przedewszystkiem, artystą, nie zaś filozofem, historykiem, poetą lub kaznodzieją, dzieło jego jest zwykle pretekstem do tworzenia, że tak powiemy, symfonij barwnych dla oka, co nie znaczy bynajmniej, aby nie miały w sobie poezyi, wyrazu, myśli, życia. Jest to muzyka kolorów, pieszcząca wzrok. Mamy tu pojedyncze utwory skomponowane w pewnej tonacyi, mamy całe suity z genialnemi modulacyami, wśród których rozbrzmiewają potężne akordy tych głębokich, aksamitnych, czarnych plam, rzuconych z niesłychaną maestryą. Mamy drobiazgi, zdumiewające widza doskonałością i oryginalnością technicznego obrobienia. To surimona, drobne drzeworyty misternie wytłaczane, przybrane w złoto i srebro, wydawane w stowarzyszeniach artystycznych, przy różnych okazyach, i robione przez artystów dla artystów.

Aby zdobyć piękny i możliwie kompletny zbiór drzeworytów japońskich, trzeba być człowiekiem bardzo bogatym, pracować przez całe życie i mieć szczęście—szczęście doczekania się sprzedaży zbiorów jakiego miłośnika przez jego spadkobierców. Albowiem taki zawsze, prędzej czy później, spotyka los długie i wytrwałe zabiegi tych, których rodziny uważają za waryatów, zresztą nieszkodliwych, a którzy tych owoców opiece ogółu nie przekazali. Dziwić się zatem nie należy, że wystawiona przez ruchliwą i zasłużoną na polu naszego życia artystycznego firmę Krywulta kolekcya drzeworytów japońskich daje nader słabe zaledwie wyobrażenie o tem, czem jest właściwie dobry japoński drzeworyt, że jest szczupłą i że są w niej rozmaite i duże luki. Gdy zauważymy, że katalog dzieł jednego tylko Hokusaja obejmuje około trzydziestu tysięcy numerów, dojdziemy łatwo do przekonania, że gmach na pomieszczenie kompletnej wystawy drzeworytnictwa japońskiego kosztowałby miliony. Wystawa, którą w lutym urządzi Towarzystwo Zachęty, choć dziesięć razy

większa, będzie oczywiście, drobnym tylko przyczynkiem do historyi drzeworytnictwa w Japonii.

Przyznać jednak należy z uznaniem, że p. A. Krywult, dał dowód dobrej woli i wielkiej odwagi. Tak jest: barbarzyńcom, jakimi jesteśmy, barbarzyńcom o najdziwaczniejszych wyobrażeniach estetycznych, a raczej estetyce zupełnie obcych, pokazać coś, o czem nie mają absolutnie żadnego wyobrażenia, pokazać drzeworyt, akwafortę, litografię, rzeczy, które — podług nas — nic wspólnego ze sztuką nie mają i nikogo nie interesują, — to odwaga.

Wprawdzie powiadają, że audaces fortuna adjuvat; lecz po polsku znaczy to: Warszawa rusza ramionami.

Feliks Jasieński.

SZTUKA STOSOWANA.

Uwagi ogólne. — Karty pocztowe

Wrażliwość estetyczna nie jest rzeczą wrodzoną jedynie. Można ją rozwinąć w człowieku, który jej nie miał, można ją zabić w osobniku jako tako nią obdarzonym. Obie te funkcye spełnia otoczenie i życie. Jeżeli w najdrobniejszych okolicznościach, w najbardziej codziennych życia szczegółach pozostawać będziem pod nieustannym wpływem brzydoty, możemy z czasem stać się zupełnie niezdolnymi do odczuwania piękna. Jest to snadź proste prawo nawyknienia. Wzrastająca stale atrofia wrażliwości estetycznej w szerokich warstwach społeczeństw w tem właśnie znajduje swe wytłómaczenie. Życie codzienne otacza nas samemi brzydotami, samemi szablonami fabrycznemi, samemi trywialnościami. Żyjemy w miastach, kędy banalnie geometryczne kwadraty ulic zacierają wszelkie poczucie linij, oddaleń, szerokich horyzontów. Mieszkamy w ohydnych szufladach pudełek zwanych domami, w pokojach wyklejonych wstrętnie banalnemi obiciami i wysłanych takiemiż kobiercami. Wszystkie sprzęty domowe, w pogoni fabryk za tanioścą, wyzbyły się zwolna szlachetniejszych kształtów, acz zdaje się ludziom tylko, że stały się przez to praktyczniejszemi. Po ulicach zacierają w nas do reszty poczucie piękna potworne szyldy i jaskrawo kłótliwe afisze. Weźmiemy książkę do ręki, jest to łachman psujący nam oczy niedołęstwem swych znaków drukarskich. Chcemy książkę oprawić, robi się to fabrycznie, według jednego, zazwyczaj możebnie najbanalniejszego modelu, bez względu

na rodzaj, charakter i znaczenie książki. Zatraciły się pod wpływem drukowanych perkalików, wszelkie szlachetniejsze wzory i desenie. Wszelki ślad smaku, zręczności zaginął w wyrobach z gliny, drzewa i metalu. Nawet, pełna ongi finezyi, sztuka jubilerska kładzie dziś większy nacisk na wagę metalu oraz ilość drogich kamieni, aniżeli na wyrób szlachetny, artystyczny. Jest to kolosalny, niesłychany, zabijający zalew brzydoty we wszystkich sferach, warstwach, dziedzinach, okolicznościach i postaciach. W takiem otoczeniu muszą wyrastać pokolenia zupełnych anestetyków, którzy tak już zrośli się z brzydotą okolną, że nie podejrzewają nawet całej jej ohydy. Że zaś, kto nie czuje brzydoty, ten nie może odczuć i ocenić należycie piękna, więc nadeszła epoka zupełnej obojętności a nawet nienawiści ślepej dla wszelkiej twórczości, dla wszelkiego artyzmu, dla wszelkiej oryginalności. Sztuka przestała wpływać na ludzi, i brakowi jej uszlachetniającego oddziaływania przypisać należy, obok innych przyczyn, to barbarzyństwo, tę surową brutalność, tę bezduszność, jakich objawy w społeczeństwach dzisiejszych co chwila stwierdzać się dają.

Z drugiej strony, praca, skutkiem usunięcia z niej wszelkiej indywidualnej inicyatywy, stała się dla pracownika ciężarem jedynie, zrobiła go ogniwkiem tylko w wielkiej maszynie, odebrała mu całą satysfakcyę z dokonanego dzieła i całą zasługę. Została jeno gorycz i zazdrość względem tych, którzy tak mechanicznie pracować nie potrzebują, którzy jakiemś bardziej indywidualnem cieszą się istnieniem. W pracy takiej człowiek zwierzęceje, i wybuchy jego nienawiści do niesłychanej dojść mogą dzikości.

Wszystkie te fakta mieli na uwadze pierwsi, naprzód angielscy, a potem belgijscy i francuscy, wskrzesiciele sztuki stosowanej do wszystkich szczegółów i okoliczności życia codziennego, i William Morris np., zakładając swoje fabryki obić czy dywanów, albo swoją kelmskocką drukarnię, miał na celu z jednej strony rozbudzenie indywidualnej twórczości w robotnikach, z drugiej zaś, przez otoczenie człowieka samemi smacznemi, wytwornemi, pięknemi rzeczami, pragnął powoli uczynić sztukę i piękno integralną częścią życia, czemś, bez czego równie niepodobna się obejść, jak bez światła i wody. Cele oba snadź trudne do urzeczywistnienia, ale niewątpliwie bardzo podniosłe i dziś zwłaszcza wprost nieodzowne.

Z czasem jednak, propagatorzy sztuki stosowanej, snadź przez rozmiłowanie się w przedmiocie, który ich wyłącznie zajmował, jęli przypisywać jej zupełnie inne, samoistne znaczenie, twierdząc, iż niema różnicy pomiędzy nią, a sztuką czystą, i że artystycznie wy-

konany kobierzec, czy wazon cynowy, czy oprawa do książki jest takiem samem dzielem sztuki jak Gioconda da Vinci'ego, symfonia Beethowenowska lub poemat Danta. Bałamutność tego twiedzenia sama rzuca się w oczy. Sztuka czysta zajmuje się wiekuistemi, nieprzemijającemi pierwiastkami w człowieku; sztuka stosowana ma za przedmiot ziemską stronę jego życia, działaniem swojem uszlachetnia i wysubtelnia ją, budzi tęsknotę ku temu, co daje sztuka czysta, i podnosząc w człowieku wrażliwość estetyczną, umożebnia mu odczucie i zrozumienie dzieł tamtej. Jest ona zatem nieodzowna, jest pierwszym i koniecznym stopniem, ale znaczenie jej jest tylko przygotowawcze, lub raczej wychowawcze. Musi ona przyzwyczaić na nowo ludzi do piękna, przejąć ich wstrętem do wszelkiej brzydoty, jednem słowem uwrażliwić ich estetycznie. Dla spelnienia tego zadania musi ona rozszerzyć się na caly obszar życia, ogarnąć wszystkie jego dziedziny, zająć całą przestrzeń, od najprostszych przedmiotów codziennego użytku aż do rzeczy leżących już na rubieży sztuki czystej, w metafizyczne, duchowe sięgającej dziedziny. Co do istoty swej musi ona być przedewszystkiem twórczą i oryginalną, bezpośredniem przekształcaniem życia na piękno, bezpośredniem wystylizowaniem i sharmonizowaniem tego, co mamy naokoło siebie. Wszelkie zapożyczania jej wytworów zkądś z daleka mogą wywołać rozdźwięk zamiast harmonii, wnosząc obce szczegóły w nieodpowiadającą im całość. Zgodność, harmonia szczegółów z całością jest drugim, nieodzownym jej warunkiem. Trzecim jest celowość rzeczy ozdobnej, nie mają to być bowiem zapychające jeno mieszkania zabawki, które prędko moglyby znudzić się i wyjść z mody, lecz przedmioty użytku, wygody, przez to w pożądany na człowieka oddziaływające sposób, iż są piękne. Sama ozdobność powinna być bezpośrednim wykwitem i skutkiem ich zadania.

Społeczeństwo nasze, bardziej niż którebądź inne, potrzebuje takiego przygotowania przez sztukę stosowaną. Niestety, dotychczas nie mamy jej prawie wcale, tej własnej, tej twórczej, oryginalnej, a echa reform Morrisowskich czy francuskich dochodzą nas drogą wcale nie pożądaną, w postaci handlarskich produktów zastępujących piękno niezwykłością i obliczonych na snobizm ludzki, w postaci ohydnych modernizmów, wytworzonych przez kawiarnie wiedeńskie. Dla tego zwracać będziemy nieslychanie baczną i surową uwagę na wszystkie zastosowania sztuki do życia (meble, obicia, dywany i materye (ich desenie, barwę itd.), bibeloty, ramy, introligatorstwo, wyroby odlewane i kute, afisze, szyldy, ceramikę, wyroby

z drzewa, jubilerstwo (emalierstwo — o ile takowe da się odszukać), wydania książek (papier, druk etc.)], podnosić i popierać wszelkie owoce szczerej i twórczej inicyatywy, i sprowadzać do właściwej miary nie mające żadnej ze sztuką wspólności fabrykaty.

§ §

Na dziś — słów parę o drobiazgu, który jednak taką powodzią rozlał się po świecie całym, tak przesiąkł we wszystkie warstwy społeczne, tak do najodleglejszych przedostał się zakątów, taką powszechną stał się modą, że z nieustannem — nakształt owej kropli, która wreszcie wyżłabia kamień — oddziaływaniem jego poniekąd liczyć się trzeba. Mamy na myśli obrazkową kartę pocztową. Zrodziła się ta odrobinka początkowo z chęci uwidocznienia miejscowości, z której się pisze. Zwolna, do tego, że tak powiem, geograficznego, pamiątkowego czy reklamowego, rodzaju dołączyły się setki innych, i dziś niemasz prawie takiej rzeczy, którejby na karcie pocztowej znaleźć nie można. Wszelkiego rodzaju emblemata, od czułych do uroczystych, od osobistych do szyldowych *ad usum* całych klas czy zawodów; szkice humorystyczne lub pieprzne, karykatury; obrazki realistyczne, sentymentalno-rodzajowe, nastrojowe; stylizowane główki, kwiaty, linie; portrety znanych osobistości, wielkich artystów, sławnych aktorek; portrety własne korespondentów; kopie z dzieł sztuki; i t. d. i t. d. Zastosowano do kart wszystkie sposoby reprodukcyi czarnej i barwnej: fotografię, litografię, foto- i autotypię, heliograwiurę, bodaj akwafortę nawet, a w ostatnich czasach i Szczepanikowskie czy à la Szczepanik odtwarzanie drogą tkacką. Nie zadowalając się kopiowaniem rzeczy istniejących, zaproszono artystów, malarzy i rysowników, do tworzenia specyalnych na te karty ozdób, winiet, znaków, szkiców i kompozycyj. Powstały całe szeregi firm, wydających karty, zaczęły się współzawodnictwa konkurencyjne, zabiegi o wynalezienie czegoś nowego, niezwykłego, na których oryginalność czy dziwactwo częściej zyskiwały niż piękno. I płynie ogromna fala tych świstków w świat, i ludzie, przypatrując im się, albo kształcą sobie oko i zmysł estetyczny, albo — co częściej bywa — nawykają do głupstw, brzydot, nieszczerych sentymentalizmów i pseudo-stylów. Niech ludzie zapalają się do kart, niech zbierają ich kolekcye (lepsze nawet takie zamiłowanie, niż brak jego zupełny), byle z wyborem, z pogonią za rzeczami istotnie pięknemi, nie zaś za liczbą lub rzadkością jedynie. Niech kupcy korzystają i odnoszą zyski z tego *engouement* publiczności, ale niech dają rzeczy mające wartość artystyczną, niech,

się zwracają do doskonałych malarzy i rysowników, niech dając fotografie z natury, dbają o smak i zdjęcie widoku z dobrego punktu, niech pilnują, aby reprodukcya była wytworna, niech wreszcie i przedewszystkiem zwracają uwagę, co na karcie pocztowej jest odpowiednie, a co nie. Oto na czem oprzemy ocenę kilku kolekcyj, nadesłanych nam przez różne firmy polskie.

Wydawcy warszawscy, Winiarski i Sommer, wyeksploatowali przedewszystkiem, każdy na swoją rękę, widoki Warszawy i jej okolic. O litografowanych w kolorach, i kompozycyjnych niby, *souvenir*'ach *de Varsovie* obu firm wolelibyśmy nie mówić wcale. Zdawkowość i rażąca niezgodność barw, szablonowość rysunku i układu, komizm lub sentymentalizm godeł, ozdób i kwiatków, kawiarniany modernizm w kolorowych, niby stylizowanych obramieniach do fotograficznych widoczków — są poprostu wstrętne. Jak gdyby w Warszawie nie było ani jednego artysty, do którego możnaby udać się po rysunek i pod którego dozorem nawet litografie miejscowe do czegoś lepszego byłyby zdolne! Nie zachwyca nas również ciekawostka, wydana przez Winiarskiego: b. Zamek królewski na tkaninie jedwabnej. Szczepanik - że to? Jeśli tak, to, zaiste, wielkie będą jego zasługi na polu deestetyzacyi społeczeństwa. I fotograficzne reprodukcye z natury niezawsze są zadowalające, ale w tym zakresie możemy jednak w kolekcyach obu firm odnaleźć po kilka rzeczy bardzo pięknych: u Winiarskiego — wielki widok ogólny Warszawy od strony Pragi, plac Zamkowy z gmatwaniną dachów, i ogród Saski w okiści śnieżnej, który byłby wprost wyborny, gdyby nie brutalnie przecinające widok napisy czerwone, do których wydawcy warszawscy słabość jakąś mają; u Sommera — panoramiczny widok Pragi, ciekawe Stare Miasto i Zjazd z dołu zdjęty. Firma Sommera ma nadto kilka bardzo smacznych, miedziorytowych widoków Warszawy, które polecamy uwadze kolekcyonerów, oraz wcale ciekawe sceny i typy ludowe z Warszawy i okolic. U Winiarskiego — cała kolekcya autorów, artystów dramatycznych, muzyków, odznacza się porządną robotą, na którą możnaby zwrócić uwagę wydawcy *Albumu pisarzy polskich*.

Co do kopij z obrazów i wogóle reprodukcyj z wielkich dzieł sztuki na kartach pocztowych, uważamy je za stanowczo niestosowne. Pomijamy szkodę, jaka może wyniknąć z niedość dobrej reprodukcyi; pomijamy, że częstokroć dzieło traci wiele na zmniejszeniu go do rozmiarów świstka pocztowego; protestujemy wogóle przeciwko tego rodzaju wulgaryzacyi. Arcydzieło sztuki winno być

oglądane w skupieniu i z poszanowaniem, nie zaś na kartce, którą po jakimś czasie w kąt się rzuca. Zbyt łatwy dostęp do arcytworów spoufala z niemi zanadto przeciętnych widzów i przyucza do lekceważenia tego, co powinno być świętem.

Warszawskie firmy wydawnicze ograniczyły się do reprodukcyj z natury lub z istniejących już dzieł artystycznych, to też ich karty są pamiątkowemi zaledwie. Księgarnia H. Altenberga we Lwowie, przedsięwziąwszy wydawnictwo kart „artystycznych," zwróciła się do całego szeregu malarzy i zdołała do tej chwili skompletować sześć seryj (po 10 kart) w kolorowym druku i jedną w heliograwiurze, gdzie spotykamy cały szereg doskonałych, pierwszorzędnych rzeczy. Pierwsza serya: typów swojskich Wachtla mniej nas zachwyciła. Pomysł stylizowania jest wyborny, ale niechże ono nie polega na oprowadzaniu konturów białemi i czarnemi liniami. Stylizacya to wyzwolenie się z drobiazgów i przeprowadzenie konsekwentne zasadniczych wyłącznie linij i tonów tematu. Wyklucza więc ono polegającą znowu głównie na szczegółach rodzajowość i tani sentyment, których u Wachtla zbyt wiele, a potęguje charakter, którego często brakuje zupełnie. Najlepszy jest żyd nad talmudem z pięknie zużytemi w tle motywami świeczników, niezła kobieta przy kądzieli i chłop z koniem; górskie typy są zabójczo mdłe, a lirnik i polonez banalne do ostateczności. W plamach — dość pogodnej harmonii. — W seryi drugiej spotykamy zaraz na wstępie majstra skończonego. Przy naszem niby gorącem zajmowaniu się sztuką, zdumiewające są pewne ignorancye i zapomnienia. Stanisława Dębickiego — *nomen magnum* — nikt prawie nie zna w Warszawie, a nie wiem, czy dość go cenią we Lwowie. A jednak jest to ten z naszych artystów, który niewątpliwie najwięcej nauczył się od japończyków. Nauczył się, nie wziął; odgadł tajemnicę ich tworzenia i umiał ją przystosować do zupełnie innych tematów i zupełnie innego temperamentu swego. Władając tak pewnie rysunkiem, że ten zdaje się już u niego naturalnym, mimowiednym odruchem; operując przedziwnie plamami, umiejąc doprowadzać barwy do wulkanicznych furyj, albo znowu w epicką harmonizować je pogodę, a w samej istocie każdej z nich jak gdyby nowe, zupełnie nieznane odkrywać dziedziny i moce; ujarzmiając czarodziejsko — nieuchwytne wibracye światła; czując i wcielając jak nikt może u nas charakter, ruch, gest, i, dając przez to wszystko tak pulsującą impresyę życia, że równą już życiu samemu, — umie on nadto czasami symplifikować tak bajecznie swą wizyę, że wychodząc ze szczegółu, z impresyi, wznosi się ona ku wyżynom

szerokiej epiki (jak w tem arcydzielku: *Niedziela w górach* — serya V), lub nawet aż do symbolu, gdzie fakt pojedyńczy staje się mikrokosmem, odbijającym w sobie wszystkie makrokosmu tajemnice (jak w tem aż niepokojącem *Babiem lecie* — serya II). A najłatwiej i najlepiej dochodzi do tego przez swoich chłopów, swoich górali, swoją wieś, swoje góry: to jest jego okno, przez które patrząc na świat dostrzega niekiedy samą jego istotę. W tematach innych, pozostając wielkim majstrem, czuje się jednak jakoś nieswojo (*Balladyna, Tańce, Muzyka* — serya VI). — Rozgadaliśmy się może zbyt szeroko *à propos* kart o talencie Dębickiego wogóle, ale chodziło nam o przerwanie raz milczenia, które otacza tego potężnego artystę. Jeżeli dodamy, że Dębicki posiada zdumiewającą miarę i takt artystyczny, że jego kompozycye nie przygniatają, nie zapychają karty, lecz lekko, a jednak nieodzownie, z nią się wiążą, — zrozumie każdy, jak szczęśliwie udało się p. Altenbergowi, że miał tuż, we Lwowie, takiego majstra. Zresztą, nawet na kolegów działa on dobrze: dość porównać dwie ciężkie i nieco martwe karty Zubera w seryi V-ej, z *Karpackimi Góralami* lub nawet *Odprawą posłów greckich*, podpisanemi Dębicki-Zuber, albo surowość koloru w *Chłopce* Augustynowicza (serya IV) z subtelnością tonów w *Fircyku* (serya VI), aby wyczuć to oddziaływanie. Znać je nieco i w *Po burzy*, oraz w *Idylli* Popiela (serya IV), mimo chylącego się raczej ku dramatyczności temperamentu tego artysty. Popiela zauważyliśmy jeszcze w seryi heliograwiurowej reprodukcye wybornie nadające się na kartę (mniej może do teatru) personifikacyj Muzyki, Śpiewu, Tańca i Dramatu. Zwłaszcza ten ostatni jest doskonały. Szerokie, epiczne *Po zwózkę zboża* i zwłaszcza *Bronowanie* Juliusza Kossaka pysznie dekorują górne połowy dwóch kart w seryi IV. Przy tych majstrowskich rzeczach, dziwnie panoramicznie wygląda *Dobosz czwartaków* W. Kossaka, a banalnie jego *Z magnackiej stadniny*. Z pozostałych — niezłe są jeszcze *niektóre* „sumienności“ Sozańskiego, Makarewicza i Weina. Co do Batowskiego i Stachiewicza, pierwszy, wieczny anegdociarz, piłuje nas zanadto swemi „bogatemi“ kolorami, drugi zaś morduje wprost wiekuistą swą blagą.

Wykonanie kart artystycznych p. Altenberga nie jest jednakie. Ogólny poziom jest jednak dość wysoki. Bodajbyśmy takich produkcyj więcej mieli.

Z. P.

KSIĄŻKI NADESŁANE.

POEZYA. — Mieczysław Gliński. *Poezye.* A. G. Dubowski. Warszawa. — Marya Komornicka. *Baśnie i Psalmodye.* J. Fiszer. Warszawa. — M. J. Lermontow. *Anioł śmierci.* Stan. Sadowski. Warszawa. — M. J. Lermontow. *Demon.* Stan. Sadowski. Warszawa. — *Pisanka.* Książka zbiorowa pod redakcyą Józefa Jankowskiego. St. Sadowski. Warszawa. — Zygmunt Rostkowski. *Stargane struny.* Wł. Okręt. Warszawa. — Władysław Zalewski. *Dziad.* Gebethner i Wolff. Warszawa. — *Z pieśni naszych.* Zebrała i ułożyła C. Niewiadomska, z przedmową Ign. Chrzanowskiego. J. Lisowska. Warszawa. — Władysław Bukowiński (Selim). *Nowy zeszyt.* Jan Fiszer. Warszawa.

POWIEŚĆ. — N. Bardzka. *Utopista.* St. Sadowski. Warszawa. — Jan Barszczewski. *W Kastelu* „Spuścizna po dziennikarzu." M. Borkowski. Warszawa. — Anatol France. *Clio.* W. Okręt. Warszawa. — Artur Gruszecki. *Nowy Obywatel.* Gebethner i Wolff. Warszawa. — Artur Gruszecki. *Zwyciężeni.* Gebethner i Wolff. Warszawa. — L. Jahołkowska-Koszutska (Lassota). *Z teki wrażeń.* M. Borkowski. Warszawa. — Rudyard Kipling. *Księga Dżungli.* W. Okręt. Warszawa. — Marya Komornicka. *Szkice.* Skl. gł. W. Obuchowski. Warszawa. — Kazimierz Laskowski. *Wieś. W ojców ślady.* A. G. Dubowski. Warszawa. — K. Laskowski. *Dla zabicia czasu.* St. Sadowski. Warszawa. — Jan Mieroszewicz. *Zginęła głupota.* A. G. Dubowski. Warszawa. — Andrzej Niemojewski. *Prometeusz.* M. Borkowski. Warszawa. — Eliza Orzeszkowa. *Chwile.* Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa. — Walery Przyborowski. *Szwoleżer Stach.* Konstanty Trepte. Warszawa. — Stanisław Przybyszewski. *Homo Sapiens. Na Rozstaju.* Księgarnia Polska. Lwów. — Władysław St. Reymont. *W jesienną noc.* Nakładem Redakcyi „Gazety Polskiej." Warszawa. — S. M. Roguski. *Mąż i Pan.* A. G. Dubowski. Warszawa. — Sewer. *Legenda, Kto ona, Euthanazya.* Gebethner i Wolff. Warszawa. — Henryk Sienkiewicz. *Pisma.* t. XXV. Tygodnik Illustrowany. Warszawa. — Michalina Domańska. *Brzydka.* Biblioteka dzieł wyborowych. Warszawa. — Kazimierz Witte. *Szkice z Pamięci.* G. Centnerszwer. Warszawa. — Antoni Fogazzaro. *Malombra.* Przełożył z włoskiego Szet, 2 t. Biblioteka dzieł wyborowych. Warszawa.

TEATR.—Gabryel d'Annunzio. *Sen poranku wiosennego.* Wł. Okręt. Warszawa.— Gerhart Hauptmann. *Woźnica Henszel.* Wł. Okręt. Warszawa.—Maurycy Maeterlinck. *Księżniczka Malena.* Wł. Okręt. Warszawa. — Edmund Rostand. *Księżniczka z za Morza.* Wł. Okręt. Warszawa. — Stanisław Przybyszewski. *Dla szczęścia.* Księgarnia Polska. Lwów.

STUDYA LITERACKIE i ESTETYCZNE. — Róża Erzepkowa. *Jan Kasprowicz.* M. Biedermann. Poznań. — Bronisław Grabowski. *Jarosław Vrchlicky.* Jan Fiszer. Warszawa. — Cezary Jellenta. *Dante Alighieri.* Br. Natanson. Warszawa. — Cezary Jellenta. *Juliusz Słowacki dzisiaj.* Drukarnia Narodowa. Kraków. — Julian Klaczko. *Rzym i Odrodzenie, Juliusz II.* Wł. Okręt. Warszawa. — Marya Konopnicka. *Z Roku Mickiewiczowskiego.* Br. Natanson. Warszawa. — Antoni Lange. *Studya i wrażenia.* Jan Fiszer. Warszawa. — Stanisław Mleczko. *Serce a Heksameter.* Skład Główny Księgarnia E. Wende i S-ka. Warszawa. — Fryderyk Nietzsche. *Ryszard Wagner w Bayreuth.* Wł. Okręt. Warszawa. — Józefat Nowiński. *Sienkiewicz.* Gebethner i Wolff, Warszawa. — Antoni Pilecki. *Przyroda w Poezyi.* Skład Główny St. Sadowski. Warszawa. — John Ruskin. *Sceny z Podróży, Widoki z Natury.* Wł. Okręt. Warszawa.— John Ruskin. *Malarstwo i Poezya.* Wł. Okręt. Warszawa. — John Ruskin. *Droga do Sztuki.* M. Borkowska. Warszawa. — John Ruskin. *Sezam i Lilje.* Jan Fiszer. Warszawa. — Leon Winiarski. *William Morris.* Br. Natanson. Warszawa. — M. Zdziechowski. *Szkice Literackie.* Gebethner i Wolff. Warszawa.

HISTORYA. — Szymon Askenazy. *Dwa stulecia XVIII i XIX.* Gebethner i Wolff. Warszawa. — Józef Dunin Karwicki. *Z zamglonej i niedawno minionej przeszłości.* A. G. Dubowski. Warszawa. — *Potęga Wojenna Rosyi.* Towarzystwo wydawnicze. Lwów. — Fr. Rawita-Gawroński. *Studya i Szkice historyczne, Serya II.* Towarzystwo wydawnicze. Lwów. — *Rocznik Krakowski.* Towarzystwo Miłośników

Historyi i Zabytków Krakowa. 4 tomy. Kraków. — S. Tatiszczew. *Dyplomacya Rosyjska w Kwestyi Polskiej.* Konstanty Trepte. Warszawa.

FILOZOFIA. — Dr. Zygmunt Balicki. *Hedonizm jako punkt wyjścia etyki.* J. Fiszer Warszawa. — Harald Höffding. *Zasady etyki.* Wyd. „Przegl. filozoficznego." Skl. gł. Księg. Fiszera. Warszawa. — W. M. Kozlowski. *Szkice filozoficzne.* Wydanie „Przeglądu filozoficznego." Skl. gł. księg. J. Fiszera. Warszawa. — Wincenty Lutosławski. *Z dziedziny myśli.* Jan Fiszer. Warszawa. — Fryderyk Nietzsche. *Tak mówił Zaratustra.* Część I. Przekl. M. Zumit i S. Pieńkowskiego. Wl. Okręt. Warszawa. — Marya Czesława Przewóska. *Z nowych dni.* A. G. Dubowski. Warszawa. — A. Schopenhauer. *Psychologia miłości.* M. Borkowski Warszawa.

VARIA. — Bolesław Błażek. *Studya psychometryczne.* Towarzystwo wydawnicze. Lwów. — Ze zbiorów Wydz. Liter. w Gostyniu. *Klechdy czyli Baśnie ludu polskiego na Śląsku.* A. G. Dubowski. Warszawa. — Eliza Orzeszkowa. *List do kobiet niemieckich i o Polce—Francuzom.* Br. Natanson. Warszawa. — A. Rauber. *O miłości* Wl. Okręt. Warszawa. — H. Swaryczewski. *Księga Humoru i Satyry.* St. Sadowski. Warszawa. — Dr. Uhma. *Syfilidologia.* Towarzystwo wydawnicze. Lwów. — Władysław Umiński. *Jak powstała nasza ziemia i jaki ją czeka koniec.* A. G. Dubowski. Warszawa. — Dr. L. Weitzenblut. *Poradnik dla mężatek (Mężatka i Matka).* Konstanty Trepte. Warszawa.

MUZYKA. — Ks. Eug. Gruberski. *Kantata ku czci św. Cecylii.* Na chór mieszany. Warszawa.

VARIA.

Nasz pierwszy numer.—Pogrzeb Juliusza Zeyera —Arnold Boecklin — „Chimera" Gustawa Moreau — Dekadentyzm.

Nasz pierwszy numer opóźnił się nieco. Nie przepraszamy nawet za to czytelników. Wziąwszy zeszyt do ręki, zrozumieją sami, z jakiemi trudnościami musieliśmy borykać się w Warszawie, gdzie tego rodzaju harmonizowanie zewnętrznej strony wydawnictwa z treścią jego nie było dotąd nigdy wymagane. Pierwsza próba przekonała już jednak kogo należy, iż rzeczy napozór niemożliwe dają się uskutecznić w zupełności przy dobrej woli i chęci. Ufamy też, iż trudności, a przez to i opóźnień, coraz mniej będzie. Tymczasem, ponieważ pismo nasze poświęcone jest nie aktualnościom, lecz niezmiennie dobrym rzeczom, — parodniowe opóźnienie nie zmniejszy w niczem jego wartości. W każdym razie możemy zapewnić czytelników naszych, że swoje dwanaście zeszytów w ciągu roku odbiorą.

Jeszcze jedna uwaga. W № I-ym daliśmy umyślnie przewagę stronie czysto twórczej. Zwolna rozszerzać będziemy i dział studyów i sprawozdań krytycznych z zakresu wszystkich sztuk pięknych. O ruchu literacko-artystycznym za granicą podawać będą wiadomości stali w każdym kraju korespondenci.

§§

Pogrzeb Juliusza Zeyera poruszył widać tych nawet, którzy za życia niedość cenili wielkiego twórcę. Olbrzymie tłumy ludu towarzyszyły pochodowi na Wyszehrad, gdzie złożono zwłoki poety w *Slavinie,* Panteonie czeskim. Przed pogrzebem jeszcze, powstała myśl wzniesienia pomnika Zeyerowi. Nadsyłane składki przyjmuje, upoważniony przez grono przyjaciół i wielbicieli zmarłego, dr. Tomasz Czerny (Praga, Vaclavské namesti № 28).— Wielki poeta i w ostatniej swej woli myślał przedewszystkiem o sztuce i szczerze jej oddanych. Skromne swe mienie i wspaniałe zbiory przekazał instytucyom literackim i artystycznym, dochód zaś z praw swoich autorskich przeznaczył na stypendya dla młodych beletrystów czeskich.

Dla chcących zapoznać się z twórczością genialnego poety nieobojętną będzie wiadomość, iż w *Bibliotece najcelniejszych utworów* wyszedł dwutomowy wybór dzieł jego.

§ §.

Arnold Böcklin wprędce pośpieszył za swymi trzema wielkimi braćmi w głębokiej, twórczej sztuce: Gustawem Moreau, Burne-Jonesem i Puvis'em de Chavannes. Szczęśliwszy — czy nieszczęśliwszy — od nich, większe miał daleko uznanie i popularność. Życiorysów i studyów o nim, różnej wartości, nie brak. Nie brak też i reprodukcyj, niestety, również różnej wartości. *Chimera* postara się z czasem podać jedno z najpiękniejszych dzieł jego w odtworzeniu dającem należyte pojęcie o oryginale.

§ §.

„Chimera“ Gustawa Moreau. Zwracamy uwagę czytelników naszych na wspaniałe to dzieło nieznanego u nas prawie mistrza, który w dziedzinie sztuk plastycznych jest snadź największym twórcą XIX wieku. Obszerniejsze studyum o nim podamy w jednym z najbliższych numerów. — Podobnie jak inne swe dzieła, G. Moreau malował kilkakrotnie Chimerę. Reprodukcya nasza odtwarza — po raz pierwszy w heliograwiurze — obraz będący w posiadaniu p. Desprez'a.

§ §.

Dekadentyzm, to widmo, zrodzone w wyobraźni różnych Nordau'ów, nie daje spać p. Choińskiemu. Obwieszcza on czytelnikom *Kurjera Warszawskiego*, ze zdumiewającą pewnością siebie, iż złowrogi ten kierunek „rozpoczyna u nas kampanię pod flagą *Chimery.*“ Z jakiej agentury wiadomość ta, trudno zgadnąć, skoro prospekt *Chimery* twierdził coś biegunowo przeciwnego, a pierwszy numer

dopiero oto wychodzi. Insynuacye podobnie mizernego i podejrzanego gatunku, opatrzone akompaniamentem anegdot o alkoholizmie Przybyszewskiego i o „wielbicielstwie“ Miriama względem Maeterlinka, możnaby przyjąć pogardliwem ramion wzruszeniem, lecz uporczywe to przeżuwanie nonsensów śmiech w nas budzi nareszcie. Ależ to już *du gaga,* kochany panie! Tak długo być ofiarą żartu Baudelaire'a, parodyj A. Floupette'a, kabotynizmu Anatola Baju i „naukowych“ zaręczeń Nordau'a. Dowiedz-że się pan nareszcie, że dekadentyzm, jako szkoła czy kierunek, *nie istniał nigdy i nigdzie!* Dekadentyzm jest to nieobecność wszelkiego pragnienia, wszelkiego dążenia, wszelkiej twórczości, wszelkiego talentu, jeśli pan chcesz. Tam więc, gdzie się do czegoś dąży, czegoś pragnie, coś wciela, coś tworzy, coś daje nowego, o dekadentyzmie nie może być mowy. Szukać by go może należało gdzieindziej, snadź u przeżuwaczy wyschłych na wióry „ideałów,“ lecz tam kryje się on zapewne pod właściwszą może nazwą *gagaizmu.* O tym podgatunku dekadentyzmu pomówimy kiedyś obszerniej. Tymczasem, daruje pan, że *Chimera* zawiedzie pańskie oczekiwania. Ma ona wiele do roboty i nie może bawić się w spełnianie proroctw. — Pojmujemy, że sprawi to panu wielką przykrość, zwłaszcza, że niestawiennictwo *Chimery* do tak łaskawego apelu pozbawi pana sposobności do tylu szlachetnych i „krytycznych“ felietonów. Mistrz pański, Nordau, umie jednak w podobnych wypadkach doskonale sobie radzić: puszcza Bańki Mydlane (vide Reclam's Universal Bibliothek 1187), albo poświęca się syonizmowi. Na oba wynalazki nie wziął patentu; naśladownictwo zatem nie jest wzbronione.



CZASOPISMA NADESŁANE DO REDAKCYI CHIMERY.

ATENEUM (Warszawa), zeszyt 1. — A. Górski: *Błędne dusze.* — Wł. Jabłonowski: *Mistycy i nawróceni w literaturze współczesnej.* — J. Nowiński: *Życie i marzenie*, powieść. — W. Gostomski: *Wszechwładztwo powieści nowoczesnej.* — L. Meyet: *Z nieznanych autografów A. Mickiewicza* — Rozbiory. — Kroniki.

MODERNI REVUE (Praga), zeszyty 1—4. — *Poezye* O. Brzeziny, Fr. Gellnera, J. Holego, J. Karaska, St. Neumana, J. Opolskiego, K. Tomana — *Powieść* W. Dyka. — *Studya literackie i artystyczne* H. Cyriaka, W. Dyka, E. Gauberta, K Hofmanna, J. Holego, G. Jeny, W. Jelowszeka, J Karaska, R. Kleina. — *Przekłady* z P. Louysa, z V. Stefanyka i z O. Wilde'a — *Ryciny* Aubry Beardsley'a, A. Godien'a, K. Meunier, H. Steinera — *Przeglądy teatralne i artystyczne.*

TYGODNIK ILLUSTROWANY (Warszawa), № 1—4. — E. Orzeszkowa: *Z różnych dróg* — K. Tetmajer. *Panna Mery.* — T. T. Jeż: *Od kolebki przez życie.* — Sigma: *Podziemia warszawskie.* — *Poezye* Or-ota, Tetmajera, Wierzbickiego.

WIADOMOŚCI ARTYSTYCZNE (Lwów), № 1—7. — Dr. W. S: *Nagość w sztuce* — A. Bursa: *Janek Żeleńskiego.* — H Windakiewiczowa *Chromatyka muzyki polskiej ludowej.* — Dr. W. Bogdański: *Co to są rejestra głosu ludzkiego.* — D mol: *Impromptu.* — G. Zapolska: *Życie na żart.* — *Poezye* J. Pietrzyckiego, L. Staffa, Zawrata. — *Sprawozdania* — *Kroniki.*

CHIMERA

WARSZAWA — ULICA KSIĄŻĘCA 7.
Skrzynka pocztowa Nr 523.

Wychodzi w drugiej połowie każdego miesiąca w objętości 10—12 arkuszy druku.

Redaktor ZENON PRZESMYCKI (MIRIAM)
przyjmuje od 1-ej do 3-ej pp.
Administracya otwarta codziennie od 11-ej do 3-ej pp.

Rodzaje wydawnictwa i warunki przedpłaty.

WYDANIE ZWYKŁE

	w Warszawie	w gub. Ces. i Król.	za granicą
Rocznie	9 rs.	12 rs.	35 fr. 27 mar. 33 kor.
Półrocznie	5 rs.	6 rs. 50 k.	20 fr. 15 mar. 18 kor.
Kwartalnie	3 rs.	3 rs. 50 k.	11 fr. 8 mar. 10 kor.

WYDANIE WYTWORNE

na robionym dla CHIMERY grubym papierze żeberkowym.

Przedpłata tylko roczna:

w Warszawie — 30 rs., w gub. Ces. i Król. — 35 rs., za granicą 95 fr., 75 mar., 90 kor.

Cena zeszytu 1-go:

z heliograwiurą CHIMERY Gustawa Moreau rs. 2 kop. 50
bez heliograwiury — — rs. 1 kop. 50

Przedpłatę przyjmuje administracya (która odpowiada wtedy za regularne dostarczanie pisma), oraz wszystkie znaczniejsze księgarnie w kraju i za granicą. NUMERÓW OKAZOWYCH SIĘ NIE WYSYŁA. PROSPEKT NA ŻĄDANIE.

Wszystkie wydawnictwa nadesłane do Redakcyi (książki czasopisma, nuty, reprodukcye dzieł sztuki, przedmioty sztuki stosowanej i t. d.) będą, w miarę znaczenia, bądź wzmiankowane, bądź omawiane w dziale sprawozdań.

IL SERA RENDU COMPTE DE TOUTES LES PUBLICATIONS (LIVRES, REVUES, MUSIQUE, GRAVURES, OBJETS D'ART etc.) ADRESSÉES A LA REVUE.

RĘKOPISÓW SIĘ NIE ODSYŁA. Autorowie, nie zawiadomieni w przeciągu dwóch miesięcy o przyjęciu ich utworów, mogą odebrać takowe, przed upływem pół roku, osobiście w Redakcyi, lub drogą pocztową po nadesłaniu kosztów przesyłki.
ODPOWIEDZI NA LISTY jedynie za nadesłaniem marki pocztowej.

Redaktor i wydawca ZENON PRZESMYCKI.

Дозв. Ценз. Варш. 24 Января 1900. WARSZAWSKIE AKC. T-STWO ARTYSTYCZNO WYDAWNICZE.